

Prądy czasu

Silverberg Robert



calibre 0.9.43

ROBERT SILVERBERG

PRĄDY CZASU

(PRZEŁOŻYŁ: KRZYSZTOF SOKOŁOWSKI)

Anne McCaffrey - przyjaciółce w potrzebie

1.

Mój guru Sam był czarny jak smoła; wśród przodków, licząc pod prąd, miał najpierw niewolników, a potem królów. A co z moimi przodkami? Wieśniacy z pokolenia na pokolenie, umierający z mordegi? Konspiratorzy, buntownicy, uwodziciele, szermierze, złodzieje, zdrajcy, alfonsi, książęta, uczeni, księża, którzy porzucili Boga, tłumacze z ghegu i toska, kurtyzany, handlarze figurkami z kości słoniowej, kucharze barowi, lokaje, maklerzy, fałszerze pieniędzy? Ach, wszyscy, których nie znam i nigdy nie poznam, których krew i limfa płynie mi w żyłach, których geny noszę, jakże chciałem was poznać! Nieznośna była mi myśl o tym, że coś oddziela mnie od mej przeszłości. Pragnąłem nosić tę przeszłość ze sobą jak garb, z którego można czerpać w czasie suszy.

- Daj się nieść prądom czasu - powiedział mi Sam, mój guru.

Posłuchałem go. I tak trafiłem w cały ten interes z podróżami w czasie.

Skakałem pod prąd. Widziałem tych, którzy czekali na mnie w przeszłych tysiącletniach.

Przeszłość przyciska mnie do ziemi jak garb.

Pulcheria!

Praprapra... i tak dalej babcia!

Gdybyśmy się nie spotkali...

Gdybym nie wszedł do tego sklepu ze słodyczami i przyprawami...

Gdyby ciemne oczy, oliwkowa skóra i strome piersi nic dla mnie nie znaczyły, Pulcherio...

Moja miłości. Moja namiętna antenatko. Śnię o tobie tęskne sny. Wołasz do mnie ze świata obecnego pod prądem.

2.

Był czarny. Bez wątplenia czarny. Jego rodzina pracowała nad tą czernią przez pięć czy sześć pokoleń, od chwili narodzin ruchu Afro Revival. Pomysł polegał na tym, żeby oczyścić gonady z genów znienawidzonych nadzorców niewolników, które to geny w wielkich ilościach przeniknęły w linię Sama i nie tylko Sama. Massa miał czas się zabawić, miał na to jakieś dwieście lat między XVII a XIX wiekiem. Od mniej więcej 1960 roku przodkowie Sama zaczęli jednak pracować nad odczynieniem czarów białych diabłów, sypiając tylko z czernią skóry i gęstwą kręconych włosów. Sądząc ze zdjęć, rozpoczęło się od praprababci jak kawa z mlekiem. Babunia poślubiła hebanowego studenta z Zambii... Zambii? No, w każdym razie z któregoś z tych zabawnych tymczasowych państw. Ich najstarszy syn wybrał sobie nubijską księżniczkę, ich córka wielkiego czarnego byczka z Missisipi, ich...

- Poświęcali się jak diabli, dzięki czemu mój dziadek był już całkiem przyzwoicie brązowy - powiedział mi Sam - ale i tak wyglądał na kundla. Przyciemniliśmy rodzinny kolor o co najmniej trzy odcienie, ale do czystej krwi nadal sporo nam brakowało. I nagle urodził się mój ojciec. Jasna skóra, garbaty nos, cienkie wargi kundlas, potwór. Genetyka zakpiła sobie ze szczerých marzeń biednych, wydziedziczonych Afrykanów. Tatko poszedł więc do salonu genspirali, gdzie wycięli mu białe geny. W cztery godziny dopiął celu, czego przodkowie nie potrafili osiągnąć przez osiemdziesiąt lat. I takiego mnie widzisz, czarnego i pięknego.

Sam miał jakieś trzydzieści pięć lat. Ja - dwadzieścia cztery. Wiosną pięćdziesiątego dziewiątego mieszkaliśmy razem w dwupokojowym mieszkanku w Dolnym Nowym Orleanie. Mieszkanie tak naprawdę należało do Sama, ale mój guru zaprosił mnie do siebie za połowę czynszu, kiedy dowiedział się, że nie mam gdzie spać. Pracował wtedy w pałacu nochali.

Ja właśnie wysiadłem z kapsuły z Nowszego Jorku. Pracowałem tam jako trzeci niższy upoważniony urzędnik sądowy przy sędzim niższym Jeszcze Wyższego Najwyższego Sądu Okręgu

Manhattan Górny. Pracę tę załatwiła mi oczywiście polityczna protekcja. Po upoważnionych urzędnikach sądowych nie oczekuje się myślenia, bo myślenie ludzi irytuje myślące komputery. Po ośmiu dniach spędzonych w towarzystwie sędziego niższego moja cierpliwość Się wyczerpała. Wskoczyłem do pierwszej kapsuły na południe, zabierając ze sobą wszystkie me ziemskie dobra, a mianowicie flasz tło zębów, usuwacz pryszczycy, klucz do głównego wejścia informatycznego, ostatni wydruk stanu konta kciukowego, dwie zmiany bielizny i bizantyńską monetę na szczęście, złotą nomizmę z czasów Aleksego I. Wsiadłem w Nowym Orleanie. Łaziłem tu i tam, aż przypadkiem znalazłem się przed pałacem nochali na Niższej Bourbon Street, Poziom Trzeci. Przyznaję, w przybytku tym zainteresowały mnie dwie dziewczyny, nurkujące w czymś, co wyglądało jak koniak - i okazało się koniakiem. Helen i Betsy; w przyszłości, na krótki czas, mieliśmy się bardzo zaprzyjaźnić. W czasach atomowych nazywano by je atrakcją lokalu. Uzbrojone w maski skrzelowe prezentowały swą cudowną nagość przechodniom, obiecując im orgiastyczne rozkosze i nigdy jakoś nie spełniając obietnic. Patrzyłem, jak kręcą powolne kółka, trzymając się nawzajem za lewe piersi; od czasu do czasu jakieś smukłe udo wślizgiwało się między lida Helen lub Betsy, właściwie wszystko jedno, potem dziewczyny uśmiechnęły się zapraszająco, więc wszedłem.

Sam wstał na powitanie. W butach na wysokim obcasie miał mniej więcej trzy metry

wzrostu, ubrany zaś był w suspensorium i mnóstwo oliwy. Sędzia niższy natychmiast by się w nim zakochał.

- Dzień dobry, białasku - powiedział Sam. - Jaki chcesz kupić sen?

- A co macie?

- Sado, maso, homo, lesbo, wewnątrz, zewnątrz, górki, dołki oraz wszelkie warianty i zbroczenia. - Wskazał konsolę kasową. Wybieraj i przyłóż kciuk.

- Chciałbym przedtem zapoznać się z próbkami.

Sam obejrzał mnie sobie dokładnie.

- Co taki miły żydowski chłopiec jak ty robi w miejscu takim jak to? - spytał.
- Zabawne. Właśnie miałem zapytać cię o to samo.
- Ukrywam się przed gestapo. W czarnej masce. Yisgadal v'yiskdash...
- ... adonai elohainu - dokończyłem. - Właściwie jestem członkiem Zrewidowanego Kościoła Episkopalnego.
- A ja Pierwszego Kościoła Chrystusa Woodoo. Mam ci zaśpiewać hymn czarnuchów?
- Nie pragnę cierpieć. Możesz przedstawić mnie dziewczynom ze zbiornika?
- Nie sprzedajemy tu ciała, białasku. Tylko sny.
- Nie kupuję ciała. Pożyczani je sobie na czas niedługi.
- Ta z cyckami to Betsy. Ta z pupcią to Helen. Od czasu do czasu, dość często, są dziewicami i wtedy cena jest wyższa. Lepiej spróbuj snów. Popatrz na te wspaniałe maski. Jesteś pewien, że nie chcesz powąchać?
- Jestem pewien, że jestem pewien.
- Gdzieś się nabawił tego nowszojorskiego akcentu?
- Na wakacjach w Vermoncie. A gdzieś ty się nabawił tej lśniącej, czarnej skórki?
- Tata kupił ją dla mnie w salonie genspiralek. Jak się nazywasz?
- Jud Elliott. A ty?
- Sambo Sambo.
- Trochę to monotonne. Mogę ci mówić Sam?
- Mnóstwo ludzi to robi. Mieszkasz teraz w Niższym Nowym Orleanie?
- Właśnie wysiadłem z kapsuły. Nie wiem jeszcze, gdzie mieszkam.
- Kończę pracę o czwartej rano. Helen i Betsy też. Dobra, wszyscy pojedziemy do mnie.

3.

O wiele później dowiedziałem się, że Sam pracuje też na godziny w Służbie Czasowej.

Przeżyłem straszny wstrząs, bo członków Służby Czasowej zawsze wyobrażałem sobie jako nadęte, praworządne, beznadziejnie cnotliwe kukły o kwadratowych szczękach i przyciętych na języka włosach, rodzaj przerośniętych harcerzyków. Mój czarny guru zupełnie nie pasował do tego obrazu. Oczywiście musiałem wiele się jeszcze nauczyć i o Służbie Czasowej, i o Samie.

Ponieważ miałem do zabicia ładnych parę godzin, Sam dał mi za friko maskę wraz z zestawem wesołych halucynacji. Kiedy oprzytomniałem, wraz z Helen i Betsy był już gotowy do wyjścia. Miałem pewne kłopoty z rozróżnieniem dziewczyn w ubraniach. Betsy to cycki - zrymowałem sobie, ale w swych misjonarskich habitach obie żadnych cycków po prostu nie miały. Zjechaliśmy trzy poziomy do mieszkania Sama i tam się podłączyliśmy. W powietrze wzniosły się pyszne dymki, na ziemię upadły ubrania, odnalazłem moją Betsy, zrobiliśmy to, co - jak się oczywiście domyślacie - zrobiliśmy, przy czym odkryłem, że po ośmiu godzinach zanurzenia w koniaku skóra jest nasycona stłumionym blaskiem, lecz w najmniejszym stopniu nie traci wrażliwości sensorycznej.

Usiedliśmy sobie potem w zmęczonym kółeczku. Paliliśmy zielsko. Guru Sam naciągnął mnie na zwierzenia.

- Jestem absolwentem wydziału historii Bizancjum - wyznałem.

- Ślicznie, ślicznie. Byłeś tam?

- W Stambule? Pięciokrotnie.

- Nie w Stambule. W Konstantynopolu.

- To jest to samo - powiedziałem.

- Doprawdy? - zdziwił się Sam.

- Ach, w Konstantynopolu! Cholernie droga wycieczka.

- Nie dla każdego. - Dotknął kciukiem zapalarkę nowego skręta i czule wsunął mi go w usta.

- Przyjechałeś do Niższego Nowego Orleanu studiować historię Bizancjum?

- Uciekłem do Niższego Nowego Orleanu od pracy.
- Znudziła ci się historia Bizancjum?
- Znudziło mi się być trzecim niższym upoważnionym urzędnikiem przy sędzim niższym Jeszcze Wyższego Najwyższego Sądu Okręgu Manhattan, w dodatku Górnym.
- Mówiłeś, że jesteś...
- Wiem, co mówiłem. Historię Bizancjum studiowałem. Jako urzędnik sądowy zarabiam na życie. Zarabiałem.
- Dlaczego?
- Moim wujem jest sędzia Elliott z Wyższego Najwyższego Sądu Stanów Zjednoczonych.
- Nie trzeba skończyć studiów prawniczych, żeby być urzędnikiem sądowym?
- Nie dziś - wyjaśniłem mu. - Gromadzeniem i wyszukiwaniem danych zajmują się już wyłącznie maszyny. Urzędnicy są po prostu dworzanami. Gratulują sędziom błyskotliwości, zdobywają wszystko, czego sędziowie potrzebują, bez wahania wykonują polecenia i tak dalej. Znosiłem to przez osiem dni, a potem się poddałem
- Masz problemy - stwierdził poważnie Sam.
- Owszem. Jednoczesny atak niepokoju duszy, moralnego kaca, nie zapłaconych podatków i nieokreślonych ambicji.
- Brakuje ci wyłącznie zaawansowanego syfilisu - zaniepokoiła się Helen.
- Dziękuję, poczekam.
- Gdyby ktoś dał ci szansę spełnienia pragnienia twego serca, sięgnąłbyś po nią? - spytał Sam.
- Nie wiem, co jest marzeniem mego serca.
- O to ci chodziło, kiedy twierdziłeś, że cierpisz na nieokreślone ambicje?
- Częściowo.
- A gdybyś wiedział, co jest pragnieniem twego serca, ruszyłbyś paluszkami, żeby je

zrealizować?

- Ruszyłbym - powiedziałem zdecydowanie.

- Mam nadzieję, że mówisz serio, bo jeśli nie, wszyscy się o tym dowiedzą. Nie próbuj uciekać.

Zachował się bardzo agresywnie. Miał zamiar mnie uszczęśliwić, czy chcę tego, czy nie.

Zmieniliśmy partnerki. Zabawiłem się z Helen o białym twardym tyłeczku, wirtuozką pewnych wewnętrznych mięśni. Niemniej jednak nie była ona pragnieniem mego serca. Sam dał mi trzygodzinne senno i zabrał dziewczyny do domu. Rano, po wyczyszczeniu, obejrzałem sobie mieszkanie; zauważyłem przy tym, że udekorowane zostało przedmiotami z różnych miejsc i różnych czasów: sumeryjskimi tabliczkami glinianymi, peruwiańskimi osłonami strzemion, szklanymi rzymskimi pucharami, sznurami fajansowych egipskich paciorków, średniowiecznymi maczugami i kolczugami; znalazłem też egzemplarze "New York Timesa" z lat 1852 i 1853, na półce stały książki oprawione w wytłaczaną cielęcą skórę, były także dwie irokeskie maski oraz, oczywiście, mnóstwo zabytków afrykańskich i co tam jeszcze. Cuda te zawały każdą wnękę, każdy kąt i każdą wypukłość. Skonstatowałem, że Sama cechują upodobania antykwarskie, że zwykłym u mnie brakiem bystrości nie wyciągając z tych jego upodobań żadnych głębszych wniosków. W tydzień później zorientowałem się, że wszystkie okazy w jego kolekcji sprawiają wrażenie... nowych. Fałszuje antyki, powiedziałem sobie. Sam jednak upierał się, że jest pracownikiem Służby Czasowej.

4.

- W Służbie Czasowej - uświadomiłem go - pracują przerośnięte harcerzyki o kwadratowych szczękach. Ty masz szczękę okrągłą.

- I płaski nos. Owszem. Nie jestem też harcerzykiem. A jednak pracuję na godziny w Służbie Czasowej.

- Nie wierzę. W Służbie Czasowej pracują wyłącznie sympatyczni chłopcy z Indiany i

Teksasu. Sympatyczni biali chłopcy wszystkich ras, kolorów i wyznań.

- To w Patrolu. Ja jestem kurierem.

- Jest jakaś różnica?

- Jest jakaś różnica.

- Wybacz mi mą ignorancję.

- Ignorancja jest niewybaczalna. Można się tylko leczyć.

- Opowiedz mi o Służbie Czasowej.

- Są dwa oddziały. Patrol Czasowy i Kurierzy Czasowi. Ludzie, którzy opowiadają rasistowskie dowcipy, kończą w Patrolu. Ludzie, którzy wymyślają rasistowskie dowcipy, to kurierzy. Capiśce?

- Właściwie nie.

- Człowieku, takiś dureń, że powinieneś być czarny - powiedział łagodnie Sam. - Patrol chroni przed paradoksami. Kurierzy biorą turystów pod prąd. Patrol nienawidzi kurierów, kurierzy nienawidzą Patrolu. Ja jestem kurierem. W styczniu i lutym odrabiam linię Mali-Ghana-Gao-Kusz-Aksum-Kongo, a w październiku i listopadzie robię Sumer, Egipt faraonów i czasami linię Nazja-Moczika-Inka. Kiedy brakuje personelu, biorę też krucjaty, Magna Cartę, 1066 i Agincourt. Trzykrotnie widziałem czwartą krucjatę zdobywającą Konstantynopol, dwukrotnie Turków w 1453 roku. Zazdrość mi, białasie.

- Sam, wygłupiasz się, prawda?

- Jasne. Jasne, że się wygłupiam. Widzisz to wszystko? Przeszmuglowane spod prądu przez szczerze ci oddanego, tuż pod nosem Patrolu... i ani razu nie wzbudziłem podejrzeń. No, raz wzbudziłem. Patrolowiec próbował zaarrestować mnie w Stambule, w 1563 roku, ale obciąłem mu jaja, sprzedałem je cesarzowi za dziesięć bezanów, a jego timer wyrzuciłem do Bosforu. Facet zgnił

jako eunuch.

- Tego nie zrobiłeś!

- Nie. Niestety.

Oczy mi błyszczały. Poczulem, jak miłość mego serca materializuje się gdzieś, tuż poza zasięgiem wyciągniętej ręki.

- Przeszmugluj mnie pod prąd do Bizancjum, dobrze, Sam?

- Sam się przeszmugluj. Zatrudnij się jako kurier.

- A mógłbym?

- Cały czas angażują ludzi. Człowieku, coś ty zrobił ze swym rozumem? Twierdzisz, że jesteś absolwentem historii Bizancjum! Czyżbyś nigdy nie myślał o Służbie?

- Myśleć myślałem - odparłem urażony. - Chodzi o to, że nigdy nie myślałem o tym poważnie. Wydawało mi się to... no, zbyt oczywiste. Zakładasz timer i już możesz odwiedzić dowolną epokę historyczną... jest w tym coś z oszustwa, prawda, Sam? Wiesz, co mam na myśli.

- Ja wiem, co masz na myśli, tylko ty nie wiesz, co masz na myśli. Uświadomię ci, w czym problem, Jud. Jesteś nałogowym pechowcem.

Ja o tym, oczywiście, wiedziałem, ale jakim cudem on się o tym dowiedział tak szybko?

- Przecież twym życiowym marzeniem jest skoczyć pod prąd. Marzy o tym każdy młody człowiek z całym mózgiem i zdrowym fiutkiem - mówił dalej Sam. - Więc oczywiście nie korzystasz z okazji, tylko dajesz się im wrobić w lewą robotę, z której wiejesz przy pierwszej sposobności. I gdzie teraz jesteś? Co cię jeszcze czeka? Masz... czekaj, ile?... Dwadzieścia dwa lata i...

- Dwadzieścia cztery.

- ... i jedną karierę właśnie rzuciłeś, drugiej na horyzoncie nie widać, a kiedy wreszcie znudzę się i wyrzucę cię stąd na zbity pysk, to co będzie, jak skończą ci się pieniądze?

Na to pytanie nie miałem odpowiedzi.

- Z moich obliczeń wygląda, że forsy starczy ci na jakieś sześć miesięcy, Jud - ciągnął Sam. -

Więc za sześć miesięcy możesz albo wpisać się na listę towaru do wzięcia dla jakiejś bogatej wdowy,

wybrać sobie coś lepszego z Rejestru Swędzących Kroczy...

- Uuuch...

- ... albo dołączyć do Policji Halucynacyjnej i pomagać zachować obiektywną rzeczywistość...

- Aaach...

- ... albo wrócić do Wyższego Najwyższego Sądu i oddać swą białą dupcię do dyspozycji niższego sędziego...

- Fuuuj...

-... albo zrobić coś, co powinieneś zrobić od razu, czyli zostać kurierem czasowym. Tego oczywiście nie zrobiłeś, bo jesteś nałogowym pechowcem. Nałogowi pechowcy zawsze wybierają najgorsze, najbardziej nieodpowiednie wyjście. Prawda?

- Nieprawda.

- Co ty tam wiesz.

- Próbujesz mnie rozwścieczyć?

- Nie, kochanie. - Sam znów zapalił mi zielsko. - Za pół godziny idę do roboty, do nochali.

Mógłbyś mnie naoliwić?

- Sam się naoliw, pitekantropie. Paluszkciem nie tknę tej twojej ślicznej, ciemnej skórki.

- Ach! Oto łeb unosi agresywny heteroseksualizm!

Rozebrał się do suspensorium, nalał oliwy do maszyny myjącej i włączył ją. Pajęczne łapy polerowały go na wysoki połysk.

- Sam - powiedziałem - chcę wstąpić do Służby Czasowej.

PROSZĘ ODPOWIEDZIEĆ NA WSZYSTKIE PYTANIA

Imię i nazwisko: Judson Daniel Elliott III

Miejsce urodzenia: Nowszy Jork

Data urodzenia: 11 października 2035

Płeć (M/Ż): M

Numer rejestru obywatelskiego: 070=28=3479=xx5=100081

Stopnie akademickie - studia ukończone: Columbia '55

- magisterium: Columvia '56

- doktorat: Harvard. Yale.

Princeton. nie ukończony

- habilitacja:

- inne:

Wzrost: 1 metr/metry 88 centymetrów

Waga: 78 kg

Kolor włosów: czarny

Kolor oczu: czarny

Indeks rasowy: 8, 5 C+

Grupa krwi: BB 132

Małżeństwa (wymienić związki czasowe i trwałe, w kolejności rejestracji, oraz czas trwania każdego):

brak związków

Uznane dzieci: brak uznanych dzieci

Powód złożenia podania o wstąpienie do Służby Czasowej (ograniczyć do stu słów):

wzbogacenie wiedzy o kulturze bizantyńskiej, która była przedmiotem mych studiów

wzbogacenie wiedzy o zwyczajach i zachowaniu ludzi; pogłębienie związków z ludźmi przez świadczenie im usług; wykorzystanie posiadanego wykształcenia do powiększenia sumy wiedzy zainteresowanych zaspokojenie romantycznego popędu do przygód charakterystycznego dla ludzi młodych.

Imiona i nazwiska krewnych obecnie zatrudnionych w Służbie Czasowej:

nikt z krewnych tu nie pracuje

6.

To, co wypisałem na formularzu, nie miało oczywiście żadnego łączenia. Z założenia powinienem nosić formularz zgłoszenia przy sobie, by o każdej porze dnia i nocy móc okazać go któremuś z licznych urzędników Służby, na którymś z licznych szczebelków biurokratycznej drabiny, gdyby ktoś zechciał akurat nań zerknąć, ale tak naprawdę przydatny okazał się wyłącznie numer rejestru obywatelskiego, zapewniający pełnię dostępu do wszystkich danych, które pracowicie wypisałem, oraz wielu innych. Jedno przyciśnięcie guzika głównego systemu ewidencji zapewniało znajomość nie tylko mego wzrostu, wagi, daty urodzenia, koloru włosów i oczu, indeksu rasowego, grupy krwi oraz wykształcenia, lecz także listy przebytych chorób, listy szczepień, wyników badań medycznych i psychologicznych, wyników badań ilości plemników w spermie, wysokości normalnej temperatury ciała w zależności od pory roku, wielkości organów ciała włączając w to penisa w zwisie i erekcji, wszystkich adresów zamieszkania, rodziny do kuzynów piątego stopnia, aktualnego salda bankowego, dynamiki balansu ma/winien, zachowań podatkowych, preferencji politycznych, częstotliwości aresztowań (jeśli był aresztowany), gustów w zakresie zwierząt domowych, numeru obuwia i tak dalej. Podobno prywatność wyszła z mody, tak przynajmniej się mówi.

Podczas gdy wypełniałem formularz, Sam siedział w poczekalni, napastując sprzątaczkę.

Kiedy skończyłem, oderwał się od tego fascynującego zajęcia i poprowadził mnie spiralną rampą w

dół, w trzewia siedziby Służby Czasowej. Wyprzedzały nas i mijały kanciaste roboty, obładowane częściami i dokumentami. Otworzyły się drzwi w ścianie, pojawiła się w nich sekretarka. Kiedy nas mijała, Sam złapał ją chutliwie za pierś. Uciekła z krzykiem. Połechtał także jednego z robotów. Zdaje się, że nazywają to apetytem na życie.

- Porzućcie wszelką nadzieję wy, którzy tu wchodzicie - powiedział. - Dobrze odegrałem rolę, prawda?

- Jaką rolę? Szatana?

- Wergiliusza. Twego przyjaznego czarnego przewodnika po jaskiniach piekła. Tu w lewo.

Stanęliśmy na platformie. Opadaliśmy długo, bardzo długo, a kiedy już opadliśmy do końca, znaleźliśmy się w wilgotnym, prze rżanym pomieszczeniu wysokim na co najmniej pięćdziesiąt metrów. Jego ściany spinał kołyszący się nad naszymi głowami wiszący most.

- Jak ktoś nowy, bez przewodnika, ma znaleźć drogę w tym labiryncie? - spytałem.

- Wcale - odparł Sam.

Przeszliśmy przez most do lśniącego wykładzinami korytarza, po obu stronach którego znajdowały się ozdobne drzwi. Na jednych widniało wypisane sztucznie psychodelicznymi literami, mającymi i pewnością wartość antykwaryczną, nazwisko SAMUEL HERSHKOWITZ. Sam wsadził głowę w otwór skanera i drzwi natychmiast się otworzyły. Znaleźliśmy się w długim, wąskim pomieszczeniu, umeblowanym archaicznymi, wydmuchiwanymi z plastyku kanapami, z delikatnie wyglądającym biurkiem, na którym stała nawet, mój ty panie Boże Wszechmogący, maszyna do pisania! Samuel Hershkowitz był indywiduum wysokim i chudym, o opalonej na brąz twarzy, kręconych wąsach, bokobrodach i wielkiej szczęce. Na widok Sama wyskoczył zza biurka jak na sprężynie. Rzucili się sobie w ramiona.

- Czarny bracie! - krzyknął Samuel Hershkowitz.

- Landsmann!- odkrzyknął Sam, mój guru.

Całowali się w policzki. Padali sobie w ramiona. Walili się po plecach. W końcu się rozdzielili. Patrząc na mnie gospodarz zadał jedno krótkie pytanie:

- A to kto?

- Rekrut. Jud Elliott. Naiwny, ale na Bizancjum się nada. Zna się na rzeczy.

- Macie podanie o przyjęcie, Elliott?

Podąłem mu ankietę. Przejrzał ją. Coś go jednak zainteresowało.

- Nieżonaty, co? Perwo-dewiant?

- Nie, proszę pana.

- Zwykły pedał, tak?

- Nie, proszę pana.

- Boicie się kobiet?

- Ależ skąd, proszę pana. Po prostu nie jestem zainteresowany braniem na siebie obowiązków związanych z trwałym związkiem.

- Ale jesteście hetero?

- W zasadzie tak, proszę pana - odpowiedziałem, niepewny czy to dobra odpowiedź, czy nie.

Samuel Hershkowitz szarpnął bokobrody.

- Kurierzy do Bizancjum muszą być ponad wszelkimi podejrzeniami, rozumiecie to, prawda?

Jakby to powiedzieć... klimat tam jest w zasadzie... gorący. Możecie sobie używać do woli w roku 2059, ale jako kurier musicie umieć zachować poczucie perspektywy. Amen. Sam, popierasz kandydaturę tego chłopaka?

- Popieram.

- Mnie to wystarczy. Ale... cóż, sprawdzimy, czy nie jest ścigany za przestępstwo zagrożone najwyższym wymiarem kary. W zeszłym tygodniu mieliśmy tu chłopczyka grzecznego i ślicznego jak z obrazka, z podaniem o Golgotę. Sprawdziłem go. Okazało się, że jest poszukiwany w Indianie

za spowodowanie zgnicia protoplazmy. I jeszcze kilka przestępstw miał na sumieniu. No więc tak, sprawdzamy. - Włączył wejście danych, wprowadził mój numer identyfikacyjny i dostał akta na monitor. Musiały zgadzać się z tym, co napisałem w podaniu, bo wyłączył się prawie natychmiast, skinął głową, wystukał jakieś prywatne notatki i otworzył biurko. Wyjął z niego coś, co przypominało pas na przepuklinę. Cisnął to coś mnie.

- Zrzucaj portki i włóż to - powiedział. - Sam, pokaż mu jak.

Przycisnąłem zamek. Spodnie opadły. Sam założył mi i zapiął pas na biodrach; miejsce zapięcia było niewidoczne, jakby pas fabrycznie stanowił całość.

- To twój timer - uświadomił mnie Sam. - Podłączony jest do głównego systemu czasowego, zsynchronizowany na odbiór wysyłanych sygnałów transportowych. Póki nie skończy się flogiston, to maleństwo zdolne jest przenieść cię w każdy punkt czasu w zakresie siedmiu tysięcy lat.

- A wcześniej nie?

- Nie przy tym modelu. Jak na razie nie wydaje się zezwoleń na nieograniczone podróże w prehistorię. Musimy otwierać przeszłość ostrożnie, epoka po epoce. A teraz uważaj. Ustawia się go w sposób najprostszy z możliwych. Tu, o tu, tuż nad lewym jajnikiem, znajduje się mikroprzełącznik kontrolujący ruch w przód i w tył. Żeby się przenieść, musisz zakreślić kciukiem krąg wokół punktu nacisku - od biodra do pępka, by przesunąć się w przeszłość, a od pępka do biodra, by przesunąć się w przyszłość. Po tej stronie jest dostrajanie; do posługiwania się nim potrzeba wprawy. Widzisz ten laminowany wskaźnik? Rok, miesiąc, dzień, godzina, minuta, sekunda. Tak, tak, żeby go odczytać, musisz zrobić lekkiego zeza, nic na to nie poradzimy. Lata skalibrowane są WOT - wstecz od terażniejszości, miesiące zostały ponumerowane i tak dalej. Sztuka w tym, żeby błyskawicznie przeliczać czas docelowy 843 roku WOT, pięć miesięcy, jedenaście dni i tak dalej - przed ustawieniem licznika. Problem jest w zasadzie arytmetyczny, ale zdziwiłbyś się, gdybym ci powiedział, ilu ludzi nie jest w stanie przeliczyć daty, powiedzmy jedenasty lutego 1192 na liczbę lat,

miesiący i dni. Oczywiście jeśli chcesz zostać kurierem, musisz się tego nauczyć, ale na razie nie masz się czym przejmować.

Przerwał i spojrzał na Hershkowitza.

- Sam przeprowadzi teraz z tobą podstawowy test na dezorientację - wyjaśnił mi

Hershkowitz. - Jeśli go zdasz, zostałeś przyjęty.

Sam także założył timer.

- Skakałeś kiedyś? - spytał mnie.

- Nigdy.

- No to dobrze się ubawisz, mały - uśmiechnął się szeroko. Nastawię ci licznik. Poczekaj, aż dam sygnał, a potem użyj lewego przycisku, żeby włączyć timer. Tylko nie zapomnij włożyć spodni.

- Przed czy po skoku? - zainteresowałem się.

- Przed - wyjaśnił Sam. - Przyciskami można operować przez ubranie. No i wyprawa w przeszłość ze spodniami na wysokości kostek to bardzo kiepski pomysł. Nie da się szybko biec. A czasami zjawiasz się na miejscu i już musisz wiać.

Ustawił mi licznik. Wciągnąłem spodnie. Sam dotknął delikatnie brzucha po lewej stronie i znikł. Ja dwoma palcami zatoczyłem łuk od biodra do pępka, ale wcale nie znikłem. Znikł Samuel Hershkowitz.

Samuel Hershkowitz odszedł gdzieś tam, gdzie odchodzi płomień zdmuchniętej świecy, za to

Sam pojawił się z powrotem obok mnie. W pustyni gabinecie Hershkowitza.

- Co się stało? - spytałem. - Gdzie on się podział?

- Jest wpół do dwunastej. W nocy - powiedział Sam. - Samuel nie bierze nadgodzin, wiesz?

Kiedy skoczyliśmy, zostawiliśmy go dwa tygodnie z prądem. Poruszamy się w prądach czasu, chłopcze.

- Przenieśliśmy się dwa tygodnie w przeszłość?

- Przenieśliśmy się dwa tygodnie pod prąd - poprawił mnie Sam. - I jeszcze pół dnia, dlatego jest teraz noc. Chodź, przespacerujemy się po mieście.

Wyszliśmy z gmachu Służby. Pojechaliśmy na trzeci poziom Dolnego Nowego Orleanu. Sam nie miał chyba na myśli niczego specjalnego. Wpadliśmy do baru. Zjedliśmy po tuzinie ostryg na głowę, wypiliśmy parę piw, puszczałyśmy oczko do turystów. Kiedy jednak dotarliśmy na Dolną Bourbon Street, zrozumiałem, dlaczego wróciliśmy do tej nocy. Strach połaskotał mnie w jądra i nagle zacząłem się pocić.

Sam roześmiał się głośno.

- Nowych zawsze bije to w miejsce szczególne, Jud, mój przyjacielu. Ale przynajmniej pozbywasz się nadmiaru emocji.

- Spotkam samego siebie! - krzyknąłem.

- Zobaczysz samego siebie - poprawił mnie mój guru. - Lepiej rób, co możesz, żeby nigdy nie spotkać samego siebie, nigdy, albo wszystko się dla ciebie skończy. Jedna taka sztuczka i masz na głowie cały Patrol Czasowy.

- A jeśli moje wcześniejsze ja mnie zobaczy?

- To koniec. Człowieku, testujemy teraz twój system nerwowy, więc lepiej bądź gotów na wszystko. No, jesteśmy. Widzisz tego durnego fiuta idącego ulicą?

- To Judson Daniel Elliott III.

- Otóż właśnie, człowieku. Widziałeś kiedyś coś aż tak żalosnego? Cofnij się w cień, człowieku! Cofnij się w cień! Te białasy obok może nie grzeszą mądrością, ale z pewnością nie są ślepe!

Skuliliśmy się w mroku. Żołądek mi się skręcał, kiedy patrzyłem na Judsona Daniela Elliotta III, który właśnie wysiadł z kapsuły i szedł teraz ulicą do pałacu nochali, trzymając w ręku torbę.

Widziałem, że garbi się lekko, że stawia nogi palcami do środka. Uszy miał zdumiewająco wielkie, a

prawie ramię niósł nieco niżej niż lewe. Wyglądał niezdarnie, wyglądał jak jakiś ćwok! Minął nas, zatrzymał się przed pałacem i wpatrzył na pływające w koniaku dwie nagie dziewczyny. Przesunął językiem po górnej wardze. Pokiwał się na piętach. Rozważał, jakie ma szansę wcisnąć się między nogi którejs z tych nieosiągalnych dla zwykłych śmiertelników piękności, nim skończy się ta noc. Mogłem mu powiedzieć, że szansę ma nieźle.

Wszedł do środka.

- No i jak się czujesz? - spytał mnie Sam.

- Mam dreszcze.

- Przynajmniej jesteś uczciwy. Ludzi zawsze rusza, kiedy pierwszy raz skoczą pod prąd i widzą samych siebie. Ale można się do tego przyzwyczaić. No, jaki ci się wydał?

- Tępy wsiok.

- To też typowe. Nie bądź dla niego zbyt surowy. Nic nie poradzi na to, że nie wie tego wszystkiego, co wiesz ty. W końcu jest przecież młodszy od ciebie.

Sam zachichotał. Ja się nie śmiałem. Nadal nie mogłem otrząsnąć się z wrażenia, jakie wywarł na mnie widok samego siebie.

Czułem się jak swój własny duch... Wstępna dezorientacja" - powiedział Hershkowitz. No tak.

- Nic się nie martw - pocieszył mnie Sam. - Nieźle sobie radzisz.

Pewnie sięgnął ręką do mego podbrzusza; poczułem, jak dokonuje niewielkich poprawek na timerze. Potem przestawił swój.

- Skaczemy pod prąd - oznajmił.

Znikł. Znikłem za nim. Nieokreślone pół chwili później znów staliśmy ramię przy ramieniu, na tej samej ulicy, o tej samej nocnej porze.

- Kiedy jesteśmy?

- Dwadzieścia cztery godziny przed twym przyjazdem do Nowego Orleanu. Jeden ty jest tutaj, drugi w Nowszym Jorku szykuje się do wyjazdu z Nowszego Jorku. Jak ci to leży?

- Mam zeza, ale zaczynam się adaptować.

- Wszystko jeszcze przed nami. Chodźmy do domu.

Zabrał mnie do swojego mieszkania. Pustego - on sam, on z tego ułamka czasu, pracował w pałacu. Poszliśmy do łazienki.

Ustawił mi timer na trzydzieści jeden godzin naprzód.

- Skaczemy - powiedział.

Przenieśliśmy się z prądem i wyskoczyliśmy z niego nadal w łazience, następnej nocy. Z pokoju dobiegł mnie pijacki śmiech i ochryple westchnienia pożądania. Sam szybko zamknął łazienkę, blokując zamek. Zdałem sobie sprawę, że to ja w tym pokoju kochani się z Betsy - może z Helen? - i znów poczułem ukłucie strachu.

- Zaczekaj tu - polecił Sam. - 1 nie wpuszczaj nikogo, chyba że zapuka dwa razy, a potem jeszcze raz. Za chwilę wrócę. Być może.

Wyszedł. Zamknąłem za nim drzwi. Minęły dwie, może trzy minuty. Rozległo się umówione pukanie, więc otworzyłem. Sam uśmiechał się szeroko.

- Możesz rzucić okiem. Nikt tam nie jest w stanie niczego zauważyć. No, chodź.

- A muszę?

- Jeśli chcesz się dostać do Służby, musisz.

Wyślizgnęliśmy się z łazienki, by obejrzeć sobie pewną orgietkę. Dym wypełnił me nie zaadaptowane nozdrza, omal się nie rozkaszałem. W większym pokoju mieszkania Sama stanąłem wobec hektarów rozedrganego ciała. Po lewej stronie wielki czarny Sam podskakiwał na białej szczuplutkiej Helen, z której dostrzec dało się wyłącznie twarz, jedno ramię zarzucone na jego szerokie bary i jedną nogę założoną na ciemny pośladek. Po prawej moje wcześniejsze ja leżało na

podłozie wplątane w cycatą Betsy. Leżeliśmy w kamasutropodobnej pozycji, ona na prawym boku, ja na lewym. Ona zarzuciła na mnie górną nogę, ja byłem skręcony i odsunięty od niej pod jakimś przedziwnym kątem. Z rodzajem chłodnego przerażenia obserwowałem, jak ją biorę. Choć wcześniej widziałem mnóstwo scen kopulacji, na tridimach, na plażach, od czasu do czasu na jakimś party, tym razem po raz pierwszy byłem świadkiem swego własnego aktu. Uderzyła mnie jego groteskowość idiotyczne dyszenie, wykrzywione twarze, mokre plaśnięcia. Betsy wydawała z siebie stłumione sieknięcia, nasze drżące kończyny kilkakrotnie zmieniały pozycję, moje wygięte palce wpiły się mocno w jej tłuste pośladki, miałem wrażenie, że te mechaniczne ruchy będę wykonywał przez wieczność. A jednak przyzwyczajałem się chyba do tego widoku, bo przerażenie powoli mi przechodziło; poczułem, jak na jego miejsce pojawia się kliniczne zainteresowanie, pot na czole mi wysechł i wreszcie, w końcu, stałem tak sobie z założonymi na piersi rękami, studiując rozpościerający się przede mną pejzaż chłodno, choć nadal bez przyjemności. Sam skinął głową, jakby chciał powiedzieć: "Zdałeś egzamin". Przetawiał mój timer i znów skoczyliśmy.

Tym razem powietrze w dużym pokoju było czyste, a podłoga nie zajęta.

- Kiedy jesteście teraz? - zainteresowałem się.

- Trzydzieści jeden i pół godziny wcześniej. Za parę chwil ty i ja wejdziemy do łazienki, ale na to oczywiście nie będziemy czekać. Jedźmy na górę, na górny poziom miasta.

Pojechaliśmy na górę, do Starego Nowego Orleanu, przykrytego rozgwieżdżoną kopułą nieba.

Komputer, notujący przepływ ekscentryków pragnących zaczerpnąć świeżego powietrza, zanotował i nas. Wyszliśmy na cichą uliczkę, na prawdziwą Bourbon Street, przy której stały rozpadające się domy prawdziwej dzielnicy francuskiej. Obserwowały nas kamery zamontowane na koronkowych balkonach, ponieważ tu, w pustce, niewinni są na łasce zdeprawowanych, a turystów chronić trzeba przed władającymi powierzchnią bandami poprzez ciągłą obserwację. Nie zostaliśmy

jednak na górze wystarczająco długo, by popaść w kłopoty. Sam rozejrzał się dookoła; myślał przez chwilę i pociągnął mnie pod mur.

- Co by było, gdybyśmy zmaterializowali się w miejscu już zajętym przez kogoś lub coś? - spytałem, kiedy ustawiał mój timer.

- Niemożliwe. Włączają się automatyczne bufory, przenosząc nas natychmiast do punktu startu. Jest to jednak marnowanie energii, w Służbie tego nie lubią, więc zawsze przed skokiem staramy się znaleźć miejsce potencjalnie bezkonfliktowe. Dobrze jest stanąć pod ścianą, oczywiście pod warunkiem że masz jakąś tam pewność, iż ściana stała w tym samym miejscu w czasie, do którego skaczesz.

- Do kiedy teraz?

- Skacz, to się dowiesz.

Sam skoczył i ja skoczyłem za nim.

Miasto przebudziło się do życia. Po ulicach spacerowali ludzie w dwudziestowiecznych strojach: mężczyźni mieli krawaty, kobiety sukienki do kolan, żadna nie pokazywała nic interesującego, nawet nędznego sutka. Pędzące we wszystkie strony samochody pluły dymem, od którego omal się nie pochorowałem. Trąbiły chyba wszystkie, skądś dochodził huk pneumatycznego młota; hałas, smród i brzydota wydawały się wręcz wszechogarniające.

- Witaj w 1961 roku - powiedział Sam. - John F. Kennedy właśnie złożył przysięgę prezydencką. To pierwszy z Kennedych, kapujesz? Tam, wysoko, leci samolot odrzutowy. To coś to zielone światło. Informuje, że możesz bezpiecznie przejść przez skrzyżowanie. Tam dalej widzisz światła uliczne. Zasilane elektrycznością. Nie ma niższych poziomów. Masz tu przed sobą wszystko, cały Nowy Orlean. I jak ci się podoba?

- Interesujące miejsce. Warte odwiedzenia, ale mieszkać bym w nim nie chciał.

- Nie masz zawrotów głowy? Mdłości? Napadu obrzydzenia?

- Nie jestem pewien.

- Wolno ci. Pierwszy skok w przeszłość zawsze powoduje pewien szok temporalny.

Przeszłość jakoś zawsze wydaje się człowiekowi bardziej śmierdząca i bardziej chaotyczna niż oczekiwał. Niektórzy kandydaci, jeśli przetransportować ich odpowiednio daleko pod prąd, po prostu padają.

- Nie mam zamiaru paść.

- Dobry chłopiec.

Obserwowałem ten niezwykły widok: kobiety o piersiach i pośladkach opiętych pod ubraniem jakimś egzozskielem, mężczyzn o czerwonych twarzach, jakby ich właśnie duszono, brudne, niechlujne dzieci. Odrobina obiektywizmu, powiedziałem sobie. Jesteś badaczem innych czasów, innych obyczajów.

- Patrzcie! Bitnicy! - krzyknął ktoś pokazując nas palcem.

- Znikamy - zarządził Sam. - Zauważyli nas.

Nastawił mi timer. Skoczyliśmy.

To samo miasto. Sto lat wcześniej. Te same budynki, eleganckie, bezczasowe, pomalowane w pastelowe barwy. Żadnych świateł, żadnych młotów, żadnych latarni. Przemykające ze świstem po wąskich uliczkach samochody zastąpione zostały przez konne powozy.

- Nie możemy zostać - powiedział Sam. - Jest rok 1858. Nasze ubrania są zbyt dziwne, a ja w dodatku nie mam zamiaru udawać niewolnika. No to pod prąd!

Skoczyliśmy.

Miasto znikło. Znaleźliśmy się na bagnach. Od południa napływała mgła. Mech zwisał z pięknych drzew. Niebo ciemne było od ptaków.

- Jest rok 1382 - poinformował mnie mój guru. - Te ptaki to gołębie wędrownie. Dziadek Kolumba nadal jest dziewicą.

Skakaliśmy pod prąd. 897. 441. 97. Niemal nic się nie zmieniało. W pewnym momencie przeszło obok nas kilku nagich Indian. Sam ukłonił się im elegancko, oni grzecznie nas powitali, podrapali się po jądrach i odeszli niespiesznie. Goście z przeszłości najwyraźniej ich nie fascynowali.

- Jest rok pierwszy naszej ery - powiedział Sani. Skoczyliśmy. - A teraz przepłynęliśmy dodatkowe dwanaście miesięcy pod prąd i mamy rok pierwszy przed naszą erą. Możliwość pomyłki arytmetycznej jest wielka, ale jeśli będziesz myślał o tym roku jako przed terażniejszością, a o następnym jako 2058, nie wpadniesz w kłopoty.

Skoczyliśmy pod prąd do 5800 p. t. Zauważyłem pomniejsze zmiany klimatyczne, gdzieniegdzie było suszej, gdzieniegdzie także chłodniej. Potem popłynęliśmy z prądem, krótkie skoki, jakieś pięćset lat na jeden raz. Sam przeproszał mnie za monotonną niezmienną scenę; obiecywał, że kiedy płynie się pod prąd w Starym Świecie, sprawy wyglądają znacznie ciekawiej. Dotarliśmy wreszcie w rok 2058, pod siedzibę Służby Czasowej. Weszliśmy do pustego biura Hershkowitza. Przystanęliśmy na chwilę, by Sam mógł dokonać ostatecznego ustawienia timerów.

- Muszę być bardzo ostrożny - tłumaczył. - Chcę, żebyśmy znaleźli się przed Hershkowitzem trzydzieści sekund po zniknięciu. Jeśli się pomylę, nawet odrobinę, spotkamy nas ruszających pod prąd i będę w kłopotach.

- To czemu nie zagrasz bezpiecznie? Możemy wrócić i po pięciu minutach.

- Duma zawodowa - usłyszałem w odpowiedzi.

Skoczyliśmy pod prąd z pustego gabinetu do gabinetu, w którym Hershkowitz siedział za biurkiem wpatrując się w miejsce, z którego znikliśmy - dla niego - trzydzieści sekund wcześniej.

- No i co? - spytał.

Sam uśmiechnął się z dumą.

- Mały ma jaja. Moim zdaniem, brać!

8.

No więc przyjęto mnie do Służby Czasowej jako nowicjusza. Wydział Kurierski. Płacili nieźle, możliwości były wręcz nieograniczone, najpierw jednak musiałem przejść trening. Nowicjuszom nie od razu pozwala się pasać turystów przeszłością.

Przez tydzień nie działo się nic szczególnego. Sam wrócił do roboty w pałacu, ja pętałem się tu i tam. Potem wezwano mnie do kwatery głównej, do szkółki.

W mojej grupie było osiem osób, sami nowicjusze. Nie prezentowaliśmy się najgodniej.

Rozpiętość wieku: od dwudziestu paru do, moim zdaniem, siedemdziesięciu lat; rozpiętość płci: od mężczyzn po kobiety ze wszystkimi stadiami przejściowymi; charakterologicznie: sami cholerycy.

Wykładowca, Najeeb Bajani, sprawiał nie lepsze wrażenie. Był Syryjczykiem, którego rodzina nawróciła się na judaizm po podboju przez Izrael, oczywiście z powodów finansowych; nosił wielką błyszczącą gwiazdę Dawida jako oznakę wiary, ale w chwilach zapomnienia wzywał Allaha i przeklinał na brodę proroka. Doprawdy nie wiem, czy chętnie widziałbym go w radzie nadzorczej mej synagogi, gdybym miał synagogę. Z wyglądu przypominał dwustuprocentowego Araba, ciemnego, złowrogiego, nie zdejmującego przeciwsłonecznych okularów, zbrojnego w złote pierścienie na wszystkich dwunastu czy trzynastu palcach rąk, uśmiechającego się często i chętnie, i błyskającego w uśmiechu kilkunastoma rzędami wyjątkowo białych zębów. Później dowiedziałem się, że rozkazem Patrolu zdjęty został z bardzo dochodowej linii na Golgotę i na pół roku zdegradowany do stanowiska wykładowcy. Poniósł karę za handel drzazgami z drzewa Krzyża Świętego, które sprzedawał, gdzie się dało. Kurierom nie wolno czerpać dochodów osobistych z pracy zawodowej, przy czym Patrol obraził się za to, że Bajani handlował prawdziwymi, a nie fałszywymi relikwiami.

Zaczął się od lekcji historii.

- Komercyjne podróże w czasie - uświadomił nas Bajani - istnieją od mniej więcej

dwudziestu lat. Och, oczywiście badania efektu Benchleya rozpoczęto pod koniec zeszłego wieku, rozumiecie jednak, że rząd nie mógł pozwolić prywatnym obywatelom na zabawę w temponautykę, póki nie została ona uznana za całkowicie bezpieczną. W ten sposób rząd w swej nieskończonej łaskawości opiekuje się nami wszystkimi.

Panna Dalessandro z pierwszego rzędu prychnęła pogardliwie.

- Pani się ze mną nie zgadza? - zainteresował się Bajani.

Panna Dalessandro, okrągłutka kobieta ze zdumiewająco małymi piersiami i zdecydowanie safickimi skłonnościami, najwyraźniej marzyła wyłącznie o tym, by mu odpowiedzieć, ale wykładowca wprawnie do tego nie dopuścił.

- Służba Czasowa, do której oddziału przystąpiliście, pełni wiele istotnych funkcji.

Powierzono jej na przykład troskę o istotę oraz udoskonalanie narzędzi powstałych w wyniku zbadania efektu Benchleya. Dział Badań i Rozwoju nie ustaje w próbach technologicznego udoskonalenia środków transportu czasowego; timer, którego teraz używamy, wprowadzony został zaledwie cztery lata temu. Nasz dział - my, kurierzy - niesie na swych barkach trud oprowadzania turystów po przeszłości. - Dajani leniwym gestem splótł dłonie na brzuchu, po czym poświęcił się kontemplacji skomplikowanego wzoru licznych pierścieni. - Pracujemy - mówił dalej - praktycznie wyłącznie w przemyśle turystycznym. Jest on bazą ekonomiczną Służby. Za dużą opłatą zabieramy grupy od ośmiu do dziesięciu osób na starannie opracowane podróże w przeszłość. Każdej takiej grupie towarzyszy na ogół tylko jeden kurier, jakkolwiek w sytuacjach wyjątkowo skomplikowanych zdarza się, że jest ich dwóch. W każdej danej chwili czasu teraźniejszego istnieć może i setka tysięcy turystów obserwujących ukrzyżowanie, podpisanie Magna Carta, zabójstwo Lincolna i inne temu podobne zdarzenia. Z powodu paradoksów powodowanych ciągłym kumulowaniem się liczby obserwatorów zdarzenia odbywającego się w stałym punkcie w prądach czasu cel, przed którym stoimy, staje się coraz trudniejszy. Zmusza nas to do znacznego ograniczenia

naszej aktywności.

- Czy byłby pan uprzejmy bliżej nam to wyjaśnić? - spytała panna Dalessandro.

- W trakcie następnych spotkań. Naturalnie, naszych podróży nie możemy ograniczać wyłącznie do turystów. Historycy na przykład muszą posiadać dostęp do ważniejszych zdarzeń z przeszłości; konieczna jest przecież rewizja wszystkich historycznych interpretacji teraz, gdy wiemy, jak dane zdarzenie wyglądało rzeczywiście. Część dochodów z turystyki przeznaczyliśmy więc na stypendia dla wykwalifikowanych naukowców, umożliwiając im darmowe odwiedzanie interesujących ich epok. Opiekunami w tym wypadku są także kurierzy. Jednakże was ten aspekt naszej pracy interesuje mniej. Przewidujemy, że wszyscy ci, którzy się zakwalifikują, dostaną pod opiekę turystów.

Innym oddziałem Służby Czasowej jest Patrol Czasowy. Przedmiotem działalności Patrolu jest zapobieganie nadużyciom narzędzi, dostępnych nam dzięki efektowi Benchleya, i zapewnienie ochrony przed paradoksami. Na naszym następnym spotkaniu rozważymy dokładniej naturę owych paradoksów i sposób zapobiegania ich powstaniu. Na dziś koniec.

Dajani opuścił salę, a my zorganizowaliśmy sobie małe spotkanie natury towarzyskiej. Panna Dalessandro, wymachując rękami i demonstrując wszem wobec owłosione pachy, wzięła sobie za cel jasnowłosą, delikatną panią Chambers, która uciekła przed nią w objęcia pana Chudnika, potężnego wysokiego dżentelmena mającego w sobie coś z nieokreślonej arystokratyczności rzymskiego brązu. On jednak zajęty był właśnie dochodzeniem do porozumienia z panem Burlingame, smukłym, eleganckim i prawie na pewno nie aż tak homoseksualnym, jak sugerował jego wygląd. W końcu, szukając obrony przed bardzo zdecydowaną panną Dalessandro, pani Chambers wezwała na pomoc mnie. Poprosiła, żebym odprowadził ją do domu. Przyjąłem jej zaproszenie. Okazało się, że studiowała historię schyłku Cesarstwa Rzymskiego, co oznaczało, że nasze pola zainteresowań zachodzą na siebie. Seksowaliśmy mechanicznie, nieszczerze - bowiem seks tak naprawdę wcale jej

nie interesował, robiła to wyłącznie z uprzejmości - a potem, aż do białego rana, dyskutowaliśmy o nawróceniu Konstantyna na chrześcijaństwo. Mam wrażenie, że pani Chambers zakochała się we mnie, ja jednak dałem do zrozumienia, że nie odwzajemniam jej uczuć, i wszystko się skończyło. Naukowcem jest niewątpliwie wspaniałym, ale jej blade, chude ciało to nic ciekawego.

9.

Na następnej lekcji omawialiśmy w szczegółach naturę paradoksów i sposoby zapobieżenia ich występowaniu.

- Największym stojącym przed nami wyzwaniem - rozpoczął Dajani - jest zachowanie nienaruszalności naszej teraźniejszości.

Wykorzystanie efektu Benchleya otworzyło puszkę Pandory, pełną potencjalnych paradoksów. Przeszłość nie jest już zamkniętym zbiorem faktów; możemy do woli podróżować pod prąd do czasu każdego interesującego nas wydarzenia, a tym samym jesteśmy w stanie zmienić tak zwaną rzeczywistość. Rezultat takiej zmiany byłby oczywiście katastrofalny. Powstałaby fala rozbieżności, która, dosięgnąwszy dzisiejszych czasów, zmieniłaby prawdopodobnie każdy aspekt naszego społeczeństwa. - Dajani ziewnął dyskretnie. Rozważcie, proszę, konsekwencje zezwolenia podróżnikowi w czasie na sześćsetletni wypad, w trakcie którego zabija on młodego Mahometa. Bez Mahometa dynamiczny rozwój islamu zahamowany zostałby w punkcie początkowym, nie byłoby arabskiego podboju Bliskiego Wschodu i południowej Europy, nie byłoby wypraw krzyżowych; miliony ludzi, uśmiercone w islamskim podboju, żyłyby nadal, w naszej rzeczywistości objawiliby się więc spadkobiercy nie istniejących rodów. Trudno wręcz ocenić konsekwencje takiego zdarzenia. A zdarzeniem byłoby zwykłe zabójstwo pomniejszego kupca w Mekce. Tak więc...

- Być może - wtrąciła panna Dalessandro - istnieje coś takiego jak prawo zachowania historii stanowiące, że gdyby nie było Mahometa, pojawiłby się jakiś inny charyzmatyczny Arab i zajął jego miejsce?

Dajani przeszył ją wzrokiem.

- Nie zaryzykujemy sprawdzenia, czy takie prawo rzeczywiście istnieje - powiedział. -

Wolimy pilnować, by zdarzenia "przeszłe", zapisane w annałach historii przed erą podróży w czasie, pozostały niezmiennie. Od pięćdziesięciu lat naszej terażniejszości całość przeszłej historii, którą do tej pory mieliśmy za niezmienną, stała się potencjalnie płynna; my jednak próbujemy utrzymać ją niezmienną. Temu celowi służy Patrol Czasowy, którego zadaniem jest pilnowanie, by wszystko, co stało się w przeszłości, stało się tak, jak się stało, niezależnie od tego, jak nieszczęsne było dane wydarzenie. Klęski, zabójstwa i inne tego rodzaju tragedie muszą zdarzyć się terminowo, w przeciwnym bowiem wypadku przyszłość, czyli nasza terażniejszość, mogłaby zmienić się nieodwracalnie.

- Czy nie jest jednak tak, że nasza obecność w przeszłości zmienia przeszłość? -

zainteresowała się panna Chambers.

- Właśnie miałem o tym wspomnieć - stwierdził Dajani, wyraźnie niezadowolony. - Jeśli założymy, że przeszłość i terażniejszość są od siebie nieoddzielne, musimy także założyć, że turyści z przyszłości zawsze obecni byli podczas wydarzeń z przeszłości, nie rzucali się jednak w oczy i wzmianka o nich nie trafiła na karty kronik sporządzonych w czasie absolutnym. Tak więc podejmujemy wszelkie możliwe kroki, by ich obecność zamaskować, by wszyscy podróżujący pod prąd mogli uchodzić za obywateli tamtejszej terażniejszości. Przeszłość obserwować wolno wyłącznie nie mieszając się do niej, gość w przeszłości jest obserwatorem milczącym i niewidzialnym. Przestrzegania tej zasady Patrol Czasowy wymaga z całą surowością. Niedługo dowiemy się, jak to czyni.

Mówiłem już o paradoksie sumy widzów. To poważny problem filozoficzny. Nie został jeszcze rozwiązany i przedstawię go wam teraz jako problem czysto teoretyczny, wyłącznie po to, by zobrazować skalę wiążących się z nim komplikacji. Proszę zauważyć: pierwszym podróżnikiem w

czasie, który pod prąd dotarł na ukrzyżowanie Jezusa Chrystusa, był historyk eksperymentalny Barney Navarre. Miało to miejsce w roku 2012. Przez następne dwadzieścia lat podobną podróż odbyło piętnastu, może dwudziestu innych historyków. Od chwili rozpoczęcia komercyjnych wycieczek na Golgotę w 2041 roku Ukrzyżowanie obserwowala przeciętnie jedna grupa na miesiąc - około stu turystów rocznie. Tak więc do dzisiaj było tam obecnych około tysiąca ośmiuset gości z przyszłości. Na czym polega problem? Otóż każda z grup wyrusza z innego miesiąca w naszym czasie, ale ląduje w jednym dniu! Jeśli liczba turystów podróżujących na Golgotę będzie nadal wzrastać w tempie stu rocznie, w połowie XXII wieku sięgnie co najmniej dziesięciu tysięcy, a - przy założeniu, że nie ograniczy się dopuszczalnego ruchu turystycznego - na początku XXIII wieku wyniesie sto tysięcy. Każdy podróżny, rzecz jasna, obecny w trakcie Pasji. Wiemy jednak, że dziś nie ma tam takich tłumów, mamy do czynienia z zaledwie kilkoma tysiącami Palestyńczyków; mówiąc "dziś" mam zresztą na myśli czas Ukrzyżowania względem bieżącego roku 2059. Oczywiście tłum będzie rósł w miarę upływu naszego czasu. Sprowadzony do absurdu, paradoks sumy widzów oferuje nam perspektywę miliardów turystów gromadzących się w celu obserwacji Ukrzyżowania, miliardów wypełniających Ziemię Świętą, rozlewających się na Turcję, kraje arabskie, a wreszcie Indie i Iran. Podobnie z każdym innym znaczącym wydarzeniem w historii ludzkości - w miarę jak rozpowszechniają się podróże w czasie, będzie w sposób nieunikniony obserwowane przez coraz liczniejsze audytorium. A przecież kroniki stałego czasu nie zanotowały niezwyklej liczby uczestników danego zdarzenia! Jak rozwiązać ten paradoks?

Panna Dalessandro nie wychyliła się tym razem z żadnymi dobrymi radami. Pannę Dalessandro замуrowało. Jak nas wszystkich. Jak Dajaniego. Jak najwspanialsze umysły naszej epoki.

Przeszłość tymczasem wypełniała się obserwatorami z przyszłości.

Dajani nie oszczędził nam jeszcze jednej niespodzianki.

- Pragnę dodać - powiedział - że osobiście, jako kurier, odwiedziłem Golgotę dwadzieścia dwa razy z dwudziestoma dwoma różnymi grupami. Gdybyście jutro mieli znaleźć się w tym miejscu w tym czasie, mielibyście szansę spotkać dwudziestu dwóch Dajanich naraz, każdego gdzieś na wzgórzu, każdego objaśniającego klientom znaczenie dziejących się właśnie wydarzeń. Czyż to cudowne rozmnożenie Dajanich nie jest wspaniałym materiałem do rozważań? Jak to jest, że w naszym czasie nie ma dwudziestu dwóch Dajanich? Jakże wzbogaca intelekt rozważanie tego typu problemów! Jesteście wolni.

10.

Martwił mnie problem dwudziestu dwóch Dajanich, ale cwaniaczki z grupy szybko rozwiązały sprawę ich nieobecności w naszym czasie. Miało to coś wspólnego z ograniczeniami właściwymi efektowi Benchleya podczas podróży z prądem, czyli ku terażniejszości. Kolega kandydat, pan Burlingame, wyjaśnił mi to po zajęciach. Pragnął w ten jakże kulturalny sposób po prostu mnie poderwać. Podrywki nie zaliczył, ja za to poznałem trochę tajników teorii czasu.

- Kiedy płyniesz pod prąd - tłumaczył mi pan Burlingame możesz wrócić nie dalej niż do daty skoku plus czas absolutny, który spędziłeś pod prądem. Na przykład, jeśli startujesz dwudziestego marca 2059 do, powiedzmy, wiosny 1801 i spędzasz tam trzy miesiące, możesz wrócić najpóźniej dwudziestego czerwca 2059. Nie jesteś jednak w stanie skoczyć z prądem do sierpnia 2059, albo 20590.

Nie istnieje sposób na wkroczenie we własną przyszłość.

Nie wiem, dlaczego jest właśnie tak. Pan Burlingame położył swą bladą dłoń na moim kolanie, po czym wyłożył mi ezoteryczną substrukturę problemu wraz z dowodami, zbyt byłem jednak zajęty odganianiem się od niego, by śledzić tok myśli. W rzeczywistości, mimo iż Dajani aż trzy wykłady poświęcił mechanice efektu Benchleya, nadal nie jestem w stanie powiedzieć, jak to

wszystko działa i dlaczego działa. Nie jestem nawet pewien, czy działa. Czasami podejrzewam, że to wyłącznie moje własne senne koszmary.

Tak czy inaczej w naszym czasie nie ma dwudziestu dwóch Dajanich, bowiem za każdym razem, kiedy Dajani udawał się na obserwację Ukrzyżowania, wracając lądował w punkcie poprzedzającym jego następny skok w przyszłość. Osobiście nie miał on na to najmniejszego wpływu. Jeśli startujesz w styczniu, spędzasz parę tygodni gdzieś wcześniej, a potem wracasz, lądujesz w tym samym styczniu, najwyżej lutym. I jeśli następny skok masz wyznaczony dopiero na, powiedzmy, marzec, to nie ma sposobu, żeby twoje "ja" na siebie zachodziły.

A więc Dajani, oprowadzający turystów po Golgocie, był zawsze tym samym Dajanim, przynajmniej z punktu widzenia naszej teraźniejszości. W przeszłości jednak gromadzili się kolejni Dajani; w końcu z różnych momentów naszego czasu skakał on w jeden moment przeszłego czasu. Tak samo ze wszystkimi, którzy raz za razem skaczą w określoną, zdefiniowaną przeszłość. Tak wygląda paradoks akumulacji. Chcieliście, to go macie.

Interesowały mnie tego typu paradoksy, a kiedy mnie nie interesowały, jak zwykle cieszyłem się życiem. Wokół Sama plątało się zazwyczaj mnóstwo chętnych dziewcząt. Ganiałem wówczas za piczkami, nie ma co zaprzeczać. A może była to nawet obsesja? Pogoń za piczką zajmowała mi wolny czas; noc miałem za straconą, jeśli nie umoczyłem przynajmniej raz. W głowie mi nawet nie powstało, że warto poszukać związku z przedstawicielką płci przeciwnej głębszego niż te dwadzieścia centymetrów. Na przykład czegoś, co nazywają miłością.

Płytki, niedoświadczony i młody, nie interesowałem się tym, co nazywają miłością.

Z drugiej strony... może nie byłem aż tak płytki? Od tej pory zdążyłem już wypróbować miłość i wcale nie jestem pewien, czy uczyniła mnie szczęśliwszym. Prawdę mówiąc, jest mi znacznie gorzej, niż kiedykolwiek było.

No, oczywiście nikt nie nakazywał mi zakochać się w kimś żyjącym pod prądem.

11.

Porucznik Bruce Sanderson z Patrolu Czasowego pojawił się pewnego dnia na wykładzie, by wyjaśnić nam, jakie to niebezpieczeństwa kryją się w próbach wpływu na stałość przeszłości. Wyglądał dokładnie tak, jak powinien wyglądać porucznik.

W życiu nie widziałem tak wysokiego mężczyzny; miał najszersze możliwe bary i najbardziej kwadratową z możliwych szczękę. Niemal wszystkie dziewczyny z grupy na jego widok natychmiast doznały orgazmu, podobnie jak pan Chudnik i pan Burlingame. Porucznik stanął przed nami na rozstawionych nogach, oparł się o ścianę i przygotował na każdą ewentualność. Mundur miał szary. Włosy rude, bardzo krótko przycięte. Oczy niebieskie, zimne i bezduszne.

Dajani, uznany winnym, będący sam ofiarą niezłomności Patrolu Czasowego, ukrył się w kącie sali wykładowej, poddał bez walki. Widziałem, jak zza ciemnych okularów złowrogo przygląda się porucznikowi.

- A więc - zaczął porucznik Sanderson - jak wiecie, głównym zadaniem Patrolu jest ochrona świętości naszej własnej terażniejszości. Nie możemy pozwolić na wprowadzenie w przeszłość mnóstwa przypadkowych zmian, ponieważ spowodowałyby bałagan w terażniejszości. Mamy więc Patrol Czasowy, nadzorujący wszystko, co dzieje się pod prądem, i sprawdzający, czy wszystko dzieje się zgodnie z zasadami. Jedno pragnę podkreślić: niech Bóg błogosławi ludzi, dzięki którym istnienie Patrolu stało się prawnie możliwe.

- Amen - powiedział pokorny Dajani.

- Proszę zauważyć - mówił dalej porucznik - iż nie dziękuję Bogu za to, że mam taką pracę, choć oczywiście powinienem Mu podziękować, sądzę bowiem, że ważniejszej pracy niż chronienie świętości naszego czasu po prostu nie ma. Jeśli jednak mówię: "Niech Bóg błogosławi ludzi, dzięki którym istnienie Patrolu stało się prawnie możliwe", chodzi mi o to, że ludziom tym zawdzięczamy ocalenie wszystkiego, co prawdziwe, dobre i cenne w naszym życiu. Czy wiecie, co mogłoby się

zdarzyć, gdybyśmy nie mieli Patrolu Czasowego? Co mogliby zrobić bezwzględni złoczyńcy?

Pozwólcie, że przytoczę wam kilka przykładów.

Mogliby udać się w przeszłość i zabić Jezusa, Mahometa, Buddę, naszych wielkich religijnych przywódców, gdy byli jeszcze dziećmi i nie mieli czasu, by dojść do wielkich, inspirujących ludzkość ideałów.

Mogliby ostrzec wielkich złoczyńców naszej historii przed prawem, szykującym im nieprzyjemne niespodzianki, pozwalając, by okpili oni przeznaczenie i nadal szkodzili ludzkości.

Mogliby kraść arcydzieła sztuki przeszłości, pozbawiając miliony ludzi w ciągu wielu wieków rozkoszy obcowania z nimi.

Mogliby wdać się w przestępcze operacje finansowe, powodując bankructwo milionów niewinnych inwestorów, których jedyną winą byłoby to, że nie wiedzieli, jak w przyszłości kształtował się rynek.

Mogliby udzielać fałszywych rad władcom, wiodąc ich wprost w straszliwe pułapki.

Przyjaciele, to tylko przykłady. Wszystko to się rzeczywiście zdarzyło! Figuruje w aktach Patrolu Czasowego! Możecie mi wierzyć, możecie nie wierzyć! W kwietniu 2052 roku pewien młody człowiek z Bukaresztu użył timera, w którego posiadanie wszedł w sposób nielegalny, przeniósł się do roku 11 naszej ery i otruł Jezusa Chrystusa. W październiku 2043 obywatel Berlina przeniósł się w rok 1945, by uratować Adolfa Hitlera tuż przed opanowaniem miasta przez wojska rosyjskie. W sierpniu 2049 obywatelka Nicei skoczyła w czasy Leonarda da Vinci, ukradła nie dokończoną Monę Lisę i ukryła obraz w swej chacie na plaży. We wrześniu 2055 pewien nowojorczyk skoczył do lata 1929 roku i zarobił przeszło miliard wyprzedając akcje. W styczniu 2051 profesor historii z Quebecu udał się w rok 1815. Sprzedał Brytyjczykom coś, co uznali za francuskie plany bitwy, powodując tym klęskę księcia Wellingtona i zwycięstwo Napoleona pod Waterloo. Tak więc...

- Zaraz, chwileczkę... ! - przerwałem mu i strasznie mnie to zdumiało. - Napoleon nie zwyciężył pod Waterloo. Chrystus nie został otruty w roku 11. Jeśli przeszłość rzeczywiście została zmieniona, jak próbuje nas pan przekonać, to czemu nie doświadczamy tych zmian w naszym czasie?

- Aha! - krzyknął porucznik Sanderson. Nigdy przedtem i nigdy potem nie słyszałem, by ktoś tak wspaniale jak on krzyczał "Aha!". - Płynność przeszłości, przyjaciele, to obosieczny miecz. Jeśli przeszłość można zmienić raz, można ją zmieniać wielokrotnie. I tu wkraczamy w domenę Patrołu Czasowego.

Pozwolę sobie powołać się na przykład łotra, który otruił młodego Jezusa Chrystusa. W rezultacie tego upiornego czynu chrześcijaństwo nie powstało nigdy i większość Cesarstwa Rzymskiego została w rezultacie nawrócona na judaizm. Żydowski przywódca Rzymu zdołał uchronić imperium przed upadkiem, w IV i V wieku przekształcając je w monolityczne państwo teokratyczne, władające całością zachodniej Europy. W związku z tym jednak na wschodzie nie powstało cesarstwo bizantyńskie, lecz państwo rządzone z Jerozolimy przez żydowskich schizmatyków. W X wieku doszło do ostatecznej rozprawy między Rzymem i Jerozolimą, której skutkiem była zagłada znanej cywilizacji. Europę podbili tureccy nomadzi, stworzyli na jej terenie państwo, które w XXI wieku było najbardziej represyjnym państwem w historii.

Z tego przykładu widać, jak straszne skutki może nieść mieszanie się w przeszłość.

- Tak - wtrąciłem - ale...

Porucznik Sanderson obdarzył mnie mrozącym krew w żyłach uśmiechem.

- Niewątpliwie pragniesz zwrócić mi uwagę, że w rzeczywistości mimo wszystko nie żyjemy w represyjnym państwie tureckim.

To niewątpliwa prawda. Nasz współczesny tryb życia ocaliła następująca procedura.

Zabójstwo młodego Jezusa wykrył kurier, który w kwietniu 2059 roku skoczył pod prąd wraz

z grupą turystów, chcących obejrzeć Ukrzyżowanie. Na miejscu krzyżowano dwóch łotrów, nikt jednak nie słyszał o nazaretańczyku. Kurier natychmiast poinformował o tym zdarzeniu Patrol.

Patrol rozpoczął poszukiwanie paradoksu. Linia życia Jezusa prześledzona została od momentu jego narodzin. Nie odkryto żadnych anomalii, urywała się jednak w wieku chłopcym. Śledztwo przeprowadzone wśród sąsiadów rodziny pozwoliło odkryć, że Jezus zmarł nagle, w trudnych do wyjaśnienia okolicznościach, w roku 11. Obserwacja go w ciągu tego roku nie nastęczała większych trudności. Byliśmy świadkami przybycia nielegalnego podróżnika.

- I jak myślicie, co uczyniliśmy wówczas?

Podniosły się ręce. Porucznik wskazał pana Chudnika.

- Aresztowaliście złoczyńcę na pięć minut przed otruciem Chrystusa, zapobiegając w ten sposób zmianie historii. Następnie ściągnęliście go z prądem na proces - powiedział pan Chudnik.

Porucznik Sanderson uśmiechnął się szeroko.

- Błąd - stwierdził. - Pozwoliliśmy mu go otruć.

Na sali wszczął się tumult. Porucznik postanowił łaskawie udzielić nam dobrodziejstwa wyjaśnień.

- Z pewnością wiecie, że najwyższą karą za samowolne zmiany wydarzeń z przeszłości jest śmierć; to ostatnie pozostałe w kodeksie karnym przestępstwo główne. Do orzeczenia kary śmierci potrzebny jest niezbity dowód winy. Z tego powodu Patrol zawsze dopuszcza do popełnienia przestępstwa, nagrywając jego przebieg z ukrycia.

- Jakim więc cudem przyszłość pozostała nie zmieniona? zdumiała się panna Dalessandro.

- Aha! - krzyknął porucznik Sanderson. - Po dokonaniu nagrania zbrodni procedura jest

krótka, a wyrok wykonywany niemal natychmiast. Tak było i w tym przypadku. Funkcjonariusze Patrolu powrócili z dowodami nocą czwartego kwietnia 2052 roku. Tego dnia przyszły morderca Jezusa miał ruszyć pod prąd. Dowody przedstawione zostały komisarzowi Patrolu, który zarządził

egzekucję zbrodniarza. Kaci Patrolu wysłani zostali do jego domu, zabrali mu timer i bezboleśnie zabili winnego... na godzinę przed początkiem planowanego skoku. W ten sposób został on wymazany ze strumienia czasu, a więc do zmiany przeszłości nie doszło, człowiek ten bowiem nie skoczył pod prąd, Jezus zaś przeżył, by głosić swą wiarę. Właśnie w ten sposób - wykrywając bezprawne zmiany i wymazując powodujących je ludzi, nim zdążą wyprawić się pod prąd - bronimy świętości naszego dziś.

Jakie to piękne, pomyślałem.

Zbyt łatwo mnie zadowolić. Panna Dalessandro, nasza główna dyskutantka, podniosła grubą rączkę, dostała pozwolenie na zadanie pytania i powiedziała:

- Mam pewne wątpliwości. Zakładam, że kiedy wasi funkcjonariusze powrócili do kwietnia 2052 roku z dowodami zbrodni, wrócili w zmieniony świat rządzony przez tureckich dyktatorów. Gdzie znaleźli komisarza Patrolu? Gdzie w ogóle znaleźli zabójcę Jezusa? Mógł przecież przestać istnieć na skutek popełnionej przez siebie zbrodni, bo zabijając Jezusa spowodował lawinę zmian, przy okazji wymazując, być może, własnych przodków. Jest prawdopodobne, że w świecie, w którym Jezusa nie było, nie wynaleziono nigdy podróży w czasie, a więc w chwili jego śmierci Patrol, kurierzy i turyści nie mogli zaistnieć.

Porucznika Sandersona nie zachwyciła chyba jej dociekliwość.

- Poruszyła pani interesujący problem zaistnienia szeregu pobocznych paradoksów.

Obawiam się, że nie mam dość czasu, by wszystkie je odpowiednio wyjaśnić. Najkrócej mówiąc - gdyby przestępstwo nie zostało wykryte niemal natychmiast, zmiany rzeczywiście zaszłyby tak daleko, że mogłyby ogarnąć wieki i doprowadzić w końcu do zmiany przyszłości, zapobiegając prawdopodobnie odkryciu efektu Benchleya i samego Patrolu Czasowego oraz prowadząc do tego, co nazywamy paradoksem ostatecznym, w którym podróże w czasie stają się zaprzeczeniem samych siebie. W rzeczywistości jednak najpoważniejsze zmiany spowodowane otruciem Jezusa nigdy się

nie zmaterializowały, ponieważ kurier odwiedzający Golgotę w chwili Ukrzyżowania odkrył zbrodnię. Ukrzyżowanie miało miejsce w roku 33, zmianie więc podległy wyłącznie lata między tym rokiem a 11. Retroaktywne wymazanie sprawcy wymazało także te niewielkie zmiany, które zaszły w ciągu dwudziestu dwóch lat. Lata te znalazły się w innym prądzie czasu, dla nas niedostępnym i ze wszystkich praktycznych względów nie istniejącym. Podstawowy i autentyczny prąd został przywrócony od roku 11 do terażniejszości.

Panna Dalessandro nie czuła się jeszcze usatysfakcjonowana.

- Przypomina mi to błędne koło, panie poruczniku. Czy ostateczny paradoks nie powinien zejść z prądem aż do terażniejszości natychmiast, w chwili otrucia Chrystusa? Jak to się stało, że kurierzy i Patrol w ogóle przetrwali, by nie wspomnieć o tym, jak udało im się zapamiętać "prawdziwą" przyszłość? Mam wrażenie, że nie powinien istnieć żaden sposób skorygowania zmiany wystarczająco rozległej, by spowodowała paradoks ostateczny.

- Zapomniała pani lub, być może, nie wie jeszcze, że podróżnicy w trakcie pobytu w przeszłości nie podlegają żadnym zmianom spowodowanym przestępstwem w czasie, jako że oderwani są od swych matryc czasowych. Podróżnik to płynąca pod prąd bańka naszej terażniejszości, oderwana od matrycy kontinuum, odporna na działanie paradoksów. Oznacza to, że każdy, kto popłynął pod prąd, może obserwować i korygować zmiany prawdziwej przeszłości, a także zachować wspomnienia zarówno tymczasowych zmienionych warunków, jak i swej roli w naprawieniu sytuacji. Oczywiście każdy podróżnik w czasie opuszczający sanktuarium stanu przejściowego traci ochronę w momencie powrotu z prądem do punktu wyjściowego. Na przykład, jeśli ktoś uda się pod prąd i zabije swego dziadka, nim ożeni się on z babcią, nie przestanie istnieć natychmiast, ponieważ efekt Benchleya chroni go przed paradoksem. Jednak w momencie powrotu do terażniejszości przestanie istnieć, jakby go w ogóle nie było, bowiem w rezultacie zmiany własnej przeszłości nie ma już związku z terażniejszością. Czy to jasne?

Nie, pomyślałem, ale trzymałem język za zębami.

Panna Dalessandro parla przed siebie.

- W trakcie podróży ludzie chronieni są...

- Nazywamy to paradoksem przemieszczenia.

- ... a więc są chronieni paradoksem przemieszczenia, są nim otoczeni. Podczas podróży mają możliwość porównać to, co widzą, z tym, co pamiętają o prawdziwym czasie i - jeśli to konieczne mogą też wprowadzać zmiany prowadzące do odtworzenia rzeczywistości, jeśli została zmieniona.

Tak?

- Tak.

- Dlaczego? Dlaczego są odporni? Wiem, wiem, stale do tego wracam, ale...

Porucznik Sanderson westchnął.

- Ponieważ gdyby zmiany przeszłości ich dotykały, gdy sami są w przeszłości, byłby to paradoks ostateczny - podróżnik w czasie zmieniający epokę, w której powstała podróż w czasie. Jest

to bardziej paradoksalne od paradoksu przemieszczenia. Prawo mniejszych paradoksów stanowi, że paradoks przemieszczenia, jako mniejszy, ma pierwszeństwo. Rozumiecie?

- Nie. Przecież...

- Obawiam się, że nie mogę wchodzić w szczegóły tej sprawy. Nie wątpię jednak, że pan Dajani wyjaśni wam wszystko podczas kolejnych wykładów.

Obdarzył Dajaniego krzywym uśmiechem i wyszedł szybko.

Dajani, co było oczywiście do przewidzenia, nie zajął się w ogóle paradoksami panny Dalessandro. Stosował chytne sztuczki, by zbić ją z tropu za każdym razem, kiedy zadawała mu pytanie związane z tym tematem.

- Możecie być pewni - powiedział - że przeszłość wraca do normy po każdej zmianie.

Hipotetyczne światy stworzone przez bezprawne zmiany przestają istnieć retroaktywnie w

momencie wykonywania wyroku na sprawcy tychże zmian. Quod erat demonstrandum.

Niczego to nie wyjaśniało, ale żadnego innego wyjaśnienia nam nie przedstawiono.

12.

Za to jedno wbijali nam do głowy jak młotkiem - dobre zmiany w przyszłości także są zakazane. Dziesiątki ludzi eliminacja spotkała za próby wytłumaczenia Abe Lincolnowi, że tej nocy nie warto iść do teatru, i za usiłowania przemówienia do rozumu Jackowi Kennedy'emu - na litość boską, człowieku, załóżże kuloodporne szkło na ten swój cholerny kabriolet!

Wymazano ich, dokładnie tak jak morderców Jezusa i zbawców Hitlera. Równie bowiem zbrodnicze jest wobec naszej terażniejszości pomóc Kennedy'emu dotrzeć do końca kadencji, jak pomóc Hitlerowi odbudować Trzecią Rzeszę. Zmiana to zmiana; nawet dobre zmiany mogą mieć nieprzewidziane katastroficzne rezultaty.

- Tylko sobie wyobraźcie - powiedział nam Dajani - że Kennedy nie został zamordowany w 1963 roku, w związku z czym eskalacja wojny w Wietnamie, dzieło jego następcy, nie miała miejsca, co z kolei ocaliło życie tysięcy amerykańskich żołnierzy. Wyobraźmy sobie teraz, że jeden z nich, który w rzeczywistości zginął w 1966 roku, wcale nie zginął, lecz został prezydentem Stanów Zjednoczonych w roku 1992 i rozpoczął wojnę jądrową, której skutkiem była zagłada cywilizacji.

Wbijcie sobie do głowy: pozornie dobroczynna zmiana przeszłości jest niedopuszczalna!

Wbiliśmy to sobie do głowy. Wbijano nam to do głowy raz za razem.

Wbijano nam to do głowy, aż głupieliśmy ze strachu przed wstąpieniem do Służby Czasowej.

Wydawało się nam nieuniknione to, że kiedyś, tam, pod prądem, zrobimy coś, co ściągnie nam na głowę zemstę Patrolu.

- Nie przejmuj się - tłumaczył mi Sam. - Gadają i gadają, jakby karę śmierci orzekano milion razy dziennie. Moim zdaniem w ciągu ostatnich dziesięciu lat skazano niespełna pięćdziesiąt osób.

Samych szaleńców z gatunku tych, co to myślą, że ich misją jest zabić Mahometa.

- Więc jak Patrolowi udaje się utrzymać przeszłość niezmienną?

- Nie udaje się. Przeszłość się zmienia. Mimo Patrolu.

- Więc dlaczego nie zmienia się nasza teraźniejszość?

- Zmienia - oświadczył spokojnie Sam. - W drobiazgach. Gdyby jakiś kurier dał antybiotyk

Aleksandrowi Wielkiemu, gdyby pomógł mu dożyć w zdrowiu późnego wieku, zmiana byłaby nie

do przyjęcia i Patrol by jej zapobiegł, ale pomniejsze skandale dzieją się przez cały czas. Kurierzy

odkrywają zaginione manuskrypty, śpią z Katarzyną Wielką, zbierają antyki do odsprzedaży w

naszym czasie. Ten twój Dajani handlował Drzewem Krzyża, prawda? Złapali go, ale wyroku nie

wykonali, prawda? Po prostu zdjęli go z przynoszącej ogromne dochody trasy i na jakiś czas wrócił

do szkółki, prawda? Większości tego typu drobiazgów w ogóle nikt nie odkrywa. - Spojrzał znacząco

na swą kolekcję antyków. - Jud, kiedy wreszcie wejdiesz w ten biznes, odkryjesz, że dwadzieścia

cztery godziny na dobę żyjesz w kontakcie z przeszłością. Kurier zmienia przyszłość za każdym

razem, kiedy nadeptnie na mrówkę w roku dwutysięcznym przed naszą erą. I jakoś żyjemy. Ci kretyni

z Patrolu pilnują strukturalnych zmian w historii, ale małe zostawiają w spokoju. Nie ma ich tylu,

żeby pilnowali wszystkiego.

- Ale... ale przecież w ten sposób wprowadzamy mnóstwo małych zmian, które się sumują.

Mrówka tu, motylek tam; suma drobnych zmian powoduje większą zmianę, a wtedy nikt już nie

będzie w stanie prześledzić tych małych zmian do źródła i poprawić sytuację na taką, jaka powinna

być!

- Masz rację.

- Nie sprawiasz wrażenia zmartwionego tą możliwością.

- A czym mam się martwić? Przecież świat nie należy do mnie.

Co mnie obchodzi, czy historia zostanie zmieniona, czy nie?

- Obchodzi, obchodzi, jeśli na przykład zmiana miałaby cię wyeliminować.

- Istnieją ważniejsze problemy, Jud. Na przykład, jak dobrze się bawić dziś. I wyspać na jutro.

- Nie martwi cię, że pewnego dnia możesz obudzić się i stwierdzić, że właśnie przestałeś istnieć?

- Kiedyś tak czy siak przestanę - zauważył całkiem rozsądnie Sam. - Bez najmniejszych wątpliwości. Jeśli nie dziś, to jutro. Tymczasem mam zamiar dobrze się bawić. Jeść, pić, cieszyć się życiem, mały. Przeszłość może mnie dopaść, kiedy tylko chce.

13.

Kiedy wreszcie skończyli wbijać nam do głowy zasady ogólne, staliśmy wysłani na próbne wycieczki pod prąd. Każdy z nas był już, oczywiście, w przeszłości, nim jeszcze rozpoczęliśmy szkolenie; sprawdzano wtedy, czy nie ma psychologicznych przeciwwskazań do podróży w czasie. Teraz chcieli, żebyśmy przyjrzeni się kurierom podczas pracy, więc dołączyli nas do ich grup. Zostaliśmy podzieleni tak, by nie było nas więcej niż dwójka na każdą z sześciu czy ośmiu wycieczek. Dla oszczędności mieliśmy obserwować zdarzenia dziejące się dokładnie tu, w Nowym Orleanie (gdybyśmy mieli obejrzeć, na przykład, bitwę pod Hastings, musieliby przedtem kupić nam bilety lotnicze do Londynu. Podróż w czasie nie dotyczy podróży w przestrzeni, człowiek musi fizycznie znajdować się w miejscu, którego przeszłość chce sobie obejrzeć, nim skoczy pod prąd). Nowy Orlean to całkiem fajne miasto, ale przeszłości nie ma znów aż tak wspaniałej. Nie pojmuję, dlaczego ludzie płacą bardzo przyzwoite pieniądze, żeby skoczyć pod prąd tu, kiedy za mniej więcej to samo mogliby obserwować podpisanie Deklaracji Niepodległości, upadek Konstantynopola albo zabójstwo Juliusza Cezara. Służba Czasowa chętnie jednak umożliwia podróż do każde go ważniejszego zdarzenia - z uwzględnieniem ograniczeń dobrego gustu, oczywiście - dla każdej grupy nie mniejszej niż osiem osób dysponujących wystarczającą ilością gotówki. Przypuszczam, że patriotyczni mieszkańcy Nowego Orleanu mają wszelkie prawo do obejrzenia

sobie przeszłości swego miasta, jeśli tylko wyrażą taką ochotę.

Tak więc pan Chudnik i panna Dalessandro wysłani zostali w rok 1815, by wiwatować na cześć Andrew Jacksona podczas bitwy o Nowy Orlean. Pan Burlingame i pan Oliveira przenieśli się w rok 1877; byli świadkami wyrzucenia z miasta ostatnich carpetbaggerów. Pan Hotchkiss i pani Notabene przenieśli się w rok 1803, by zobaczyć, jak Stany Zjednoczone wchodzi w posiadanie Luizjany, wykupionej od Francuzów. Panna Chambers i ja przenieśliśmy się w rok 1935, rok zamachu na Hueya Longa.

Zamachy odbywają się na ogół w okamgnieniu. Nikt nie podróżuje w przeszłość, by zobaczyć błysk krótkiej serii. Służba Czasowa zaproponowała więc ludziom pięciodniową wycieczkę po Luizjanie z zabójstwem wielkiego człowieka jako jej ukoronowaniem. Wraz z nami w przeszłość udało się sześć osób, trójka zamożnych miejscowych biznesmenów po pięćdziesiątce a przed sześćdziesiątką, wraz z żonami. Jeden z nich był prawnikiem, drugi lekarzem, trzeci dyrektorem Luizjana Power & Light Company. Kurier doskonale nadawał się na pasterza tego czcigodnego stadka - był szczupły, nie wyróżniał się niczym i nazywał Madison Jefferson Monroe.

- Mówcie mi Jeff - zaproponował przy pierwszym spotkaniu.

Nim gdziekolwiek się udaliśmy, byliśmy zobowiązani wziąć udział w kilku wieczorkach zapoznawczych.

- To wasze timery - oświecił nas Jeff Monroe. - Musicie ciągle je mieć na sobie. Włóżcie timery w kwaterze Służby Czasowej, po czym nie wolno wam ich zdejmować, póki nie znajdziecie się z powrotem w naszym teraz. Macie się z nimi kąpać, spać, odbywać... ach, wszelkie funkcje intymne. Myślę, że wszyscy wiecie, czemu wprowadzono tego typu ograniczenia. Historia nie przetrwałaby taka, jaką znamy, gdyby timer wpadł w ręce kogoś z XX wieku, żądamy więc, byście cały czas trzymali go przy sobie.

- Łże - powiedział Sam, kiedy powtórzyłem mu te słowa. - Ludzie stamtąd za cholerę nie

wiedzieliby, co zrobić z timerem. Prawdziwy powód jest taki, że czasami trzeba wynosić się skądś w pośpiechu, na przykład by uniknąć linczu; kurier nie może ryzykować, że tego akurat dnia ktoś przez zapomnienie zostawi timer w hotelu. Tego jednak nikt nie odważy się powiedzieć wprost.

Timery, które dostarczył nam Jeff Monroe, różniły się nieco od tych, których używaliśmy z Samem. Kontrolki zostały zaplombowane - funkcjonowały tylko wtedy, kiedy kurier włączył swój na odpowiednią częstotliwość. Miało to sens; Służba Czasowa nie przepada za ludźmi, którzy skaczą sobie w czasie całkiem samodzielnie.

Nasz kurier wygłosił dłuższe przemówienie o konsekwencjach dokonanych w przeszłości zmian. W trakcie kazania kilkakrotnie podkreślał, że nie powinniśmy ryzykować.

- Nie zaczynajcie rozmów - tłumaczył. - Odzywajcie się tylko wtedy, kiedy ktoś zagadnie was pierwszy. Każdą rozmowę z obcym człowiekiem starajcie się ograniczyć do absolutnego minimum. Nie używajcie slangu, nikt go nie zrozumie. Może spotkacie innych turystów, nie odzywajcie się do nich, nie powinniście nawet ich pozdrawiać. Macie ignorować wszelkie zabiegi zwrócenia waszej uwagi. Każdy, kto złamie te zasady, choćby w najmniejszym drobiazgu, zostanie pozbawiony prawa skoku i natychmiast odstawiony w naszą teraźniejszość. Zrozumiano?

Poważnie skinęliśmy głowami.

- Myślcie o sobie jako o przebranych chrześcijanach, którzy znaleźli się w świętym mieście muzułmanów, Mekce. Jak długo nie zostaniecie zdemaskowani, nic się nikomu nie stanie, w przeciwnym razie znajdziecie się w poważnym niebezpieczeństwie. Więc we własnym dobrze pojętym interesie trzymajcie gębę na kłódkę, oglądajcie sobie to, co obejrzeć warto, i nie odzywajcie się wcale. Wszystko będzie dobrze, jeśli tylko nie zwrócicie na siebie uwagi.

Od Sama usłyszałem, że turyści bardzo często łądają się w kłopoty w stosunkach z żyjącymi pod prąd ludźmi, niezależnie od wysiłków kurierów robiących wszystko, by uniknąć tego typu sytuacji. Czasami daje się zapobiec nieszczęściu dzięki dyplomatycznym wyjaśnieniom;

obrażonemu tłumaczy się po prostu, że ma do czynienia z człowiekiem niespełna rozumu. Niekiedy konieczna jest jednak szybka ewakuacja całej wycieczki. Wówczas kurier ucieka ostatni, taka jest zasada, co w przeszłości powodowało sporo śmiertelnych wypadków wśród kurierów. W szczególnie trudnych sytuacjach wkracza Patrol i rektroaktywnie odwołuje wycieczkę winnego, nie dopuszczając do popełnienia przestępstwa.

- Niektórzy z tych bogatych sukinsynów - mówił mi Sam - dosłownie wpadają w furję, kiedy pojawia się funkcjonariusz Patrolu i rozkazuje takiemu wycofać się z wycieczki, bo w przeszłości popełni tragiczne fauxpas. Nic nie rozumieją. Obiecują, że będą grzeczni, nie zdając sobie sprawy, że takie obietnice nie są nic warte, bo ich zachowanie już zostało zarejestrowane. Kłopot z tymi idiotami

polega przede wszystkim na tym, że nie potrafią myśleć czterowymiarowo.

-Ja też nie potrafię - oznajmiłem, kompletnie zbity z tropu.

- To się naucz. Tak będzie dla ciebie lepiej - poradził mi Sam.

Przed skokiem w 1935 rok przeszliśmy jeszcze szybki hipnokurs z podstaw zachowań tej epoki. Wpompowano w nas informacje o Wielkim Kryzysie, o Nowym Ładzie, o rodzinie Longow z Luizjany, o tym jak Huey Long zdobywał sławę, o jego programie "Dzielmy się bogactwem" polegającym na odbieraniu bogatym i dawaniu biednym, o sporze z prezydentem Franklinem Delano Rooseveltem i marzeniach o prezydenturze w 1936 roku, o tym jak radośnie lekceważył tradycję i jak demagogicznie manewrował ludźmi. Przekazano nam też informacje o drobiazgach: słynnych ludziach, wynikach sportowych, kursach akcji - nie mogliśmy za bardzo rzucać się w oczy.

Na końcu dostaliśmy ubrania z epoki. Łaziliśmy w kółko chichocząc i dowcipkując; bawił nas widok nas samych ustrojonych w tyle ciuchów. Jeff Monroe jeszcze raz wszystko sprawdził, przypominając przy tym mężczyznom o rozporkach - jak ich używać i że stale powinny być zapięte - kobietom zaś, że ukazywanie piersi od sutek w dół jest zakazane. Bardzo poważnym tonem uprzedził, że udajemy się w czasy wyjątkowo purytańskie; czasy gdy neurotyczne zahamowania

uważano za cnotę, a normalną dla nas swobodę w zachowaniu za grzeszną i bezwstydną.

W końcu byliśmy gotowi.

Zabrali nas na górę, do Starego Nowego Orleanu; skok z któregoś z poziomów z pewnością nie wyszedłby nam na zdrowie. W jednej ze starych czynszówek na North Rampart Street mieliśmy pokój do skoków w dwudziesty wiek.

- No to pod prąd - powiedział Madison Jefferson Monroe i dał sygnał aktywujący nasze timery.

14.

Nagle znaleźliśmy się w 1935 roku.

W zaniedbanym pokoju nie stwierdziliśmy żadnych zmian, niemniej wszyscy wiedzieliśmy, że skoczyliśmy pod prąd.

Byliśmy ubrani w ciasne buty i śmieszne ubrania, mieliśmy też prawdziwe pieniądze, amerykańskie dolary, bo odciski kciuków nie były tu legalnym środkiem płatniczym. Ktoś ze Służby był tu już wcześniej i na pierwszą część pobytu zarezerwował nam miejsca w dużym hotelu na Canal, na granicy starej dzielnicy francuskiej. Jeff Monroe jeszcze raz uświadomił nam wszystkie niebezpieczeństwa wycieczki, po czym wyszliśmy i za rogiem skręciliśmy w wiodącą do hotelu ulicę.

Jak na kryzys, ruch samochodowy był fantastyczny. Hałas także. Szliśmy przed siebie parami, prowadzeni przez Jeffa. Strasznie się na wszystko gapiliśmy, ale to akurat nie było niebezpieczne, co najwyżej miejscowi obywatele pomyślą sobie, że przyjechaliśmy z Indiany. Ciekawość nie czyniła z nas jeszcze przybyszy z 2059 roku.

Thibodeaux, facet z elektrowni, nie potrafił pogodzić się z widokiem zawieszonych na słupach przewodów wysokiego napięcia.

- Czytałem o tym - powtarzał kilkakrotnie - ale nie wierzyłem, że tak naprawdę było!

Kobiety podkpiwały sobie z mody. Był ciepły, wilgotny wrześniey dzień, a ludzie chodzili po ulicach okutani po szyję! Nie potrafiły tego zrozumieć.

Wszyscy mieliśmy problemy z pogodą. Nigdy przedtem nie doświadczyliśmy prawdziwej wilgotności, w podziemnych miastach to zjawisko nie występuje, a tylko szaleńcy jeżdżą na górę, kiedy pogoda nie sprzyja. Mordowali się więc i pociliśmy na potęgę.

W hotelu nie było klimatyzacji. Sądzę, że nie została jeszcze wynaleziona.

Zameldował nas Jeff. Kiedy już wszyscy podpisaliśmy się w księdze gości, recepcjonista - człowiek oczywiście, a nie komputerowy terminal - walnął w dzwonek i krzyknął: "Od frontu!".

Obskoczył nas tłum czarnych, przyjaznych bojów hotelowych, zabierając wszystkie bagaże.

- Myślisz, że to niewolnicy? - spytała męża szeptem pani Bienvenu.

- Nie, nie! - zaprotestował jej mąż. - Niewolnictwo zniesiono siedemdziesiąt lat temu!

Recepcjonista musiał go usłyszeć. Ciekawe, co sobie pomyślał?

Kurier zameldował mnie w jednym pokoju z Florą Chambers. Uprzedził, że jesteśmy państwem Elliott i że w tej epoce niezamężne pary nie mogą mieszkać w jednym pokoju, nawet jeśli należą do tej samej wycieczki... Flora uśmiechnęła się bladym, lecz pełnym nadziei uśmiechem.

- Będziemy udawać, że mamy czasówkę - powiedziała.

Monroe spojrział na nią wściekle.

- Nie rozmawiamy o obyczajach obowiązujących z prądem!

- To w 1935 roku nie było związków czasowych?

- Cicho bądź! - warknął Jeff.

Rozpakowaliśmy się, wzięliśmy kąpiel i poszliśmy obejrzeć miasto. Byliśmy na Basin Street.

Wysłuchaliśmy całkiem przyzwoitego prymitywnego jazzu. Potem poszliśmy kawałek dalej, na Bourbon Street, na striptiz. Lokal był pełen; zdumiało nas, że dorośli mężczyźni i dorosłe kobiety przez godzinę znoszą bez protestów tak zanieczyszczone powietrze i tyle kiepskiej muzyki tylko po

to, by zobaczyć, jak jakaś dziewczyna zdejmuje parę sztuk ubrania.

Kiedy wreszcie skończyła, piersi nadal zasłonięte miała lśniącoymi małymi tarczami, a łono kawałkiem materiału. Każdy zainteresowany prawdziwą nagością może ją sobie przecież obejrzeć codziennie w publicznej łaźni. Ale oczywiście społeczeństwo to było społeczeństwem zakłamanym, zwłaszcza pod względem seksualnym.

Drinki i inne opłaty objęto jednym rachunkiem. Płacił wyłącznie Jeff Monroe. Służba Czasowa nie chciała, by zwykli turyści posługiwali się nie znanymi sobie pieniędzmi, chyba że byłoby to absolutnie konieczne. Jeff zręcznie opędzał nas od pijaków, żebraków i alfonsów, oblegających nasz stół i stawiających nas wobec trudnych problemów obyczajowości 1935 roku.

- Ciężko być kurierem - zauważyła Flora.

- Tylko pomyśl, tyle podróży za darmo - odparłem.

Zdumiała nas przede wszystkim brzydota ludzi. Dopiero teraz naprawdę zdaliśmy sobie sprawę z tego, że nie było tu salonów gępioty, że nie znano mikrochirurgii kosmetycznej, że genetyka estetyczna, gdyby nawet w 1935 roku coś o niej wiedziano, uważana byłaby prawdopodobnie za komunistyczny lub faszystowski zamach na prawo wolnego człowieka do płodzenia brzydkich dzieci. Mimo wszystko reagowaliśmy zaskoczeniem na odstające uszy, niezdrową cerę, nosy jak kartofel i inne cechy fizyczne nie programowanych, nie opracowanych ludzi. W porównaniu z nimi najbrzydszy członek naszej grupy był piękny jak bóstwo.

Litowaliśmy się nad naszymi przodkami, którym przyszło żyć w czasach mrocznych i nieoświeconych.

Kiedy wróciliśmy do hotelu, Flora zrzuciła ubranie. Padła na łóżko z rozrzuconymi nogami.

- Bierz mnie! - krzyknęła. - Jestem pijana!

Sam byłem trochę pijany, więc ją wziąłem.

Madison Jefferson Monroe pilnował, byśmy przez cały wieczór nie wypili więcej niż jednego

drinka. Mimo pokusy żadnemu z nas nie wolno było spróbować drugiego, pozostały nam wyłącznie napoje orzeźwiające. Nie chciał ryzykować, że powiemy coś bezmyślnego pod wpływem alkoholu, substancji, do której tak naprawdę nie byliśmy przyzwyczajeni. Okazało się, że nawet jeden drink potrafi rozluźnić język i zmiękczyć mózg; pewnym uczestnikom wycieczki wyrwały się uwagi, które, podsłuchane, mogłyby sprawić nam spore kłopoty.

Zdumiało mnie, że ludzie z XX wieku potrafią wypić tyle i się nie przewracają.

- Przyzwyczaj się do alkoholu - poradził mi Sam. - To ulubiona trucizna w większości miejsc spod prądu. Wyrób sobie tolerancję, bo możesz mieć kłopoty.

- Żadnych narkotyków? - zainteresowałem się.

- No, tu i tam znajdziesz trochę zielska, ale nic naprawdę psychodelicznego. Pałace nochali to nasz autentyczny wynalazek. Naucz się pić, Jud. Naucz się pić.

Nieco później odwiedził mnie w pokoju Jeff. Flora leżała na łóżku nieprzytomna.

Porozmawialiśmy sobie o specyfice zawodu kuriera. Nawet go polubiłem, mimo że taki był gładki, taki bez wyrazu.

Najwyraźniej lubił swoją pracę. Jego specjalnością były Stany Zjednoczone XX wieku.

Skarżył się tylko na to, że bez przerwy ogląda zamachy.

- Nic tylko morderstwa i morderstwa - powiedział. - Dallas, Los Angeles, Memphis, Nowy Jork, Chicago, Baton Rouge, Cleveland, raz za razem, raz za razem. Nawet nie wiesz, jak męczy mnie przebijanie się przez tłum na estakadzie, wskazywanie właściwego okna na piątym piętrze, przyglądanie się tej biednej kobiecie, kiedy wpełza na tylne siedzenie. Huey Long nie ma przynajmniej aż takiego wzięcia. W Dallas jest mnie za to chyba ze dwudziestu. Czy ludzi naprawdę nie interesuje to, co w XX wieku było piękne i szczęśliwe?

- A coś było? - zdziwiłem się.

Sniadanie zjedliśmy w Brennan's, obiad u Antoine'a, obejrzelśmy Garden District, wróciliśmy na Stare Miasto, by zwiedzić katedrę na Jackson Street, a potem poszliśmy przyjrzeć się Missisipi. Widzieliśmy Clarka Gable'a i Jean Harlow w "Red Dust", odwiedziliśmy pocztę i bibliotekę publiczną, kupiliśmy mnóstwo gazet (dopuszczalnych jako pamiątki). Przez kilka godzin słuchaliśmy radia. Przejechaliśmy się tramwajem zwanym Pożądaniem. Jeff zabrał nas na przejażdżkę wypożyczonym samochodem. Każdemu z nas oferował możliwość poprowadzenia go, ale nikt się nie zgodził; z przerażeniem obserwowaliśmy skomplikowaną czynność zmiany biegów. Jednym słowem, doświadczyliśmy dwudziestowiecznej codzienności. Jak gąbka nasiąknęliśmy smakiem epoki.

Potem udaliśmy się do Baton Rouge, by obejrzeć zabójstwo senatora Longa.

Dotarliśmy tam w sobotę, siódmego września. Zajęliśmy pokoje w hotelu; Jeff przysięgał, że jest to najlepszy hotel w mieście. Odbywała się właśnie sesja parlamentu stanowego. Huey przybył z Waszyngtonu, by jej przewodzić. Włóczyliśmy się po mieście bez celu aż do późnego niedzielnego popołudnia. Potem nasz kurier zabrał całą grupę na przedstawienie.

Jeff założył sobie termoplastyczną maskę. Rumianą twarz o zdrowej cerze zmienił na poznaczoną dziobami po ospie i ozdobioną wąsami. Nosił ciemne okulary, które pożyczył chyba od Dajaniego.

- Trzeci raz prowadzę tu grupę - oznajmił nam. - Moim zdaniem nie wyglądałoby najlepiej, gdyby ktoś dostrzegł identyczne trojaczki w korytarzu, gdzie zastrzelono Hueya.

Zapowiedział nam też stanowczo, że mamy nie zwracać uwagi na innych Jeffów Monroe, gdyby zdarzyło się nam ich dostrzec. To on, ze śladami po ospie na twarzy, wąsami i ciemnymi okularami jest naszym kurierem, do pozostałych dwóch nie wolno nam się zbliżać.

Pod wieczór podeszliśmy wreszcie do kolosalnej, trzydziestotrzypiętrowej siedziby władz stanowych. Zachowywaliśmy się niczym przypadkowi przechodnie, podziwiając wzniesioną przez

Longa katedrę za pięć milionów dolarów. Weszliśmy niepostrzeżenie. Jeff co kilka sekund zerkał na zegarek.

Ustawił nas w miejscu, z którego wszystko mieliśmy widzieć doskonale, pozostając jednocześnie poza zasięgiem kul.

Nie sposób było nie zauważyć innych grup turystów, zajmujących miejsce w pobliżu. Jedną z nich prowadził niewątpliwie Jeff Monroe, drugą mężczyzna podobny, ale z okularami w drucianych oprawkach na nosie i śliwkowym znamieniem na policzku. W sposób bardzo wyszukany nie patrzyliśmy w ich kierunku. Oni pracowali ciężko, żeby nie zauważyć nas.

Zacząłem naprawdę martwić się paradoksem kumulacji. Miałem wrażenie, że każdy, kto kiedykolwiek skoczył pod prąd, by obejrzeć zabójstwo Longa, powinien tu być. Powinny tu być może i tysiące ludzi, rozpychających się łokciami, by zobaczyć cokolwiek, a jednak było nas zaledwie kilkunastu, reprezentujących turystów z roku 2059 i lat wcześniejszych. Gdzie się podzieli inni? Czyżby czas był tak elastyczny, że to samo zdarzenie może się rozgrywać nieskończoną ilość razy, wciąż dla większej widowni?

- Idzie - szepnął Jeff.

Szef spieszył w naszym kierunku, za nim truchtem biegła obstawa. Huey był niewysoki, tęgi, miał czerwoną twarz, krótki, zadarty nos, włosy tak rude, że niemal pomarańczowe, grube wargi i dwa podbródki. Wydawało mi się, że wyczuwam w nim siłę; zastanowiłem się też, czy przypadkiem nie oszukuję sam siebie. Podchodząc do nas, pan senator podrapał się po lewym pośladku, powiedział coś do idącego po jego lewej stronie mężczyzny i kaszlnął. Garnitur miał pognieciony, włosy rozczochrane.

Z wyjaśnień naszego kuriera wiedzieliśmy, gdzie szukać zamachowca. Na chrząknięcie Jeffa

- broń Boże nie wcześniej! - obróciliśmy głowy. Doktor Carl Austin Weiss wyszedł z tłumu, zrobił krok w kierunku senatora i wcisnął mu w brzuch dwudziestkę dwójkę. Strzelił raz. Huey, zdumiony,

padł na znak. Był śmiertelnie ranny. Jego obstawa nie patyczkowała się - zabiła doktora Weissa na miejscu. Na podłodze pojawiły się kałuże lśniącej krwi. Ludzie zaczęli krzyczeć, podnieceni, czerwoni na twarzach goryle napaarli na nas z całej siły, każąc nam się cofnąć, jeszcze, jeszcze się cofnąć.

I to wszystko. Zdarzenie, które przyjechałem obejrzeć, właśnie się skończyło. Wydało mi się naraz nierzeczywiste, powtórka z historii starożytnej, sprytny, ale nie bardzo przekonywający tridim. Autentyczność przedstawienia wprawdzie nam zaimponowała, lecz nie pozostawiło ono po sobie większego wrażenia.

Żadna z latających wokół kul nie wydała nam się prawdziwa. A przecież były to prawdziwe kule i gdyby któraś trafiła kogoś z nas, ten ktoś zginąłby prawdziwą śmiercią. Dla dwóch leżących na lśniącej posadzce korytarza ludzi to, co się zdarzyło, było nieodwracalną prawdą.

16.

Odbyłem jeszcze cztery treningowe wycieczki, nim mianowano mnie pełnoprawnym kurierem czasowym. Pod prąd skakałem zawsze w okolice Nowego Orleanu. Doskonale poznałem historię tego regionu.

Trzecia wycieczka odbyła się w rok 1803 - rok zakupu Luizjany. Uczestniczyłem w niej jako jedyny kandydat wśród siedmiorga turystów. Przewodnikiem był niewysoki kurier o zdecydowanych, twardych rysach twarzy - Sid Buonocore. Kiedy wspomniałem go w rozmowie, Sam roześmiał się głośno.

- Och, ten ciemny typ! - powiedział.

- Ciemny typ? - zdziwiłem się.

- Prowadził grupy w renesans. Patrol Czasowy przyłapał go na podstawianiu turystek

Cesarowi Borgii. Dziewczyny nieźle mu za to płaciły. Borgia też. Buonocore twierdził, że

wykonywał tylko swój zawód - umożliwiał dziewczynom głębsze poznanie epoki, rozumiesz?

Przenieśli go z renesansu na zakup Luizjany.

- To kurier musi też nadzorować życie seksualne klientów?

- Nie. Ale transtemporalne stręczycielstwo nie leży w zakresie jego obowiązków.

Transtemporalny alfons wydał mi się całkiem sympatycznym łotrem. Buonocore nie był bynajmniej przystojny, roztaczał jednak wokół siebie aurę wszechogarniającej seksualności, której nie mogłem nie podziwiać. Najoczywiściej dbał też o swą kieszeń z wdziękiem, jaki mogłem uznać wyłącznie za wdzięk prawdziwego łotra. Trudno jest podziwiać kryjącego się w tłumie kieszonkowca, łatwo jednak polubić śmiałego bandytę. A Sid był właśnie bandytą.

Poza tym był bardzo zdolnym kurierem. Wślizgnęliśmy się do Nowego Orleanu roku 1803 jako grupa holenderskich kupców badających rynek. W tym przebraniu byliśmy całkiem bezpieczni, przynajmniej tak długo, jak długo nie wpadliśmy na autentycznego Holendra, a w dodatku tłumaczyło ono nasz dziwny, przyszłościowy akcent. Łaziliśmy po mieście w niewygodnych, dziewiętnastowiecznych strojach, czując się niczym banda aktorów odgrywających jakiś historyczny dramat. Sid z rozmachem wtajemniczał nas w sekrety przeszłości. Na boku zaś, co odkryłem niemal natychmiast, prowadził wysoce lukratywny handel złotymi dublonami i hiszpańskimi ośmiorealami. Mną się nie przejmował, niczego nie ukrywał, ale też o niczym nie mówił i nigdy nie poznałem intrygujących szczegółów jego transakcji. Miało to chyba coś wspólnego z różnicą kursów. Na pewno wiem tylko tyle, że wymieniał srebrne amerykańskie dolary na brytyjskie złote gwinee, za złote gwinee z wielką zniżką kupował srebrne francuskie monety, po czym nocami na brzegach Missisipi spotykał się z karaibskimi bukanierami, którzy wymieniali mu francuskie srebro na złote i srebrne monety hiszpańskie. Co robił z dublonami i ośmiorealówkami, nie dowie działem się nigdy, nigdy też nie zrozumiałem, skąd się biorą zyski. Najlepsza z wypracowanych przeze mnie na ten temat teorii brzmiała: wymienia jak najwięcej walut, by zdobyć egzemplarze numizmatycznej wartości, sprzedawane kolekcjonerom z prądem, ale to wydawało mi się zbyt prostackie jak na styl

tego człowieka. Sid niczego mi w każdym razie nie wyjaśnił, a ja byłem zbyt nieśmiały, żeby zadawać pytania.

Bardzo intensywnie uprawiał też seks. U kuriera to nic niezwykłego.

- Turystki są łatwą zdobyczą - tłumaczył mi Sam. - Przewracają się o własne nogi, byle tylko wskoczyć ci do łóżka. To jak z tymi białymi myśliwymi w Afryce.

Bardzo szybko odkryłem jednak, że Sid Buonocore nie ograniczał się do rozmarzonych, romantycznych turystek.

Pewnej nocy w czasie naszej wycieczki, pragnąc wyjaśnić jakiś problem, zapukałem do jego pokoju. Usłyszałem: "Wejść!", więc wszedłem. Sid nie był sam. Na łóżku leżała w niedbalej pozie ciemna pokojówka, naga, spocona, potargana. Miała twarde, duże piersi o sutkach koloru czekolady.

- Bardzo przepraszam - wyjąkałem. - Nie chciałem wam przerywać...

- W porządku! - roześmiał się Sid. - Już skończyliśmy. Niczego nie przerywasz. To Maria.

- Dzień dobry, Mario - wydukałem niepewnie.

Dziewczyna zachichotała pijackim śmiechem. Buonocore powiedział coś do niej w kreolskim patois; zachichotała znowu. Wstała z łóżka, naga, wykonała elegancki dyg.

- Bon soir, m'sieur - wyszeptała, a potem nogi ugięły się pod nią. Miętko padła na podłogę.

- Wspaniała dziewczyna, nie? - rzekł z dumą Sid. - Pół-Indianka, pół-Hiszpanka, pół-Francuzka. Napij się rumu.

Wypiłem łyk z podanej mi flaszki.

- Za dużo tych połówek - zauważyłem.

- Maria na niczym nie oszczędza.

- Nie wątpię.

- Spotkałem ją podczas ostatniej podróży. Czasuję bardzo uważnie, tak żeby móc mieć ją na trochę każdej nocy, a jednocześnie nie pozbawiać jej moich innych ja. Chodzi o to, że nie wiem

przecież, ile jeszcze tych cholernych wycieczek poprowadzę. Tak czy owak, Jud, mogę przecież urządzić się wygodnie za każdym razem, kiedy skaczę pod prąd, nie?

- Czy to nie ryzykowne mówić takie rzeczy przy...

- Nie zna słowa po angielsku. Nie ma żadnego ryzyka.

Maria poruszyła się. Jęknęła. Sid wyjął mi flaszkę z ręki i wylał jej trochę rumu na piersi.

Dziewczyna znów zachichotała i zaczęła go wcierać w skórę niczym czarodziejski eliksir wzrostu.

Nie potrzebowała żadnego eliksiru.

- Jest bardzo namiętna - rzekł Sid.

- Wierzę ci na słowo.

Sid coś powiedział. Maria wstała, zrobiła kilka kroków w moją stronę; jej piersi poruszały się ciężko, wokół unosił się ciężki zapach rumu i pożądania. Niepewnie wyciągnęła ku mnie ręce, lecz straciła równowagę i upadła. Śmiała się, nawet nie usiłując wstać.

- Chcesz jej spróbować? Poczekaj, aż trochę wytrzeźwieje, zabierz ją do swojego pokoju i dobrze się zabaw.

Wspomniałem coś o interesujących chorobach, których może być nosicielką. Mój przesadny pedantyzm objawia się czasami w najdziwniejszych momentach.

- Brałeś szczepionki - syknął pogardliwie Buonocore. - Czego się boisz?

- Uodporniają nas na tyfus, dyfteryt, żółtą febrę i w ogóle. Ale syfilis?

- Jest zdrowa. Wierz mi. A jeśli się denerwujesz, zaraz po powrocie możesz wziąć

termokąpiel. - Wzruszył ramionami. - Skoro śmiertelnie boisz się tego typu rzeczy, może lepiej rozważ, czy rzeczywiście chcesz być kurierem.

- Nie powiedziałem...

- Widziałeś, że jaja biorę. Widziałeś, prawda? Jud, masz mnie za zwykłego głupca czy za ostatniego głupca? Czy poszedłbym do łóżka z syfilityczką? A potem zaproponował ją tobie?

- No...

- O jedno rzeczywiście powinieneś się martwić. Wzięłeś pigułkę?

- Pigułkę?

- Pigułkę, głupcze. Miesięczną pigułkę!

- Aha. Tak, tak, oczywiście.

- Kiedy skaczesz pod prąd, to jest najważniejsze. Nie zamierzasz, mam nadzieję, biegać w kółko zapładniając przyszłe matki innych ludzi. Za takie coś Patrol dopiero dałby ci po tyłku.

Odrobina fraternizacji z ludźmi żyjącymi pod prąd - zrobisz jakiś interes tu czy tam albo z kimś się prześpisz - jeszcze ujdzie, ale uważaj, żeby nie zostawić im żadnych dzieciaków. Pojmujesz?

- Jasne, Sid.

- Pamiętaj, mogę sobie załatwić to i owo, ale nie mam ochoty zmieniać historii w żaden znaczący sposób. Nie mam na przykład zamiaru psuć drzew genealogicznych płodząc dzieci w przeszłości. I ty też nie powinieneś. Nie zapomnij o pigułkach. A teraz bierz Marię i wynoś się.

Wziąłem Marię i wyniosłem się.

W moim pokoju Maria wytrzeźwiała bardzo szybko. Nie mówiła ani słowa w żadnym języku, który rozumiałem. Ja nie mówiłem ani słowa w żadnym języku, który rozumiała ona, ale i tak bardzo dobrze się rozumieliśmy. Mogła sobie być dwieście pięćdziesiąt lat starsza ode mnie, ale na jej zachowanie nie miało to najmniejszego wpływu. Niektóre rzeczy wcale się nie zmieniają.

17.

Kiedy już zostałem kurierem, tuż przed moją pierwszą eskapadą do Bizancjum Sam wyprawił dla mnie pożegnalne party. Zaprosił chyba każdego znanego mi mieszkańca Dolnego Nowego Orleanu, jakoś jednak wszyscy zmieściliśmy się w jego dwóch pokojach. Znalazło się tam miejsce dla dziewczyn z pałacu nochali, dla Shigemitsu, bezrobotnego poety ustnego, mówiącego wyłącznie jambicznym pentametrem, dla pięciu czy sześciu ludzi ze Służby Czasowej, handlarki

lataczy, pełnej szalonego temperamentu zielonowłosej dziewczyny pracującej przy dzieleniu genów w salonie genspirali oraz wielu innych. Sam zaprosił nawet Florę Chambers, ale Flora akurat wczoraj

załapała się na wolne miejsce w skoku do upadku Cesarstwa Rzymskiego.

Na początek każdy gość dostawał co nieco, więc zabawa rozkręciła się szybko. Poczujęm brzęczenie czubka latacza przy ramieniu i niemal w tej samej chwili świadomość rozděła mi się jak balon, rozrosła, aż ciało nie mogło już jej pomieścić, rozerwała jego granice. Z cichym pyknięciem uniosłem się w górę, uleciałem. Wszyscy obecni przeżywali to samo doświadczenie. Wyzwoleni z więzów ciała dryfowaliśmy gdzieś, pod sufitem, w formie mgielki ektoplazmy, ciesząc się jedwabistą miękkością tego doświadczenia. Wysłałem me mgliste macki ku formom Betsy i Helen; wspólnie przeżyliśmy łagodne zjednoczenie w formie psychodelicznej. Tymczasem muzyka sączyła się z tysięcy głośników w pokrywającej ściany farbie, a sufitowy ekran, włączony na kanał abstrakcji, wzmacniał tylko przeżywane przez nas doświadczenie.

Doprawdy, było to słodkie przeżycie.

- Opuszczasz nas, zostawiasz żal, a serce me wciąż w smutku łka - powiedział cicho

Shigemitsu. - Bez ciebie dziś to już nie to, choć cały świat przed sobą masz...

Mówił tak przez dobre pięć minut. Pod koniec jego poemat zrobił się nawet mocno

erotyczny. Szkoda, że niewiele zapamiętałem.

Ulatywaliśmy coraz wyżej i wyżej. Sam, gospodarz idealny, pilnował, by nikt nie nudził się ani przez chwilę. Jego wielkie ciemne ciało lśniło od oliwy. Młoda para ze Służby Czasowej przyszła

z własną trumną, wspaniałą, piękną, wyłożoną jedwabiem, wyposażoną we wszelkie możliwe urządzenia sanitarne. Weszli do środka, a nam pozwolili obserwować monitor z wykresem telemetrii. Potem trumnę wypróbowaliśmy wszyscy, wchodząc do środka po dwoje i troje; z niektórych aktów było doprawdy mnóstwo śmiechu. Moim partnerem była handlarka lataczy.

Spróbowałismy raz, a potem, w środku zabawy, zaczęliśmy od nowa.

Dziewczyny z pałacu zatańczyły dla nas, trójka kurierów zaś - dwóch mężczyzn i sprawiająca wrażenie kruchej kobieta w gronostajowej przepasce na biodrach - pokazali nam uroczą akrobatykę biologiczną. Kroków nauczyli się w Knossos, podpatrując minojskich tancerzy; ich ruchy zaadaptowali do współczesnych gustów po prostu wprowadzając we właściwych momentach kopulację. Podczas tego występu Sam podał nam zakłócające bodźców. Podłączyliśmy się wszyscy i oto nastąpiło coś wspaniałego. Prawdziwa synestezja. Pieściłem chłodne pośladki Betsy czując zapach kwietniowych lilii, ścisnąłem kostkę lodu i poczułem zapach morza podczas wysokiego przyływu, gładziłem pofalowaną tkaninę na ścianie i płuca wypełnił mi oszałamiający zapach płonącego sosnowego lasu. Obrót - i oto dźwięk wyczuwałem dotykiem. Helen stękała mi z miłości w ucho i jej stękanie stało się puszystym mchem, muzyka wylewała się z głośników falami gęstej śmietanki, Shigemitsu jęczał wierszem białym; jego ostry głos docierał do mnie piramidami lodu. Eksperymentowaliśmy także z kolorem, smakiem, odcinkami czasu. Ze wszystkich wspaniałych zmysłowych przyjemności wymyślonych w ciągu ostatnich stu lat zakłócające lubię chyba najbardziej.

Nieco później podeszła do mnie Emily, dziewczyna z salonu genspirali. Była przeraźliwie chuda, miała wręcz boleśnie ostre kości policzkowe, nieregularną szopę zielonych włosów i najpiękniejsze z pięknych, przenikliwie zielone oczy. Choć niewątpliwie wzięła wszystko naraz, sprawiała wrażenie chłodnej, całkowicie opanowanej. Szybko odkryłem jednak, że to złudzenie. Ulatywała.

- Słuchaj uważnie, co ma ci do powiedzenia - poradził mi Sam. - Po lataczu prorokuje. Nie, nie jest oszustką. Ona to robi naprawdę.

Emily padła mi w ramiona. Przytrzymałem ją; nie wiedziałem, co robić, a jej usta tymczasem szukały moich. Miętko opadliśmy na dywan, który pod ciężarem naszych ciał wydał z siebie słodki

akord gitary. Emily miała na sobie szatę z delikatnych miedzianych drutów, przeplatających się pod szyją. Cierpliwie szukałem pod drutami jej piersi, a ona tymczasem powiedziała bezdźwięcznym, proroczym głosem:

- Czeka cię daleka podróż.

- Tak.

- Ruszysz pod prąd.

- Tak.

- Do... Bizancjum.

- Tak, do Bizancjum.

- To nie kraj dla starców! - krzyknął ktoś z przeciwnego kąta pokoju. - Na młodego czekają wyciągnięte ramiona, ptaki w gałęziach drzew...

- Bizancjum - wymamrotała zmordowana tancerka, rozciągnięta u mych stóp.

- Złote kuźnie cesarza! - wrzasnął Shigemitsu. - Duchy, o duchy! Kuźnie łamią fale potopu!

Płomienie nie znają pedała, a stał się w nich zapala!

- Pijaństwo żołnierzy cesarza z nóg zwała - zakończyłem za niego.

Emily drżała. Ugryzła mnie w ucho.

- W Bizancjum spotkasz marzenie swego serca - powiedziała.

- Sam jest tego samego zdania.

- I tam też je stracisz. Będiesz cierpiał, żałował, pokutował i nigdy już nie będziesz taki jak przedtem.

- Brzmi to całkiem poważnie.

- Strzeż się miłości w Bizancjum! - krzyknęła nagle prorokini. - Strzeż się! Strzeż się miłości!

- ... szczęk gryzących, drapiących pazurów! - zaśpiewał Shigemitsu.

Obiecałem Emily, że będę ostrożny, w jej oczach zgasło już jednak prorocze światło. Usiadła,

zamrugła nieprzytomnie.

- Kim jesteś? - spytała. Uda miała mocno zaciśnięte wokół mej lewej ręki.

- Gościem honorowym. Nazywam się Jud Elliott.

- Nie znam cię. Co robisz?

- Jestem... będę kurierem czasowym. Jutro zaczynam służbę.

- A tak, coś sobie chyba przypominam. Ja jestem Emily.

- Tak, wiem. Pracujesz w salonie genspirali?

- Ktoś ci o mnie opowiadał!

- Niewiele. Nie wiem na przykład, co tam robisz.

- Dzielę - wyjaśniła mi Emily. - Dzielę geny. No bo rozumiesz, jeśli ktoś ma na przykład gen rudych włosów, który chciałby przekazać potomstwu, ale jest on połączony z genem, powiedzmy, hemofilii, dzielę geny i odrzucam ten niewłaściwy.

- To chyba bardzo trudne?

- Nie, oczywiście jeśli wiesz, co robisz. Miałam sześciomiesięczny kurs przygotowawczy.

- Długi.

- Tak, ale to interesująca praca. Wiele uczysz się o ludzkiej naturze widząc, jakie ludzie chcą mieć dzieci. Nie każdy chce wprowadzić ulepszenia. Czasami proszą nas o przedziwne rzeczy.

- Wszystko zależy chyba od tego, co rozumie się przez ulepszenia.

- No, przecież istnieją pewne normy dotyczące wyglądu. Zakładamy, że lepiej jest mieć błyszczące, gęste włosy niż w ogóle nie mieć włosów. Dla mężczyzny lepiej jest mieć dwa metry wzrostu niż metr. Lepiej mieć proste zęby niż krzywe. Co byś jednak powiedział, gdyby przyszła do ciebie kobieta i zażądała dla syna nie wykształconych jąder?

- A kto chciałby czegoś takiego dla swojego dziecka?

- Martwiła ją sama myśl o tym, że będzie się zabawiał z dziewczętami.

- Zrobiliście to dla niej?

- Jej żądanie było dwa pełne punkty poniżej normy w indeksie dewiacji seksualnych.

Wszystkie takie prośby odsyłamy do Rady Przeglądu Genetycznego.

- A oni... zgodzą się?

- Och, nie, oczywiście, że nie. Nie aprobują takich nieproduktywnych mutacji.

- Więc nieszczęsna kobieta musi pogodzić się z tym, że będzie miała chłopca z jajami.

Emily uśmiechnęła się pobłaźliwie.

- Może iść do nielegalnego salonu, jeśli jej to odpowiada. Oni zrobią wszystko, dla każdego.

Wiesz coś o nich?

- Nie. Niewiele.

- Produkują zaawansowane mutacje dla awangardy. Pokryte łuską dzieci ze skrzelami. Dzieci o dwudziestu palcach dłoni. Dzieci ze skórą w paski, jak u zebry. Nielegalni rozdzielą każdy gen... za odpowiednią cenę. Są nieprawdopodobnie drodzy. No, ale to głos przyszłości.

- Jak to?

- Mutacje kosmetyczne to przyszłość ludzkości - orzekła Emily. - Nie zrozum mnie źle, nasz salon czegoś takiego nie ruszy, ale ty i ja jesteśmy przedstawicielami ostatniego zuniformizowanego pokolenia w historii ludzkości. Następne będą bogate różnorodnością genotypów i fenotypów. -

Oczy jej zabłyśły błyskiem nagłego szaleństwa, a ja zdałem sobie sprawę, że działający powoli latacz

wreszcie eksplodował w jej żyłach. Zbliżając twarz do mej twarzy, szepnęła: - A co ty o tym sądzisz?

Zróbmy dziecko tu, teraz, a ja przerobię je u siebie w kilka godzin. Będziemy modni!

- Przykro mi - odparłem - ale w tym miesiącu wziąłem pigułkę.

- Możemy choćby spróbować - powiedziała z uporem i wsunęła mi w spodnie ruchliwą rączkę.

Do Stambułu dojechałem w mroczne, letnie popołudnie. Natychmiast złapałem kapsułę na trasie przez Bosfor; kwatery Służby Czasowej znajdowała się po stronie azjatyckiej. Miasto praktycznie nie zmieniło się od czasu, kiedy widziałem je po raz ostatni. Nie zaskoczyło mnie to - Stambuł właściwie wcale się nie zmienił od czasu Kemala Atatürka, czyli przez sto pięćdziesiąt lat. Szare budynki wyglądały dokładnie tak samo jak przedtem, taka sama była platanina nie brukowanych uliczek, taka sama wszechobecna szarość, wszechobecny brud. A nad tą ruiną wznosiły się te same niebiańskie meczety.

Kocham i niezmiernie podziwiam meczety. Meczety są dowodem na to, że Turcy do czegoś się jednak nadają. Mimo nich Stambuł jest jednak dla mnie tylko czymś w rodzaju żalostnego żartu, który ktoś zrobił sobie z ruiny mego umiłowanego Konstantynopola. Widoczne gdzieś okruszki Bizancjum więcej mają dla mnie czaru niż meczet sułtana Ahmeda, Sulejmaniye i meczet Bejazyta razem wzięte.

Na myśl o tym, że wkrótce zobaczę Konstantynopol jako miasto żywe, miasto bez śladu tureckich nowotworów, z radości omal nie zsikałem się w gacie.

Służba Czasowa miała swoją kwaterę w niskim, przysadzistym, imponującym budynku z końca XX wieku, gdzieś w głębi Bosforu, praktycznie naprzeciwko tureckiej fortecy Rumeli Hisari, z której w 1453 roku Mehmet Zwycięzca zdusił Bizancjum. Oczekiwano mnie, a jednak musiałem spędzić w poczekalni dobre piętnaście minut. Otaczali mnie zagniewani turyści, skarżący się na jakąś pomyłkę w datach.

- Gdzie jest końcówka komputera? Chcę, by wszystko to zostało wprowadzone do komputera! - krzyczał jeden z nich, czerwony na twarzy.

Zmordowana sekretarka o twarzy anioła powtarzała mu cierpliwie, że wszystko jest wprowadzane do komputera, wszystko, każde, choćby najcichsze beknięcie. Dwaj umundurowani

giganci z Patrolu przebijali się przez tłum nie zwracając nań najmniejszej nawet uwagi. Twarze mieli ponure; założyłem się, że interesowały ich wyłącznie obowiązki, same obowiązki, nic, tylko obowiązki. Niemal słyszałem, jak myślą: "Aha! Aha!". Chuda kobieta o wąskiej, trójkątnej twarzy podbiegła do nich, podsuwając im pod wysunięte szczęki jakieś papiery.

- Siedem miesięcy temu potwierdziłam rezerwację! Siedem miesięcy! Zaraz po Bożym Narodzeniu! A teraz mówią mi...

Funkcjonariusze parli przed siebie. W tym momencie pojawił się w poczekalni robot sprzedający losy na loterię, a za nim obdarty, nie dogolony Turek z miodowymi ciasteczkami na tłustej tacy.

Podziwiałem jakość całego tego zamieszania. Doprawdy, było dziełem geniuszu. Mimo to jednak ratunek powitałem z wdzięcznością. Lewantyński typek mogący być najbliższym krewnym radosnej pamięci Najeeba Dajaniego pojawił się nieoczekiwanie przy mym boku, przedstawił jako Spiros Protopopolos i pospiesznie wyprowadził mnie przez przesuwne drzwi, których wcześniej nawet nie zauważyłem.

- Trzeba było wejść bocznym wejściem - powiedział. - Bardzo przepraszani za opóźnienie. Nie wiedzieliśmy, że pan już przyjechał.

Protopopolos był niewysoki, tęgi, zręczny, na nosie miał okulary, w uśmiechu zaś szczyrzył mnóstwo bardzo białych zębów. Kiedy jechaliśmy w górę, do kwatery kurierów, spytał:

- Nigdy nie prowadził pan wycieczek? To pana pierwsza wyprawa jako kuriera, prawda?

- Tak. Nigdy nie prowadziłem. To moja pierwsza wyprawa.

- Spodoba się panu praca! A już szczególnie w Bizancjum. Bizancjum, ach! Jak by to ująć... -

mocno zacisnął tłuste rączki. Z pewnością sam pan to czuje, choć tylko w małej części. Tylko Grek jak ja czuje to w całej pełni. Bizancjum! Ach, Bizancjum!

- Ja też jestem Grekiem - powiedziałem.

Zatrzymał platformę. Podniósł okulary.

- To pan nie jest Judson Daniel Elliott III?

- Jestem.

- I to greckie nazwisko?

- Panięskie nazwisko mojej matki brzmi Passilidis. Urodziła się w Atenach. Dziadek po jej linii był burmistrzem Sparty. Od strony matki pochodził z rodziny Markezinisów.

- Jesteś moim bratem! - krzyknął Spiros Protopopolos.

Okazało się, że sześciu z dziewięciu pozostałych kurierów, obsługujących Bizancjum, to ludzie greckiego pochodzenia lub narodowości. Dwaj, Herschel i Melamed, byli Niemcami, ostatni zaś, cwany mały ciemnowłosy Hiszpan nazwiskiem Capistrano, mocno już pijany wyznał mi, że jego prababka była Turczynką. Pewnie kłamał w nadziei, że go znienawidzę. Był urodzonym masochistą.

Pięciu z moich dziewięciu kolegów skoczyło akurat pod prąd, czterech zaś było na miejscu dzięki nieszczęściu w opracowywaniu grafiku; nieszczęściu, którego skutków byłem świadkiem.

Protopopolos przedstawił nas sobie:

- Melamed, Capistrano, Pappas, poznajcie Elliotta.

Melamed miał jasne włosy i twarz ukrytą za gęstą blond brodą, Pappas zapadłe policzki, smutek w oczach i opadające wąsy. Obaj przekroczyli już czterdziestkę. Capistrano sprawiał wrażenie nieco młodszego.

Podświetlona tablica informowała, co robią nasi koledzy: Herschel, Kolettis, Plastiras, Metaxas i Gompers.

- Gompers? - zdziwiłem się.

- Jego babka była czystej krwi Hellenką - odparł Protopopolos.

Ta piątka rozrzucona była po ponad dziesięciu stuleciach. Tak przynajmniej informowała tablica: Kolettis w roku 1651 p. t. (przed terażniejszością), a Metaxas w 606 - czyli, odpowiednio, w

roku 408 i 1453. Pozostali prowadzili grupy gdzieś pomiędzy. W momencie gdy patrzyłem na tablicę, Kolettis przesunął się o przeszło wiek.

- Będą oglądać rozruchy - powiedział cicho Melamed. Capistrano skinął głową i westchnął.

Pappas zrobił mi mocną kawę. Capistrano otworzył butelkę tureckiej brandy, która - przynajmniej dla mnie - okazała się nie - co przyciężka do strawienia. Zawahałem się, ale trącił mnie w ramię przyjacielsko.

- Pij, pij - powiedział. - Na nic lepszego nie trafisz w ciągu ostatnich piętnastu stuleci.

Przypomniał sobie radę Sama - mam się przyzwyczaić do alkoholu. Wypiłem, choć bez przyjemności. Tęskniłem za zielskiem, lataczem, dymkiem, czymkolwiek, byle było przyzwoitej jakości.

Kiedy rozmawiałem z nowymi przyjaciółmi, do świetlicy wszedł funkcjonariusz Patrolu. Nie użył skanera, żeby dostać pozwolenie, nawet nie zapukał, po prostu wszedł do środka.

- Nie moglibyście choć raz zachować się uprzejmie? - warknął Pappas.

- Pieprz się - odparł patrolowiec, rozpinając kurtkę munduru. Był typem potężnym, aryjskim, z tych o włochatej piersi. Obojczyki łączyło mu coś przypominającego złoty przewód.

- Nowy? - spytał, wskazując mnie ruchem głowy.

- Jud Elliott - przedstawiłem się. - Kurier.

- Dave Van Dam - odparł. - Z Patrolu. - Moja dłoń zniknęła w jego wielkiej łapie. - Nie daj się złapać na spieprzeniu czegoś tam, pod prądem - kontynuował. - To nic osobistego, ale jestem twardym sukinsynem. Łatwo nas nienawidzić, bo jesteśmy nieprzekupni. No, spróbuj mnie przekupić.

- To świetlica kurierów - powiedział niepewnie Capistrano.

- Nie musisz mi tego mówić - odparł Van Dam. - Nie wierz, jak nie chcesz, ale umiem czytać.

- To co, zostałeś kurierem?

- Przeszkadza wam, że chcę odsapnąć w towarzystwie opozycji? - Patrolowiec uśmiechnął się, podrapał po włochatej piersi, po czym przyłożył do warg butelkę brandy. Pił długo, beknął.

- Boże, co za cholerny dzień! - westchnął. - Wiecie, czym się zajmowałem?

Wielkiego zainteresowania nie wzbudził, ale to mu bynajmniej nie przeszkadzało.

- Cały dzień spędziłem w 1962 roku. 1962! Sprawdzaliśmy każde cholerne piętro cholernego

Hiltona w Stambule, bo dostaliśmy doniesienie o dwóch przestępcach czasowych prowadzących podobno handel pod prądem. Doniesiono nam, że szmuglują złote monety i rzymskie szkła z 1400 p.

t. i sprzedają je amerykańskim turystom w Hiltonie, potem inwestują zyski na giełdzie, zyski z transakcji giełdowych zaś wpłacają na szwajcarskie konto, by podjąć je w teraźniejszości. Chryste!

Wiedziecie, że w ten sposób można zarobić miliardy? Wyprzedaj się w dobrym roku, przechowaj zyski przez sto lat i skończysz mając forsę na kupienie sobie całego świata! No tak, tylko że w tym

cholernym Hiltonie nie znaleźliśmy nic, same legalne interesy oparte na czasie miejscowym. Ale

gówno! - Van Dam znów się napił. - Ci z góry osobiście teraz mogą sobie wszystko sprawdzić. Niech sami szukają tych cholernych przestępców!

- To świetlica kurierów - powtórzył Capistrano.

Patrolowiec nie zwrócił na niego najmniejszej nawet uwagi.

- Oni wszyscy są tacy? - spytałem pięć minut później, gdy wreszcie sobie poszedł.

- Ten należy do wyrafinowanych - wyjaśnił mi Protopopolos.

- Większość z nich to prawdziwe chamy.

19.

Położyli mnie do łóżka z hipnotycznym kursem bizantyńskiej greki i kiedy się obudziłem,

umiałem nie tylko zamówić jedzenie, kupić tunikę i uwieść dziewicę, ale w dodatku wypowiedzieć

kilka zdań na tyle oryginalnych, że mozaiki Hagia Sophii odpadłyby ze ścian ze wstydu. Nie nauczyli

mnie ich na studiach doktoranckich na Harvardzie, Yale ani w Princeton. Dobrze te hipnokursy.

Nadal nie byłem jednak gotowy do solowania jako kurier. Protopopolos, będący w tym miesiącu dyspozytorem personelu, załatwił mi pierwszą wycieczkę z Capistrano. Gdyby wszystko poszło gładko, za parę tygodni byłbym już na własnym.

Wyprawa do Bizancjum, jedna z najpopularniejszych tras oferowanych przez Służbę Czasową, to doprawdy nic niezwykłego.

Każda grupa prowadzona jest na koronację cesarza, wyścigi kwadryg w Hipodromie, poświęcenie Hagia Sophii, zdobycie miasta przez czwartą wyprawę krzyżową i wreszcie podbój turecki. Zajmuje to siedem dni. Czternastodniowa tura obejmuje także przybycie pierwszej wyprawy krzyżowej do Konstantynopola, rozruchy roku 532, ślub cesarza i kilka pomniejszych wydarzeń. Kurier sam wybiera koronacje, cesarzy, wyścigi, ze względu na zmniejszenie ryzyka paradoksu kumulacji, który mógłby wystąpić, gdyby podczas jednego wydarzenia pojawiło się zbyt wielu turystów. Odwiedza się praktycznie wszystkie ważniejsze okresy między Justynianem a podbojem tureckim, choć oczywiście zaleca się unikanie lat, w których wystąpiły co poważniejsze trzęsienia ziemi. Absolutnie zakazane, pod groźbą interwencji Patrolu, jest przebywanie w latach epidemii dżumy, czyli 745-747.

Ostatniej nocy przed wyruszeniem byłem tak podniecony, że po prostu nie mogłem zasnąć.

Częściowo z powodu tremy, pewności, że w trakcie pierwszej kurierskiej wycieczki coś straszliwie spapram - to wielka odpowiedzialność być kurierem, nawet jeśli pomaga ci kolega, więc bałem się zrobienia jakiegoś fatalnego w skutkach fałszywego kroku. Nie uspokajała mnie także myśl o możliwej interwencji Patrolu. Cóż to by był za wstyd!

Najbardziej jednak niepokoił mnie sam Konstantynopol. Czy dorośnie do mych wyobrażeń?

Czy może mnie zawiedzie? Przeszedłem przez życie mając go za złote, wspaniałe miasto, stolicę przeszłości, a teraz miałem je wreszcie zobaczyć na własne oczy.

Wstałem i spięty, zdenerwowany, zacząłem spacerować po małym pokoiku, w którym mnie

zakwaterowano. Nie brałem narkotyków, nie wolno mi było nawet zapalić - kurierzy muszą odzwyczaić się od tego typu przyjemności, gdyż byłoby oczywiście groźnym anachronizmem zapalić zielsko na ulicy miasta w X wieku. Capistrano dał mi resztki swej brandy, ale brandy niezbyt mnie pocieszyła. Usłyszał jednak, jak obijam się o meble, i przyszedł sprawdzić, co się stało.

- Niespokojny? - spytał.

- Nawet bardzo - przyznałem.

- Ja też denerwuję się przed skokiem. Zawsze.

Namówił mnie, żebyśmy zrobili sobie spacer, dla ukojenia nerwów. Przejechaliśmy na stronę europejską i ruszyliśmy pustymi ulicami przed siebie, bez planu. Szliśmy cichymi ulicami nowego miasta, od pałacu Dolmabahce, stojącego przy brzegu Złotego Rogu w górę, do starego Hiltona i w dół, obok placu Taksim, do mostu Galata. Znaleźliśmy się wreszcie we właściwym Stambule.

Szliśmy dalej. Mieliśmy wrażenie, że jesteśmy ostatnimi ludźmi w mieście.

Przeszliśmy przez labirynt bazaru, trafiając wreszcie na jedną z uliczek prowadzących do Hagia Sophii. Zatrzymaliśmy się na chwilę przed fasadą majestatycznego gmachu. Zamknąłem oczy, zachowując pod powiekami obraz wszystkich późniejszych dodatków wbudowanych w konstrukcję smukłych minaretów, dodatkowych ornamentów - i próbowałem przekonać sam siebie, że rano zobaczę katedrę w jej prawdziwej formie, w formie majestatycznej władczyni miasta, nie dzielącej już swej wspaniałości z obcym jej zupełnie Błękitnym Meczetem po drugiej stronie placu.

I znów ruszyliśmy przed siebie. Przeszliśmy przez resztki Hipodromu, okrążyliśmy Topkapi, dotarliśmy do morza i starego nadbrzeżnego muru obronnego. Świt zastał nas przed fortecą Yedikule, w cieniu skruszałego bizantyńskiego wału. Zasypaniśmy na stojąco. Podszedł do nas mniej więcej piętnastoletni Turek i uprzejmie spytał, najpierw po francusku, a potem po angielsku, czy jesteśmy czymś zainteresowani: starymi monetami, jego siostrą, haszyszem, izraelską walutą, złotą biżuterią, jego bratem czy może dywanem. Podziękowaliśmy, ale nie pozwolił się zrazić i

zawołał siostrę, która mogła mieć jakieś czternaście lat, choć wyglądała na o kilka lat starszą.

- Dziewica - powiedział chłopak. - Podoba się wam? Ładna figura, co? Kim jesteście?

Amerykanami, Anglikami, Niemcami? No, popatrzcie, popatrzcie.

Powiedział coś ostro i dziewczyna rozpięła bluzkę, obnażając kształtne, twarde piersi.

Pomiędzy nimi wisiała ciężka brązowa bizantyńska moneta, prawdopodobnie follis. Pochyliłem się, żeby lepiej ją sobie obejrzeć. Chłopak, zionąc mi w twarz czosnkiem, zorientował się nagle, że nie piersi mnie interesują, lecz numizmat, więc wykonał zgrabny zwrot.

- Lubicie monety, co? - ucieszył się. - Mam ich mnóstwo, pod murem, w dzbanie.

Poczekajcie, to wam je pokażę.

Odbiegł. Jego siostra z ponurą miną zapięła bluzkę. Ja i Capistrano po prostu odeszliśmy.

Dziewczyna szła za nami wołając, żebyśmy zostali, ale nim uszliśmy ze dwadzieścia metrów, zrezygnowała. Złapaliśmy kapsułę i po godzinie byliśmy już w kwaterze Służby.

Po śniadaniu przebraliśmy się w kostiumy: długie jedwabne tuniki, rzymskie sandały, lekkie płaszcze. Capistrano uroczyście wręczył mi mój timer. Zdażyłem się już nauczyć biegle nim posługiwać. Zapiąłem go w pasie i gdy dotknął nagiej skóry, poczułem oszałamiający przypływ mocy; oto mogłem przenosić się w czasie dowolnie i nikt nie mógł mi nic zrobić, jeśli tylko pamiętałem o konieczności zachowania świętości naszego teraz.

Capistrano puścił do mnie oczko.

- No to z prądem - powiedział.

- No to z prądem - powtórzyłem.

Poszliśmy na dół spotkać się z naszą ósemką turystów.

20.

Do Bizancjum pod prąd ruszało się prawie zawsze z tego samego miejsca: z placu naprzeciw Hagia Sophii. Nasza dziesiątka - wszyscy czuliśmy się nieco głupio w tunikach i sandałach -

dojechała na miejsce autobusem, około dziesiątej rano. Bardziej konwencjonalni turyści, pragnący zaledwie zwiedzić Stambuł, kotłowali się przed katedrą i stojącym naprzeciw niej meczetem. Wraz z Capistrano upewniłem się, że wszystkie timery są na miejscu i że każdemu z naszych podopiecznych dobrze wbito do głowy zasady przebywania w przeszłości.

W naszej grupie była para ślicznych młodych mężczyzn z Londynu, para wyglądających bardzo niewinnie niemieckich nauczycielek i dwie starsze małżeńskie pary Amerykanów. Każdy z nich miał za sobą hipnokurs bizantyńskiej greki. Przez najbliższe mniej więcej dwa miesiące będą się nią posługiwać równie płynnie jak swym rodzinnym językiem. Mimo to zarówno ja, jak i mój towarzysz musieliśmy przypominać Amerykanom i jednej z Niemek, by mówili po grecku. Skoczyliśmy.

Poczułem chwilową dezorientację, którą czuje się zawsze w momencie skoku. Niemal natychmiast doszedłem jednak do siebie na tyle, by stwierdzić, że rzeczywiście opuściłem Stambuł i znalazłem się w Konstantynopolu.

Konstantynopol mnie nie zawiódł.

Znikł brud. Znikły minarety. Znikły meczety. Znikli Turcy.

Powietrze było czyste i słodkie, niebo błękitne. Staliśmy na wielkim placu, Augusteum, naprzeciw Hagia Sophii. Po mej prawej ręce zamiast brzydkich, szarych rządowych budynków widziałem otwarte pole. Przedemną zamiast fantastycznej architektury niebieskiej świątyni sułtana Ahmeda stały rozrzucone chaotycznie niskie pałacyki. Z boku widziałem ścianę Hipodromu. Przez wielki plac przesuwali się dostojne postaci, wyglądające jakby zeszyły z mozaik.

Obróciłem się. Oto po raz pierwszy miałem zobaczyć Hagia Sophię bez minaretów.

Ale Hagia Sophii nie było.

Tam, gdzie powinna się znajdować, dostrzegłem pogorzeliśko i ruiny jakiejś nieznanej mi bazyliki. Jej ściany groziły zawaleniem, dach spłonął całkowicie. W cieniu rzucanym przez fasadę

drzymało trzech żołnierzy.

Poczułem się zagubiony.

- Skoczyliśmy szesnaście wieków pod prąd - powiedział monotonnym głosem Capistrano. -

Jesteśmy w roku 408, będziemy tu świadkami procesji z okazji chrztu syna cesarza Arkadiusza, który pewnego dnia obejmie rządy jako Teodozjusz II. Za nami, w miejscu słynnej katedry Hagia Sophia, widzimy ruiny pierwotnej bazyliki, zbudowanej za rządów cesarza Konstantyna, syna Konstantyna Wielkiego. Jej konsekracja odbyła się piętnastego grudnia 360 roku. Bazylika spłonęła dwudziestego kwietnia 404 roku podczas buntu i, jak państwo widzicie, jej rekonstrukcja jeszcze się nie rozpoczęła. Teodozjusz II odbuduje ją za mniej więcej trzydzieści lat. Obejrzymy ją podczas następnego postoju. Proszę za mną.

Szedłem za nim jak we śnie. Byłem turystą w tym samym stopniu co naszych ośmiu turystów.

Capistrano pracował za nas obu. Opowiadał nam krótko, ale wyczerpująco o marmurowych gmachach, które widzieliśmy przed sobą, będących zaczątkiem Wielkiego Pałacu. Nie potrafiłem dopasować tego, co miałem przed oczami, do planów, które wielokrotnie widziałem na Harvardzie, lecz oczywiście interesowały mnie przede wszystkim dzieje późniejszego, wspanialszego, postjustyniańskiego Bizancjum, a teraz znajdowałem się w Bizancjum o świetle jego potęgi.

Ruszyliśmy w głąb lądu, oddalając się od dzielnicy pałaców; wkrótce znaleźliśmy się w dzielnicy mieszkalnej. Domy bogatych, pozbawione okien od frontu i otoczone murami, mieszały się bez żadnego porządku z zaledwie zadaszonymi chałupami biedaków.

Nagle znaleźliśmy się na Mesę, wspaniałej ulicy procesjonalnej. Po jej obu stronach, pod arkadami, mieściły się sklepy; tego dnia, z okazji chrztu, udekorowane jedwabnymi białymi tkaninami ozdobionymi złotem. Wzdłuż Mesę stali chyba wszyscy mieszkańcy miasta. Szturchali się i rozpychali łokciami, niecierpliwie oczekując parady. Ludzie kręcili się przede wszystkim tam, gdzie sprzedawano jedzenie; czuliśmy zapach szynki z rusztu i pieczonego jagnięcia, z

zainteresowaniem przyglądaliśmy się ładom zawalonym serami, orzechami, nie znanymi nam owocami. Jedna z Niemek stwierdziła, że jest głodna; Capistrano roześmiał się i kupił nam wszystkim jagnięce szaszłyki rzucając sprzedawcy błyszczące miedziane monety, za które numizmatyk dałby fortunę. Jednooki mężczyzna sprzedał nam wino z wielkiej, chłodnej amfory. Piliśmy wprost z czerpaka. W tym momencie najbliżsi handlarze zorientowali się, że jesteśmy dobrymi klientami, więc otoczyli nas natychmiast, wpychając nam w dłonie pamiątki, kandyzowane owoce, jajka na twardo nie pierwszej świeżości, misy solonych orzechów, tace co smaczniejszych zwierzęcych organów - oczu... i części bardziej intymnych. Było to najzupełniej prawdziwe, autentyczne doświadczenie starożytności; zdumiewająca różnorodność egzotycznych towarów wraz z bijącym od kupców odorem potu i czosnku powiedziały nam, że naprawdę jesteśmy daleko od naszego 2059 roku.

- Cudzoziemcy? - spytał brodaty mężczyzna, sprzedający gliniane lampki oliwne. - Skąd? Z Cypru? Z Egiptu?

- Z Hiszpanii - odparł Capistrano. Kupiec przyjrzał nam się z nieopisanym zdumieniem - bardziej nie mógłby się zdumieć, nawet gdybyśmy powiedzieli mu, że przybyliśmy z Marsa.

- Hiszpania? - powtórzył. - Hiszpania! Jakie to cudowne! Podróżować z tak daleka, by zobaczyć nasze piękne miasto... - Obejrzał sobie dokładnie naszą grupę, myślał przez chwilę i skupił uwagę na jasnowłosej, piersiastej Clotilde, efektowniejszej z pary niemieckich nauczycielek.

- Twoja niewolnica jest Saksonką? - spytał mnie, obmacując jednocześnie towar pod luźną szatą. - Ach, jakie to miłe. Masz gust, przyjacielu.

Clotilde westchnęła i wyszarpnęła udo z jego uścisku. Capistrano zachował zimną krew, złapał brodacza za szatę i grzmotnął nim o ścianę sklepu, aż kilkanaście glinianych lampek spadło na ziemię i stłukło się. Brodacz minę miał wściekłą, ale nasz przewodnik powiedział mu coś po cichu, rzucając jednocześnie mrożące krew w żyłach spojrzenie.

- Nie chciałem nikogo obrazić - zaprotestował handlarz. Myślałem, że jest niewolnicą. -

Wypowiedział kilka przeprasających słów i odszedł kulejąc. Clotilde drżała, ze strachu lub z podniecenia, trudno powiedzieć na pewno. Jej towarzyska, Lise, sprawiała wrażenie zazdrosnej.

Żaden bizantyński uliczny handlarz nie pomacał jej jeszcze.

Capistrano splunął.

- Mogliśmy narobić sobie kłopotów - powiedział. - Musimy się pilnować; przez cały czas musimy się pilnować. Niewinne uszczyplenie może szybko zmienić się w poważny incydent, a incydent w katastrofę.

Handlarze zaczęli się od nas odsuwać. Znaleźliśmy sobie miejsce w pierwszym rzędzie, przy samej ulicy. W tłumie widziałem wiele niebizantyńskich twarzy; ciekawiło mnie, czy to też podróżnicy w czasie. Nadchodzi czas, pomyślałem, kiedy my, goście pod prądem, zdusimy przeszłość, aż zacznie się dławić. Wypełnimy wszystkie nasze "wczoraj" nami samymi i tłumem naszych bezpośrednich przodków.

- Nadchodzą! - krzyknęły tysiące głosów.

Trąby zagrały w kilkunastu różnych tonacjach. Z dala dostrzegliśmy procesję dostojników, schludnych i ogolonych w rzymskim stylu, nadal bowiem było to miasto bardziej rzymskie niż greckie. Wszyscy nosili szaty z białego jedwabiu.

- Importowany za wielkie pieniądze, kupowany z karawan wędrujących aż do Chin - szepnął

Capistrano. - Bizantyńczycy nie skradli jeszcze sekretu produkcji jedwabiu.

Popołudniowe słońce, padające z wysoka na białe szaty, otoczyło procesję dostojników takim blaskiem, takim pięknem, że nawet doświadczony kurier, który przecież wielokrotnie obserwował podobne uroczystości, wydawał się poruszony.

Dygnitarze powoli, niezmiernie powoli, zbliżali się w naszym kierunku.

- Wyglądają jak płatki śniegu - szepnął stojący za mną mężczyzna. - Jak tańczące płatki

śniegu.

Wielcy tego świata defilowali przed nami przez przeszło godzinę. Zapadł zmrok. Za duchownymi i książętami maszerowali cesarscy żołnierze, niosący płonące świece, migające w coraz gęstszym mroku niczym miliony gwiazd. Potem znów szli mnisi z medalionami i ikonami, a za nimi książę królewskiej krwi, niosący gaworzącego, tłustego niemowlaka, przyszłego wielkiego cesarza Teodozjusza II, wreszcie pojawił się także sam cesarz Arkadiusz, odziany w cesarską purpurę. Cesarz Bizancjum! Powtarzałem sobie w myśli te słowa chyba z tysiąc razy. Oto ja, Judson Daniel Elliott III stoję z obnażoną głową tu, pod bizantyńskim niebem, w roku 408, przede mną zaś przed chwilą przeszedł cesarz Bizancjum, zamiatając ziemię cesarską purpurą. Oczywiście, monarchą tym był zwykły Arkadiusz, mdły, przeciętny, wypełniający czas między dwoma Teodozjuszami, a jednak zadrzałem. Miałem wrażenie, że ziemia ugina mi się pod stopami.

- Źle się czujesz? - wyszeptwała zaniepokojona Clotilde.

Głęboko zaczerpnąłem powietrza. Błagałem wszechświat, by znieruchomiał. Oszołomił mnie on, zwykły Arkadiusz. Co by się stało, gdyby był to Justynian? Konstantyn? Aleksy?

Wiecie, jak to jest. W końcu przyszło mi spotkać i tych wielkich, ale wówczas za często już skakałem pod prąd. Byłem pod wrażeniem, ale nie wydawali mi się już bogami. Jeśli chodzi o Justyniana, pamiętam tylko, że miał katar i kichał, lecz co do Arkadiusza... kiedy o nim pomyślę, słyszę głos trąb, widzę gwiazdy wirujące na niebie.

21.

Noc spędziliśmy w gospodzie z widokiem na Złoty Róg. Na drugim brzegu, gdzie w przyszłości stanął Hilton i gmachy Urzędu Skarbowego, widzieliśmy wyłącznie nieprzeniknioną ciemność. Gospoda była całkiem duża, drewniana; na parterze znajdowała się garkuchnia, a ponad nią wielkie sale w stylu dormitorium. Spodziewałem się, że będę musiał spać na podłodze, na rozrzuconej niedbale słomie, ale nie, mieliśmy do dyspozycji coś w rodzaju łóżek oraz materace

wypchane szmatami. Urządzenia sanitarne znajdowały się na zewnątrz, za budynkiem, łazienek zaś nie było - pożądaną czystości ciała mogli przecież korzystać z publicznych łaźni. Nasza dziesiątka miała wspólny pokój; na szczęście nikomu to nie przeszkadzało. Clotilde rozebrała się i natychmiast zademonstrowała wszem wobec sińce, które palce handlarza zostawiły na jej miękkim białym udzie. Jej kanciasta przyjaciółka znów zrobiła ponurą minę, bo nie miała nic do zademonstrowania.

Tej nocy niewiele spaliśmy. Przede wszystkim przeszkadzał nam hałas - cesarski chrzest świętowano hucznie w całym mieście, niemal do świtu. A poza tym... któż zdolny byłby spać wiedząc, że już za chwilę słońce wstanie pewnego dnia w V wieku naszej ery?

Poprzedniej nocy, odległej o szesnaście stuleci z prądem, Capistrano jakże uprzejmię pomógł mi podczas ataku ostrej bezsenności. Teraz powtórzył dobry uczynek. Stałem przy szczelinie zastępującej okno, przyglądając się rozpalonym na ulicach ogniskom, a on zauważył mnie, podszedł i powiedział:

- Rozumiem. To ten pierwszy raz. Nie możesz zasnąć?

- Nie mogę.

- Chcesz kobiety?

- Nie chcę.

- To co, pójdziemy się przejść?

- A możemy tak ich zostawić? - spytałem, spoglądając na naszych turystów.

- Nie odejdziemy daleko. Będziemy tuż przy drzwiach na wypadek, gdyby zaczęły się kłopoty.

Było ciepło - lecz nie gorąco - i parno. Z okolicznych tawern dobiegały strzępki lubieżnych piosenek. Poszliśmy w tym kierunku; gospody nadal były otwarte i pełne pijanych żołnierzy. Śniade prostytutki sprzedawały swój towar. Jedna z nich, z pewnością nie mająca jeszcze szesnastu lat, między nagimi piersiami zawiesiła monetę. Capistrano trącił mnie; roześmieliśmy się na ten widok.

- Jak myślisz, to ta sama moneta? - spytał. - Tylko piersi inne?

Wzruszyłem ramionami.

- Może to te same piersi - odparłem myśląc o nie narodzonej jeszcze dziewczynie, którą mogłem mieć za grosze w Yedikule zeszłej nocy. Capistrano kupił dwie butelki ciężkiego greckiego wina. Wróciliśmy do gospody, usiedliśmy cichutko na dole i piliśmy, by odpędzić ciemność.

Właściwie mówił tylko on. Jak to się zdarza w przypadku wielu kurierów, życie miał skomplikowane, trudne i szedł przez nie krętą ścieżką. Opowiedział mi to i owo o sobie pomiędzy haustami wina. Spadkobierca szlacheckiej hiszpańskiej rodziny (historię o babce Turczynce poznałem kilka miesięcy później, kiedy był znacznie bardziej pijany), wczesne małżeństwo z dziewczyną równie arystokratycznego pochodzenia, wykształcenie zdobyte na wydziałach najbardziej ekskluzywnych europejskich uniwersytetów. A potem niewytłumaczalny upadek, utrata ambicji, utrata fortuny, utrata żony.

- Moje życie załamało się, kiedy miałem dwadzieścia siedem lat - powiedział. -

Potrzebowałem całkowitej reintegracji osobowości. Jak widzisz, pracowałem nad tym, ale nie odniosłem stuprocentowego sukcesu.

Dalej opowiadał mi o kolejnych czasowych związkach, o przygodach zdecydowanie kryminalnych, o eksperymentach z halucynogenami, przy których ziele i latacze to sama niewinność, a wreszcie stanął przed alternatywą: akces do Służby Czasowej albo samobójstwo.

- Podłączyłem się do terminala i po prostu spytałem. Tak zostaję kurierem. Nie - wypijam truciznę. Odpowiedź brzmiała "tak". No i tu jestem - stwierdził dopijając wino.

Dla mnie tej nocy Capistrano był cudownym objawieniem idealną jednością zropanzonego, tragicznego bohatera romantycznego i dramatyzującego szarlatana. Lecz oczywiście byłem pijany i bardzo młody. Wyznałem, jak bardzo go podziwiam za wysiłek, który wkłada w próby zrozumienia samego siebie, myśląc jednocześnie, że powinienem uczyć się od niego tak twarzowo poddać się

nieszczęściu, tak uroczo zagubić się w rzeczywistości.

- Chodź - powiedział, kiedy dopiliśmy wino. - Pora pozbyć się zwłok.

Wrzuciliśmy flaszkę do Złotego Rogu. Na niebie pojawiły się pierwsze złote pasma. W drodze powrotnej do gospody Capistrano rzekł jeszcze:

- Wiesz, mam takie niewinne hobby. Tropię swych przodków. Prowadzę skromne, prywatne badania genealogiczne. Spójrz! Spójrz na te nazwiska! - Wyciągnął niewielki, gruby notes. - W każdej odwiedzanej epoce - tłumaczył mi - wyszukuję swych przodków i zapisuję tu ich dane. Poznałem ich już kilkuset, aż do XIV wieku. Czy zdajesz sobie sprawę, jak wielu człowiek ma przodków? Mamy dwoje rodziców, każde z nich ma dwoje rodziców... cofnij się o cztery pokolenia i już jest ich trzydzieścioro dwoje.

- Interesujące hobby - zauważyłem.

Oczy mojego nowego przyjaciela płonęły.

- To więcej niż hobby! Więcej niż hobby! To kwestia życia i śmierci. Zauważ, przyjacielu...

kiedy życie zaczyna mi się przykrzyć bardziej niż zazwyczaj, myślę o tym, że wystarczy skoczyć pod prąd, znaleźć jednego, tylko jednego człowieka spośród nich... i zniszczyć go - na przykład zabić w dzieciństwie. A potem wrócić do naszej teraźniejszości. W chwili powrotu, błyskawicznie i bez bólu,

przestaję kiedykolwiek istnieć.

- Ale Patrol Czasowy...

- W tym wypadku Patrol jest bezradny, jest zupełnie bezradny! Bo i co może zrobić? Jeśli ma zbrodnia zostanie odkryta, aresztują mnie i wymażą za przestępstwo w czasie, tak? Jeśli moja zbrodnia nie zostanie odkryta - a czemu niby ktoś miałby ją odkryć? - wymazuję samego siebie. Tak czy owak, już mnie nie ma. Czy to nie najbardziej uroczy ze wszystkich możliwych sposobów na popełnienie samobójstwa?

- Zabijając kogoś spośród swych przodków - stwierdziłem zmienisz, być może, naszą

teraźniejszość w stopniu znacznie większym. Wyeliminujesz także swych braci i siostry... wujów...

dziadków i ich braci i siostry... pradziadków... a wszystko za sprawą jednej osoby!

Capistrano poważnie skinął głową.

- Jestem tego w pełni świadomy - oświadczył. - Gromadzę dane genealogiczne właśnie po to, by opracować najlepszy sposób na wymazanie samego siebie. Nie jestem Samsonem, nie mam zamiaru zawalić sobie na głowę świątyni. Wyszukam do eliminacji strategicznego przodka, przodka zresztą mającego coś brzydkiego na sumieniu, bo nie zamierzam zabijać niewinnych. Usunę go, w ten sposób usuwając siebie. Może zmiany w naszej teraźniejszości wcale nie będą aż tak wielkie? A jeśli nawet będą, Patrol znajdzie je i odczytni, a ja zniknę z tego świata, osiągając w ten sposób upragniony cel.

Zastanawiałem się, czy facet jest szalony, czy tylko pijany. I to, i to, po trochu - zdecydowałem. Zapragnąłem powiedzieć mu, że jeśli rzeczywiście aż tak bardzo pragnie się zabić, to może oszczędzić wszystkim mnóstwa kłopotów i po prostu skoczyć do Bosforu. Zaraz potem uświadomiłem też sobie, że cała Służba Czasowa może nigdy nie zaistnieć z powodu legionu Capistranów, wszystkich szukających najbardziej malowniczego i skutecznego sposobu samozniszczenia.

Zadrżałem ze strachu.

Wróciliśmy na górę. Nasi podopieczni spali w parach; starsze małżeństwa spokojnie, ale chłopcy z Londynu, spoceni i potargani, mieli - zdaje się - ciężką noc. Uśmiechnięta Clotilde trzymała dłoń między bladymi udami Lise, Lise lewą ręką przykrywała miłośnie niewielką, lecz twardą pierś Clotilde. W swym samotnym łóżu zasnąłem szybko, Capistrano jednak obudził mnie jeszcze szybciej i wspólnie obudziliśmy resztę towarzystwa. Czuję się, jakbym miał dziesięć tysięcy lat.

Na śniadanie dostaliśmy zimną baraninę. Potem szybko obejrzelśmy miasto w świetle dnia.

Większości interesujących budynków albo jeszcze nie wybudowano, albo były w początkowym stadium budowy, więc nie zostaliśmy tu długo.

- Teraz zatrzymamy się w roku 532 - oznajmił Capistrano - gdzie zobaczymy miasto w czasach Justyniana. Będziemy także świadkami rozruchów, które je zniszczyły, umożliwiając budowę jeszcze piękniejszego, jeszcze wspanialszego Konstantynopola, który zdobył sobie nieśmiertelną sławę.

Cofnęliśmy się w cień ruin pierwotnej Hagia Sophii, by przypadkowego przechodnia nie spłoszył widok znikających ludzi. Ja nastawiłem timery, Capistrano zaś dał ze swojego sygnał dla wszystkich.

Skoczyliśmy.

22.

Dwa tygodnie później wróciliśmy z prądem w rok 2059. Byłem oszołomiony, niemal nieprzytomny, serce miałem pełne Bizancjum.

Widziałem najważniejsze wydarzenia z dziesięciu wieków świetności miasta; miasto moich marzeń nabrało dla mnie życia. Jadłem mięso, piłem wino Bizancjum!

Z profesjonalnego, kurierskiego punktu widzenia była to dobra wycieczka - to znaczy, nie zdarzyło się nic niezwykłego. Nasi turyści nie wpadli w żadne kłopoty, nie wyprodukowaliśmy żadnych paradoksów, w każdym razie żadnych nie byliśmy świadomi. Niezręczna sytuacja powstała tylko raz, kiedy bardzo pijany Capistrano próbował uwieść Clodlde; nie zrobił tego subtelnie, ona się opierała i uwiedzenie omal nie zmieniło się w gwałt, ale zdołałem ich rozdzielić, nim wepchnęła mu palce w oczy. Rankiem Capistrano nie potrafił wręcz uwierzyć w to, co zrobił.

- Ta blond lesbia? - dziwił się. - Czyżbym upadł aż tak nisko? Musiało ci się przyśnić!

Uparł się, żebyśmy skoczyli osiem godzin pod prąd i sprawdzili. Oczami wyobraźni zobaczyłem, jak trzeźwy Capistrano atakuje samego siebie pijanego, i mocno się przestraszyłem.

Wy tłumaczyłem mu jakoś, ostro i bardzo dobitnie, że to nie najlepszy pomysł, przypominając zasady Patrolu zakazujące wdawania się w rozmowy z samym sobą na różnych płaszczyznach czasowych, zagroziłem nawet, że jeśli spróbuje, to na niego doniosę. Capistrano sprawiał wrażenie nieszczęśliwego, ale dał sobie spokój. Kiedy jednak przy szło do wypełniania raportu i zażądano od niego oceny mojej przydatności na kuriera, dał mi najwyższe noty. Dowiedziałem się o tym później, od Protopopolosa.

- Następną wycieczkę masz z Metaxasem - oznajmił. - Tygodniówka.

- Kiedy ruszamy?

- Za dwa tygodnie. Najpierw odpoczynek, pamiętaj. Po wycieczce z Metaxasem zaczynasz solować. Gdzie spędzisz urlop?

- Na Krecie, a może w Mykenach. Poopalam się na plaży.

Służba Czasowa wymaga, by kurierzy między wycieczkami mieli zawsze dwa tygodnie przerwy. Nie powinniśmy się przepracowywać. Podczas przerw możemy robić, co tylko chcemy, na przykład siedzieć w naszej teraźniejszości - jak pragnąłem ja - albo wpisać się na wycieczkę, albo po

prostu skakać sobie po czasie na własną rękę. Za wyprawy pod prąd i użycie timera nie ma żadnych opłat Służba wychodzi z założenia, że jej pracownicy powinni w każdej epoce czuć się jak w domu, a

jaki jest na to lepszy sposób niż wolne skoki?

Protopopolos sprawiał wrażenie nieco zawiedzionego, kiedy poinformowałem go, że mam zamiar odpocząć na wyspach.

- Nie masz ochoty poskakać? - spytał.

Szczerze mówiąc, na samą myśl o tym, że miałbym skakać na własną rękę, poczułem strach, ale tego nie mogłem mu oczywiście powiedzieć. Wkrótce będę odpowiedzialny za życie ośmiu osób, całej grupy! Może rozmowa ta jest częścią procedury kwalifikacyjnej? Może Protopopolos

sprawdza, czy wystarczy mi odwagi na własne wyprawy?

On tymczasem niecierpliwie czekał na odpowiedź.

- No, właściwie... - powiedziałem - ... dlaczego mam tracić szansę na zobaczenie czegoś ciekawego? Obejrzę sobie postbizantyński Sambuł.

- Z grupą?

- Nie, na własną rękę.

23.

No więc skoczyłem, wprost w paradoks nieciągłości.

Pierwszy przystanek miałem w pracowni kostiumologicznej. Potrzebowałem kostiumu odpowiadającego Sambułowi w XVI do XIX wieku. Zamiast obdarzyć mnie kufrem strojów zgodnych ze zmieniającą się modą, ubrano mnie tam w muzułmańskie szaty na każdą okazję, proste, białe, używane w każdej epoce, łącznie ze zwykłymi sandałami, dostałem także długie włosy i rzadką młodzieńczą bródkę. Za kieszonkowe miałem niezły wybór złota i srebra w monetach odpowiednich epok, po trosze każdej waluty będącej w obiegu w średniowiecznej Turcji, włączając w to parę bezanów z czasów rządów greckich, trochę rzadkich monet sułtańskich i sporą ilość weneckiego złota. Wszystko to trzymałem w specjalnym pasie zawiązanym na ciele nad timerem; pas wyposażony był w kieszenie, w których, licząc od lewej do prawej, umieszczono pieniądze z właściwych epok, tak bym nie wpadł w kłopoty wręczając na przykład osiemnastowieczny dinar na szesnastowiecznym bazarze. Za te środki też nie płaciłem. Służba Czasowa ma własne sposoby ich zdobywania, dla dobra personelu trzyma finanse w nieustannym obiegu między dziś a przeszłością. Kurier na wakacjach może zażądać każdej rozsądnej sumy na pokrycie wydatków. W końcu dla nas pieniądze te są tylko czymś w rodzaju żetonów, których dowolnie wiele można sprowadzić w każdej chwili.

Podoba mi się ten system.

Przed skokiem wzięłem jeszcze hipnokursy tureckiego i arabskiego. Wydział Specjalny opracował mi życiorys, doskonały dla każdej epoki, którą chciałem odwiedzić. Gdyby ktoś mnie o to zapytał, miałem powiedzieć, że jestem z pochodzenia Portugalczykiem, w wieku lat dziesięciu porwanym na morzu przez algierskich piratów i wychowanym przez muzułmanów w Algierze. Legenda ta tłumaczyła zarówno niedoskonałość mojego akcentu, jak i wspomnień. Gdybym miał pecha i wpadł na autentycznego Portugalczyka, co nie wydawało się zresztą szczególnie prawdopodobną, mógłbym powiedzieć, że nie pamiętam Lizbony i zapomniałem imion przodków. Jak długo będę trzymał gębę na kłódkę, pięć razy na dzień modlił się twarzą do Mekki i uważał, gdzie władzę, nie powinienem popaść w kłopoty. Oczywiście w przypadku kłopotów zawsze mogłem użyć timera, ale w Służbie uważano to za wyjście tchórzliwe, a także niepożądane ze względu na to, iż implikowało użycie czarów.

Przygotowania te zabrały mi półtora dnia. Kiedy dowiedziałem się, że mogę bezpiecznie skakać, ustawiłem timer na pięćset lat, wybierając epokę na chybił trafił, no i skoczyłem. Przybyłem na miejsce czternastego sierpnia 1559 roku, o dziewiątej trzydzieści wieczorem. Sułtanem był wielki Sulejman I; jego epoka zbliżała się ku końcowi. Tureckie armie zagrażały Europie, Stambuł zaś pełen był pochodzącego z wojennych łupów bogactwa. Nie umiałem potraktować tego miasta tak, jak traktowałem wspaniały Konstantynopol Justyniana czy Aleksego, ale była to kwestia osobista, kwestia pochodzenia, czaru i historycznych sympatii. Sam w sobie, Stambuł Sulejmana był miastem miast.

Pół dnia spędziłem na zwiedzaniu. Przez godzinę obserwowałem budowę wspaniałego meczetu z nadzieją, że to Suleymaniye, ale nieco później znalazłem Suleymaniye, błyszczące nowością w jasnych promieniach słońca. W ukryciu, posługując się przemyconą mapą, odbyłem specjalną pielgrzymkę do meczetu Mehmeda Zwycięzcy, który miało zburzyć trzęsienie ziemi 1766 roku. Warto go było obejrzeć. Po południu, po obejrzeniu zmienionej w meczet Hagia Sophii i

żałosnych ruin Wielkiego Pałacu po przeciwnej stronie placu (za pięćdziesiąt lat z prądem w miejscu tym stać miał meczet sułtana Ahmeda), poszedłem na Kryty Bazar kupić sobie kilka drobiazgów na pamiątkę. Byłem już niespełna dziesięć kroków od wejścia, kiedy dostrzegłem Sama, mego ukochanego guru.

Rozważcie proszę, jak nieprawdopodobne było to spotkanie. Tysiące lat do dyspozycji, a my robimy sobie wakacje w tym samym roku, tego samego dnia tego samego miesiąca, w tym samym mieście... i spotykamy się pod tym samym dachem.

Sam ubrany był w kostium Maura niczym z "Otella". Nie sposób było pomylić go z nikim, był niewątpliwie najwyższym mężczyzną w zasięgu wzroku, a jego czarna jak węgiel, błyszcząca skóra dramatycznie odbijała od białego ubrania.

Ruszyłem w jego kierunku.

- Sam! - krzyknąłem. - Sam, ty stary czarny sukinsynu! Jakie to szczęście cię spotkać!

Sam obrócił się, zmarszczył brwi, zobaczył mnie i na jego twarzy dostrzegłem wyraz zaskoczenia.

- Nie znam ciebie - powiedział chłodno.

- Niech cię nie zmyli ta broda. To ja, Sam. Jud Elliott.

Gapił się na mnie, niewątpliwie wściekły. Warknął coś. Wokół nas zaczął się zbierać tłum.

Po prostu musiałem się zastanowić!, czy przypadkiem nie popełniłem błędu. Może to wcale nie Sam, tylko jakiś jego prapraprapradziadek, z którego genetyczny traf zrobił brata bliźniaka mojego Sambo.

Nie, nie. To autentyk.

Tylko czemu wyciąga tę szablę?

Rozmawialiśmy po turecku. Teraz przeszedłem na angielski.

- No dobrze, Sam, nie wiem, o co chodzi, ale zgoda, dostosuję się do twych gier.

Powiedzmy, że za pół godziny spotkamy się w pod Hagia Sophia, pogadamy...

- Psie niewierny! - wrzasnął Sam. - Bękarcie żebraka! precz ode mnie! Precz ode mnie, żebraku!

Machał mi nad głową szablą - wyglądało to bardzo groźnie i nie przestawał wrzeszczeć po turecku. Nagle, ciszej, mruknął:

- Do diabła, nie wiem, kim jesteś, przyjacielu, ale jeśli szybko stąd nie znikniesz, będę musiał przeciąć cię na pół.

Tyle po angielsku. Wrócił do tureckiego.

- Gwałciciel dzieci, co pije żabie mleko! Pożeracz wielbłądziego gówna!

Nie żartował. Rzeczywiście mnie nie znał i rzeczywiście nie chciał mieć ze mną nic wspólnego. Zdumiony, zacząłem się cofać, skoczyłem w jedną z poprzecznych alejek bazaru, uciekłem na otwartą przestrzeń i pospiesznie skoczyłem dziesięć lat pod prąd. Paru ludzi mnie przy tym widziało, ale do diabła z nimi, dla Turka z 1559 roku świat musiał być pewien efretów i dżinów, a ja byłem tylko jednym z wielu.

Nie pozostałem w przeszłości nawet pięciu minut. Reakcja Sama na nie powitanie tak mnie zdumiała, że nie potrafiłem już odprężyć Się i zwiedzać zabytków. Musiałem jakoś to sobie wytłumaczyć. Skoczyłem więc z prądem do 2059. Zmaterializowałem się przecznicę Od Krytego Bazaru, praktycznie pod kołami taksówki. Paru współczesnych Turków na ten widok zachichotało. Pokazywali mi sobie palcami, ze względu na średniowieczny strój. Mam wrażenie, że te małpy nie przyzwyczyły się jeszcze do widoku turystów w czasie.

Prawie pobiegłem do najbliższej budki komunikacyjnej, dotknąłem plakietki kciukiem i zamówiłem rozmowę z Samem.

- Nie ma go pod numerem domowym - poinformował mnie główny terminal komunikacyjny,

- Czy mamy go dla pana znaleźć?

- Tak, poproszę.

W chwilę później aż wałnąłem się w czoło. Co za głupota! Przecież Sarn popłynął z prądem do 1559 roku!

Sieć komunikacyjna rozpoczęła już jednak poszukiwania. Zamiast zrobić jedyną sensowną w tych okolicznościach rzecz, czyli po prostu przerwać połączenie, Stałem w budce jak idiota, czekając na nieuniknioną informację, że nie udało się go znaleźć.

Minęły jakieś trzy minuty, nim odezwał się bezbarwny głos:

- Znaleźliśmy wzywanego w Nairobi. Jest gotów przyjąć pańską rozmowę. Czy mamy łączyć?

- Oczywiście.

Sam wypełnił znajdujący się przede mną ekran niczym posąg z mahoniu.

- Masz jakieś kłopoty, mały? - spytał.

- Co robisz w Nairobi?! - wrzasnąłem.

- Spędzam wakacje w towarzystwie mego narodu. Co w tym złego?

- Słuchaj, mam przerwę między kurierkami, skoczyłem sobie pod prąd do Stambułu w 1559 i spotkałem tam ciebie!

- No i co?

- Jak możesz istnieć jednocześnie tam i w Nairobi?

- Tak samo może istnieć dwudziestu dwóch twoich arabskich instruktorów przyglądających się, jak Rzymianie przybijają Jezusa do krzyża. Cholera, człowieku, kiedy ty się nauczysz myśleć czterowymiarowo?!

- A więc to inny ty jesteś pod prądem, w 1559?

- Jasne, malutki. On jest tam, a ja jestem tu. - Sam roześmiał się. - Taki drobiazg wcale nie powinien cię denerwować. Przecież jesteś kurierem!

- Słuchaj, słuchaj, no więc to było tak. Poszedłem na Kryty Bazar, rozumiesz, a tam byłeś ty

przebrany za Maura, więc aż krzyknąłem z radości i podbiegłem powiedzieć "cześć", a ty mnie nie poznałeś, Sam! Zacząłeś wymachiwać szablą, przeklinałeś mnie na czym świat stoi, po angielsku kazałeś mi wynosić się w diabły...

- Hej, człowieku, wiesz przecież, że regulamin zabrania rozmawiać z podróżnikiem w czasie, kiedy jesteś pod prądem. Chyba że skoczyłeś z tego samego dzisiaj. Jeśli nie, masz ignorować gościa, nawet gdyby cię przejrzał. Bratanie się jest zakazane, ponieważ...

- Tak, jasne, ale to przecież byłem ja, Sam. Nie sądziłem, że wyskoczysz do mnie z zasadami.

Słuchaj, przecież ty mnie nawet nie poznałeś!

- Ba! Czemu tak cię to obeszło, mały?

- Bo to było, jakbyś dostał amnezji. Przestraszyłem Się, wiesz?

- Przecież cię nie znałem.

- O czym ty gadasz, do cholery?

Sam roześmiał się grzmiąco.

- Paradoks nieciągłości! Tylko mi nie mów, że cię go nie nauczono!

- Coś rzeczywiście wspomniano, ale nigdy nie zwracałem szczególnej uwagi na tego typu drobiazgi.

- To teraz zwróć. Wiesz, w którym roku wybrałem się do Stambułu?

- Nie.

- W 2056, 2055, jakoś tak. Ciebie spotkałem trzy lub cztery lata później, to znaczy wiosną tego roku, więc Sam, którego spotkałeś w 1559, nie znał cię i nie mógł znać. Nieciągłość, pojmujesz? Ty skakałeś pod prąd z naszej terażniejszości roku 2059, ja z naszej terażniejszości mniej więcej 2055, więc byłeś dla mnie człowiekiem zupełnie obcym, ja jednak nie byłem zupełnie obcy dla ciebie. Właśnie dlatego kurierzy mają nie porozumiewać się z przyjaciółmi, których przypadkowo spotkają pod prądem.

Rzeczywiście, zaczynałem rozumieć.

- Zaczynam rozumieć - powiedziałem.

- Dla mnie - tłumaczył dalej Sam - byłeś głupim zielonym gówniarzem, jeśli nie wtyczką

Patrolu. Nie znalazłem cię i nie chciałem mieć z tobą nic wspólnego. A skoro już o tym rozmawiamy, to

rzeczywiście, przypominam sobie coś takiego, właśnie ze Stambułu. Kogoś ze świata z prądem

zaczepiającego mnie na bazarze. Zabawne, wcale nie skojarzyłem go z tobą!

- Miałem przyprawioną bródkę.

- Aha, to pewnie dlatego. Słuchaj, wiesz już, o co chodzi?

- Paradoks nieciągłości, tak. Jasne, Sam.

- No to trzymaj się z dala od przyjaciół, jeśli spotkasz jakiegoś pod prądem.

- Jasne, Sam. Chryste, aleś mnie wystraszył tą szablą.

- A poza tym jak leci?

- Doskonale - odparłem. - Wręcz doskonale.

- Uważaj na paradoksy, mały - powiedział jeszcze Sam i posłał mi buziaka.

Z złejszym sercem wyszedłem z budki i prawie natychmiast skoczyłem w Wspaniałego rok

1550, przyrzeć się budowie meczetu Sulejmana Wspaniałego.

24.

Temistokles Metaxas prowadził drugą wycieczkę, z którą wybrałem się w przeszłość

Bizancjum. Gdy go poznałem, wiedziałem już, że człowiek ten odegra wyjątkową rolę w moim życiu.

I nie pomyliłem się.

Metaxas był bokserem wagi koguciej; mierzył sobie maksimum półtora metra. Czaszkę miał

trójkątną, płaską u góry, spiczastą u dołu. Gęste kręcone włosy już mu siwiały, małe czarne oczka

błyszczały wesoło, nad nimi wisały gęste brwi, pod nimi zaś wznosił się wielki, ostry nos. Wargi

podwijał - tak że wydawało się, że wcale nie ma warg. Nie obrósł w nawet gram tłuszczu, był bez

wątpienia niezwykle silny. Głos miał niski, przyjemny.

Metaxas był człowiekiem z charyzmą. Choć może powinienem nazwać to hucpą?

Zapewne nie brakowało mu ani jednego, ani drugiego. Uważał, że wszechświat wiruje wokół

Temistoklesa Metaxasa, że gwiazdy rodzą się po to, by swym światłem dodawać blasku

Temistoklesowi Metaxasowi, że efekt Benchleya wynaleziono wyłącznie po to, by Temistokles

Metaxas mógł wygodnie wędrować sobie przez stulecia. Z pewnością nie wierzył, że wszechświat przetrwa jego śmierć.

Był w grupie pierwszych zatrudnionych - przeszło piętnaście lat temu! - kurierów. Gdyby

wykazał choć minimum zainteresowania tą pracą, kierowałby teraz niewątpliwie całą Służbą

Kurierską; dowodziłby plutonem seksownych sekretarek i nie musiałby łapać pcheł w Bizancjum. Z

własnego jednak wyboru Metaxas pozostał aktywnym kurierem, pracującym wyłącznie w

Bizancjum. Wręcz uważał się za obywatela Bizancjum, spędzał tam nawet wakacje! Miał willę na wsi, w XII wieku.

Na boku angażował się w przedsięwzięcia o różnym stopniu nielegalności. Działalność ta

ustałaby prawdopodobnie, gdyby przestał być kurierem, więc nie przestawał. Patrol Czasowy

przeraźliwie się go bał, pozwalając mu praktycznie na wszystko. Oczywiście, Metaxas miał za wiele

rozumu, by ingerować w przeszłość w sposób, który mógłby w drastyczny sposób zmienić dzisiejszą

teraźniejszość, narzuci! jednak sobie tylko to ograniczenie, poza tym nie krepował się niczym.

Kiedy spotkałem go po raz pierwszy, powiedział mi:

- Do tej pory nie żyłeś, chłopcze. Zaczynasz żyć, kiedy prześpisz się ze swą antenatką.

25.

To była wielka grupa: dwunastka turystów, Metaxas i ja. Do grup Metaxasa zawsze

dodawano kilka osób, takim był niezwykle zdolnym kurierem i tyle było na niego zamówień. Jako

asystent wlokłem się w ogonie, chłonałem wrażenia i zdobywałem doświadczenie przed pierwszą

solową wyprawą, czekającą na mnie jako następna w kolejce.

W skład naszej dwunastki wchodziły dwa typowe zamożne małżeństwa w średnim wieku, jedno z Indianapolis, drugie z Mediolanu, dwóch niestarych jeszcze dekoratorów wnętrz, mężczyzna i zbrojeniec, obaj z Bejrutu, niedawno rozwiedziony manipulator odruchów z Nowego Jorku, mniej więcej czterdziestopięcioletni i wyraźnie szukający sobie baby, oraz podnoszący kwalifikacje nauczyciel liceum z Milwaukee wraz z żoną, a także trzy młode, ładne, nie związane dziewczyny, studentki z Princeton, którym rodzice zafundowali tę podróż, żeby czegoś się nauczyły; innymi słowy typowa próbka.

Pod koniec pierwszej sesji zapoznawczej trzy dziewczyny, obaj dekoratorzy wnętrz i żona z Indianapolis mieli wyraźną ochotę na pójście do łóżka z Metaxasem. Nikt nie zwrócił uwagi na mnie.

- Wszystko zmieni się, kiedy już ruszymy - pocieszył mnie mój mentor. - Kilka pań z pewnością nie zaprotestuje. Bo ciebie interesują baby, prawda?

Miał racje. W trakcie naszej pierwszej nocy pod prądem wybrał sobie jedną z dziewczyn z Princeton, a dwie pozostałe zrezygnowały z niego niemal natychmiast i zaakceptowały mnie jako drugiego po Bogu. Z jakiegoś nie znanego mi powodu Metaxas wybrał piegowatego rudzielca z nosem jak kartofel i wielkimi stopami. Mnie została wysoka, smukła, pełna godności brunetka, tak doskonała pod każdym względem, że po prostu musiała być produktem jednego z najdroższych salonów genspirali, oraz wesoła ciemna blondynka o ciepłych oczach, ogromnym wdzięku i piersiach dwunastolatki. Wybrałem brunetkę i pożałowałem - zachowywała się w łóżku jak plastikowa lalka. Trochę przed świtem prze - handlowałem ją na blondynkę - z nią bawiłem się znacznie lepiej.

Metaxas był wspaniałym kurierem. Znał wszystkich, wiedział wszystko i zawsze potrafił ustawić nas tak, byśmy wszystko widzieli, nawet podczas największych uroczystości.

- Mamy styczeń 532 roku - tłumaczył właśnie. - Panuje cesarz Justynian. Ma on ambicję

podbicia świata i władania nim z Konstantynopola. Jednak większość wielkich dokonań jest jeszcze przed nim. Miasto, jak widzicie, nadal wygląda niemal dokładnie tak jak w V wieku. Patrzycie na Wielki Pałac, za plecami macie Hagia Sophię Teodozjusza II, zbudowaną na planie starej bazyliki, jeszcze nie przebudowaną, bez słynnych kopuł. W mieście panuje napięcie, wkrótce zaczną się rozruchy. Idziemy w tę stronę.

Drżąc z zimna poszliśmy za Metaxasem. Szliśmy alejkami i wąziutkimi przejściami, których nie używaliśmy podczas wyprawy z Capistrano. Ani razu w trakcie całego pobytu nie dostrzegłem samego siebie, Capistrano ani nikogo z tej grupy. Jedną z legendarnych umiejętności Metaxasa było znajdowanie nowych podejść do standardowych scen. No, ale przecież nie miał wyboru. W tej chwili

pięćdziesięciu, a może i stu Metaxasów prowadziło wycieczki przez Konstantynopol Justyniana.

Zawodowa duma nakazywała mu unikać spotkania z którymś z samych siebie.

- W Konstantynopolu istnieją teraz dwie frakcje - tłumaczył - nam Metaxas. - Nazywają się Niebieskimi i Zielonymi. Każda z nich liczy sobie jakieś tysiąc osób. To prawdziwe lotry i obie frakcje są znacznie bardziej wpływowe, niż można byłoby wnioskować z ich liczebności. To jeszcze nie partie polityczne, ale już więcej niż tylko kibice drużyn sportowych; właściwie mają cechy obu tych grup. Niebiescy są bardziej arystokratyczni, Zieloni mają powiązania z klasami niższymi i kupcami. Każda z frakcji sprzyja drużynie w rozgrywanych w Hipodromie zawodach, każda sprzyja też określonemu kursowi polityki rządu. Justynian długo sympatyzował z Niebieskimi i Zieloni mu nie ufają. Cesarz jednak usiłuje sprawiać wrażenie neutralnego. W rzeczywistości chciałby zdławić obie frakcje, ponieważ obie są zagrożeniem dla jego potęgi. Każdej nocy któraś z nich wszczyna rozruchy na ulicach. Spójrzcie - oto Niebiescy.

Ruchem głowy wskazał nam grupkę niebezpiecznie wyglądających łobuzów. Było ich z dziesięciu. Długie włosy opadały im na ramiona, nosili brody i wąsy. Strzygli się tylko na czubku głowy. Tuniki mieli ciasno związane w talii, powyżej zaś, do ramion, były one bardzo szerokie i

luźne. Wszyscy nosili kolorowe peleryny i spodnie przypominające bryczesy. Wszyscy uzbrojeni byli w krótkie obosieczne miecze. Wyglądali na brutalnych i niebezpiecznych.

- Zaczekajcie - powiedział Metaxas i podszedł do nich.

Niebiescy pozdrowili go jak starego przyjaciela, klepali po ramionach, śmieli się, krzyczeli z radości. Nie słyszałem rozmowy, ale widziałem, jak Metaxas ściska im dłonie i mówi coś spokojnie, pewnie, lecz szybko. Jeden z Niebieskich wręczył mu flaszkę wina; nasz kurier pociągnął z niej długi łyk. Potem, jakby się upił, zgrabnie wyjął Niebieskiemu miecz z pochwy i udał, że go nim przebija.

Zgromadzeni zaśmiewali się i tańczyli z radości. Teraz wskazał na nas; Niebiescy przytaknęli skinieniem głów, obejrżeli sobie dziewczyny, puszczały oczka, wykonywali nieprzyzwoite gesty.

Wreszcie wezwano nas na drugą stronę ulicy.

- Jesteśmy zaproszeni do Hipodromu jako goście moich przyjaciół - oznajmił Metaxas. -

Wyścigi zaczynają się w przyszłym tygodniu. Tej nocy mamy pozwolenie na towarzyszenie Niebieskim w wybrykach.

Nie wierzyłem własnym uszom. Kiedy byłem tu z Capistrano, przemykaliśmy pod murami, staraliśmy się nie rzucać w oczy, był to bowiem czas gwałtów i nocnych morderstw, po zmroku przestawało funkcjonować prawo. Jak Metaxas śmie prowadzić nas w towarzystwie kryminalistów!

Śmiał. I oto przebiegaliśmy Konstantynopol, patrząc jak Niebiescy szaleją, rabują, gwałcą i mordują. Na obywateli miasta śmierć czyhała za rogiem, my byliśmy bezpieczni - uprzywilejowani świadkowie rządów terroru. Metaxas uwijał się pośród koszmaru niczym karłowaty szatan, bawił się wraz z przyjaciółmi, parę razy widziałem nawet, jak wskazywał im ofiary!

Rankiem wszystko to wydało się nam snem. Upiory gwałtu znikły wraz z mrokami nocy; w bladym świetle styczniowego słońca oglądaliśmy miasto, słuchając komentarza naszego przewodnika.

- Justynian był wielkim wodzem, wielkim prawodawcą, wielkim dyplomatą i wielkim

budowniczym - tłumaczył Metaxas. - Taki werdykt wydała historia. Mamy także "Historię tajemną" Prokopa, według której Justynian był zarówno królem, jak i błaznem, jego małżonka Teodora zaś demoniczną, wściekłą suką. Znam tego Prokopa. To dobry człowiek, wyśmienity pisarz, poglądy ma niestety nieco purytańskie, no i jest łatwowierny. Co do Justyniana i Teodory, ma jednak całkowitą rację. Justynian to wielki człowiek do wielkich spraw, lecz bywał wyjątkowo małostkowy i złośliwy w małych sprawach. Teodora - w tym momencie splunął - Teodora to królowa kurw. Tańczy nago na dyplomatycznych ucztach, ukazuje się naga publicznie, sypia ze swymi sługami. Słyszałem także, że oddaje się psom i osłom. Jest zepsuta w stopniu dokładnie odpowiadającym sądom Prokopa. Oczy Metaxasa błyszczały. Nie musiał mówić o tym otwarcie - wiedziałem, że dzielił łożę z Teodora.

Tego samego dnia, nieco później, wyszeptał mi do ucha:

- Mogę załatwić ją dla ciebie. Praktycznie bez ryzyka. Marzyłeś kiedykolwiek, żeby przespać się z cesarzową Bizancjum?

- Ale ryzyko...

- Jakie ryzyko? Masz timer, w każdej chwili możesz wyrwać się na wolność! Posłuchaj mnie, chłopcze, przecież to cyrkówka. Wsadzi ci pięty w uszy! Ona człowieka po prostu pochłania! Mogę ci ją załatwić. Mogę ci załatwić cesarzową Bizancjum! Żonę Justyniana.

- Może następnym razem - wybełkotałem. - Wiesz... no... lepiej nie teraz. Ten interes to dla mnie ciągle coś nowego i...

- Boisz się jej, co?

- Nie jestem jeszcze gotów na pieprzenie cesarzowej - oznajmiłem godnie.

- Przecież wszyscy ją pieprzą!

- Kurierzy też?

- Z pewnością większość.

- Następnym razem - obiecałem.

Sam pomyśl, prawdę mówiąc, po prostu mnie przerażał. Musiałem go jakoś odrzucić.

Metaxas jednak źle mnie zrozumiał - nie jestem człowiekiem wstydliwym i nie bałem się przyłapania przez Justyniana. Nie, nic takiego, po prostu nie potrafiłem zobaczyć się w historii. Podróże pod prąd nadal były dla mnie czymś w rodzaju magii; posunięcie magicznego potwora typu Teodory uczyniłoby je aż nazbyt rzeczywistymi. Metaxas śmiał się ze mnie, przez chwilę miałem nawet wrażenie, że mną pogardza, ale na zakończenie rozmowy powiedział:

- Nie, wszystko w porządku. Sam jestem zdania, że nie powinienes się przesadnie spieszyć.

Ale kiedy będziesz już gotów, nie zapomnij o Teodorze. Polecam ci ją osobiście.

26.

Pozostaliśmy w tym czasie przez kilka dni, obserwując wczesną fazę rozruchów. Właśnie miały rozpocząć się noworoczne zawody i zarówno Niebiescy, jak i Zieloni buntowali się coraz bardziej. Ich wyczyny zatęczały o anarchię, po zmroku ulice nie były już bezpieczne dla nikogo.

Justynian nakazał frakcjom zaprzestać rozruchów, ale nie zrobił tego dość stanowczo, choć aresztowano niektórych przywódców. Siedmiu z nich cesarz skazał na karę śmierci. Czterech miało zostać ściętych, ponieważ pochwycono ich z bronią, trzech powieszonych pod zarzutem konspiracji.

Metaxas zabrał nas na egzekucję. Jeden z Niebieskich przeżył pierwsze powieszenie, sznur bowiem zerwał się pod jego ciężarem. Straż cesarska jeszcze raz wprowadziła skazańca na szubienicę, ale szubienica jeszcze raz nie dała mu rady, choć sznur pozostawił jaskrawoczerwone ślady na szyi męczennika. Odstawiono więc gościa na bok i próbowano powiesić któregoś z Zielonych, dwa razy spieprzono robotę i właśnie miano spróbować z oboma po raz trzeci, kiedy jakiś wściekły mnich wyskoczył z monasteru, pochwycił skazańców i w zamieszaniu przeprowił przez Złoty Róg w wiosłowej łodzi, oferując im schronienie w którymś z kościołów po drugiej stronie. Metaxas, oczywiście, wszystko to widział już wcześniej. Chichotał jak wariat, ja zaś miałem

wrażenie, że jego twarz wygląda na mnie z tysiąca miejsc w tłumie, który zgromadził się, by oglądać egzekucję.

Potem zaczęły się wyścigi w Hipodromie, gdzie zaprosił nas gang Niebieskich zaprzyjaźnionych z Metaxasem. Nie narzekaliśmy na brak towarzystwa - na trybunach zgromadziło się jakieś sto tysięcy Bizantyńczyków. Rzędy marmurowych ławek wypełnione były sporo powyżej ostatniego miejsca, dla nas jednak znalazły się wolne siedzenia. Wśród widzów szukałem siebie wiedząc, że byłem tu już raz, z Capistrano, ale w tym strasznym tłumie nie byłem w stanie się dostrzec. Za to Metaxasów nie brakowało.

Jasnowłosa absolwentka Princeton aż westchnęła ze zdumienia.

- Patrzcie! - krzyknęła. - Przecież to ze Stambułu!

Na dole, pośrodku areny, stał szereg znanych nam rzeźb, odgraniczających zewnętrzną i wewnętrzną tor. Była tam wężowa kolumna z Delf, przywieziona przez Konstantyna, wraz z wielkim obeliskiem Totmesa III, skradzionym z Egiptu przez pierwszego Teodozjusza. Blondynka pamiętała je z naszego teraz, gdzie stały nadal, choć sam Hipodrom obrócił się w proch.

- A gdzie jest trzeci? - spytała.

- Trzeci obelisk nie został jeszcze wzniesiony - powiedział cicho Metaxas. - Lepiej nie rozmawiajmy na ten temat.

Trzeci dzień wyścigów - dzień tragiczny. Zgromadzony wokół areny tłum, który obwoływał i obalał cesarzy, był najwyraźniej w kiepskim humorze. Wczoraj i przedwczoraj, o czym doskonale wiedziałem, pod adresem Justyniana, siedzącego w cesarskiej łoży, rzucono prowokacyjne okrzyki. Tłum wzywał go do uwolnienia uwięzionych przywódców frakcji, Justynian zignorował jednak te wezwania i dał rozkaz rozpoczęcia wyścigów. Dziś, trzynastego stycznia, Konstantynopol miał wybuchnąć. Turyści czasowcy uwielbiają katastrofy, a tu nastąpić miała jedna z większych w historii naszej cywilizacji. Co do tego nie miałem wątpliwości. Już ją widziałem.

Poniżej nas oficjele zdążyli dopełnić wymaganych formalności. Gwardia cesarza defilowała imponująco, z rozwianymi sztandarami. Ci przywódcy Niebieskich i Zielonych, których jeszcze nie uwięziono, wymieniali chłodne, ceremonialne pozdrowienia. Tłum nagle zafalował, rozległy się posykiwania - to Justynian wstąpił do cesarskiej loży. Był mężczyzną średniego wzrostu, raczej tęgim, o okrągłej rumianej twarzy. Za nim do loży weszła cesarzowa Teodora. Ubrana była w obcisły strój z przezroczystego jedwabiu. Musiała masować sutki, żeby stwardniały, bo spod materiału były po oczach niczym punktowe reflektory.

Już gdy Justynian wspinał się po prowadzących do loży schodach, na trybunach rozległy się okrzyki: "Uwolnij ich! Wypuść ich!". Cesarz przystanął i, unosząc fałdę purpurowego płaszcza, pobłogosławił zgromadzonych znakiem krzyża, trzykrotnie, stojąc najpierw twarzą do areny, a potem obracając się w prawo i w lewo. Okrzyki stawały się coraz głośniejsze. Justynian upuścił na ziemię białą chusteczkę. Niech złączą się wyścigi! Teodora przeciągnęła się, ziewnęła i podciągnęła tunikę, podziwiając kształt swych ud. Wrota stajni otworzyły się i na tor wyjechały pierwsze cztery rydwany.

Były to kwadrygi - powozy czterokonne. Widzowie natychmiast zapomnieli o polityce; rydwany bowiem jechały dosłownie koło w koło.

- Teodora przespała się z każdym z woźniców - oznajmił nam Metaxas spokojnie. - Ciekawe, który z nich jest jej faworytem.

Cesarzowa sprawiała tymczasem wrażenie głęboko znudzonej. Już poprzednio jej obecność na igrzyskach mnie zaskoczyła - sądziłem, że zwyczaj zakazuje jej obecności w loży. Rzeczywiście, zwyczaj zakazywał, ale Teodora sama stanowiła dla siebie zasady.

Kwadrygi dotarły do spina, rzędu pomników, zawróciły i ruszyły w naszym kierunku. Każdy wyścig trwał przez siedem okrążeń; na trybunie leżało siedem muszli, przy każdym okrążeniu usuwano jedną z nich. Obserwowaliśmy dwa wyścigi, a potem Metaxas powiedział:

- Skoczmy godzinę z prądem. Będziemy świadkami zakończenia tego dnia.

Tylko jego stać było na taki wyczyn. Nastawiliśmy timery i skoczyliśmy, wszyscy razem, lekceważąc wszelkie prawa dotyczące publicznych podróży w czasie. Pojawiliśmy się w Hipodromie

w momencie rozpoczęcia szóstego wyścigu.

- Teraz zaczną się problemy - stwierdził radośnie Metaxas.

Wyścig dobiegł końca, lecz kiedy zwycięzca wystąpił odebrać nagrodę, z grupy Niebieskich ktoś krzyknął donośnym basem:

- Niech żyją Zieloni i Niebiescy!

Mgnienie oka później spośród Zielonych rozległo się równie donośne:

- Niech żyją Niebiescy i Zieloni!

- Frakcje zjednoczyły się przeciw Justynianowi - powiedział Metaxas spokojnie, cicho,

niczym uniwersytecki wykładowca. Rządzący w tej chwili stadionem kompletny chaos nie poruszał go w najmniejszym nawet stopniu.

- Niech żyją Zieloni i Niebiescy!

- Niech żyją Niebiescy i Zieloni!

- Niech żyją Zieloni i Niebiescy!

- Zwycięstwo!

- Zwycięstwo!

- Zwycięstwo!

Tysiące ludzi krzychało już tylko to jedno słowo: "Zwycięstwo!

Nika! Nika! Zwycięstwo!"

Teodora śmiała się jak szalona. Justynian, marszcząc brwi, rozmawiał z dowódcą swej gwardii. Zieloni i Niebiescy opuścili Hipodrom ramię przy ramieniu, a za nimi ruszył szczęśliwy, wrzeszczący tłum marzący tylko o jednym: niszczyć, niszczyć, niszczyć! Trzymaliśmy się z tyłu, na

rozsądny dystans; przy okazji zauważyłem kilka innych równie ostrożnych grupek, z pewnością nie-Bizantyńczyków.

Na ulicach paliły się pochodnie. Cesarskie więzienie stało w płomieniach. Skazańcy wydostali się na wolność, strażnicy płonęli. Straż cesarska Justyniana nie śmiała interweniować; żołnierze ponuro przyglądali się zniszczeniom. Tłum mocował wiązki chrustu na ścianach Wielkiego Pałacu, który od Hipodromu dzieliła przestrzeń placu, i już wkrótce pałac płonął również. Hagia Sophia Teodozjusza paliła się jasnym płomieniem; brodaci mnisi niosący ikony pojawili się na jej dachu i zaraz spadli w gorejące poniżej piekło. Zapalił się gmach senatu. Na naszych oczach rozpoczynała się orgia zniszczenia. Gdy tylko zbliżały się do nas grupy zdziczałych Bizantyńczyków, przestawialiśmy timery i skakaliśmy z prądem, ale nie więcej niż dziesięć, piętnaście minut na skok; nie pragnęliśmy bynajmniej wylądować w płomieniu, którego przed chwilą jeszcze nie było.

- Nika! Nika!

Niebo nad Konstantynopolem zasnuł gęsty czarny dym. Horyzont rozjaśniała łuna pożarów.

Metaxas, którego trójkątną twarz ubrudził popiół i sadze, którego oczy błyszczały dziką radością, marzył chyba o porzuceniu nas i dołączeniu do rozruchów.

- Strażacy sami rabują! - zawołał. - 1 zobaczcie, Niebiescy palą domy Zielonych, a Zieloni palą domy Niebieskich!

W tym czasie odbywał się exodus - tysiące obywateli uciekało do portu, w porcie zaś błagało właściciele łodzi o przewiezienie ich na azjatycką stronę. Nie tknięci, bezpieczni, obserwowaliśmy ten holocaust; widzieliśmy, jak wałęsały się ściany Hagia Sophii, widzieliśmy, jak ogień pożera Wielki Pałac, widzieliśmy rabusiów, podpalaczy i gwałcicieli, przystających w ogarniętych pożarem uliczkach, by proletariackim nasieniem wypełnić krzyczące arystokratki w jedwabkach.

Metaxas zręcznie montował nam obraz rozruchów. Był tu wielokrotnie, wiedział, kiedy i

gdzie dzieje się coś ciekawego.

- Teraz skoczmy pod prąd sześć godzin i czterdzieści minut.

- A teraz trzy godziny osiem minut.

- Jeszcze półtorej godziny.

- Jeszcze dwa dni.

Byliśmy świadkami wszystkich ważniejszych zdarzeń. Miasto płonęło, kiedy Justynian wysłał z procesją biskupów i mnichów, niosących relikwie: kawałek Prawdziwego Krzyża, różdżkę Mojżesza, róg baranka Abrahama, kości męczenników; przerażeni duchowni dzielnie krążyli po ogarniętym szaleństwem mieście błagając o cud, ale Bóg nie zesłał na nich cudu, tylko kaskady kamieni i odłamków cegieł. Czterdziestu osłaniających ich żołnierzy prowadził generał.

- To słynny Belizariusz - powiedział Metaxas.

Cesarz rozgłosił zwolnienie z funkcji niepopularnych urzędników, lecz bez skutku - tłum wdierał się do kościołów, spłonęła cesarska biblioteka, zniszczono łaźnie Zeuksipposa.

Osiemnastego stycznia nieustraszony Justynian pojawił się publicznie w Hipodromie, wzywając do przywrócenia pokoju. Został wygwizdany przez Zielonych i uciekł przed rzucanymi przez nich kamieniami. Widzieliśmy, jak na placu Konstantyna buntownicy obwołują cesarzem bezwartościowego księcia Hypatiusa, widzieliśmy, jak w obronie swego władcy przez płonące miasto maszerują legie Belizariusza, widzieliśmy rzeź buntowników.

Widzieliśmy wszystko. Zrozumiałem, dlaczego Metaxas jest najświetniejszym i najbardziej poszukiwanym z kurierów. Capistrano zrobił, co mógł, by jego podopieczni obejrzeliby interesujące widowisko, ale zbyt wiele czasu zmarnował we wczesnej fazie wycieczki. Metaxas, przeskakując - genialnie! - godziny i dni, ukazał nam prawdziwy rozmiar katastrofy i doprowadził nas w końcu do ranka tego dnia, gdy porządek został wreszcie przywrócony. Widzieliśmy wstrząśniętego cesarza przejeżdżającego przez ruiny spalonego Konstantynopola. W czerwonych promieniach wstającego

słońca widać było tańczące ciągle w powietrzu popioły. Justynian przyglądał się wypalonemu wnętrzu Hagia Sophii, my przyglądaliśmy się Justynianowi.

- Planuje budowę nowej katedry - objaśnił nam Metaxas. - Uczyni ją najwspanialszym kościołem od czasu świątyni Salomona w Jerozolimie. Świetnie, widzieliśmy wystarczająco wiele zniszczeń, czas przyjrzeć się narodzinom piękna. Pod prąd, panie i panowie! Pięć lat i dziesięć miesięcy pod prąd, a tam podziwiać będziemy prawdziwą Hagia Sophię.

27.

- Kiedy znów będziesz miał przerwę - powiedział Metaxas - odwiedź mnie w mojej willi.

Żyję w 1105 roku. To dobry czas na mieszkanie w Bizancjum. Rządzi Aleksy Komnen, i rządzi mądrze. Będę miał dla ciebie namiętą dziewczynę i mnóstwo wina. Odwiedzisz mnie?

Bezgranicznie podziwiałem tego człowieka, niskiego, drobnego, o ostrej, trójkątnej twarzy.

Wycieczka zbliżała się do końca, przed nami był już tylko podbój turecki. Ten człowiek w oszałamiająco dobitny sposób wykazał mi, jaka jest różnica między kompetentnym a natchnionym kurierem.

Tylko doświadczenie całego życia, tylko oddanie życia kurierskiej służbie doprowadzić mogło do takich rezultatów.

Metaxas pokazał nam nie tylko najważniejsze wydarzenia, lecz także mnóstwo mniej ważnych. Zatrzymywaliśmy się na godzinę tu i dwie godziny tam, widzieliśmy wspaniałą mozaikę wielkiej historii Bizancjum przyćmiewającą swą urodą słynne mozaiki Hagia Sophii. Podczas tego typu wycieczki kurierzy wykonują z turystami kilkanaście skoków. Metaxas wykonał ich ponad pięćdziesiąt.

Szczególnymi względami darzył cesarzy nieudanych. Wysłuchaliśmy przemowy Michała II Jąkały, oglądaliśmy cuda wyprawiane przez Michała III Pijaka, byliśmy na chrzcie piątego z Konstantynów, który miał pecha, nasikał do chrzcielnicy i od tej pory zwany był Konstantyn

Kopronymos, Konstantyn Siusiający. Metaxas czuł się jak u siebie w Konstantynopolu każdego z tysiąca lat jego historii. Bez najmniejszych problemów przemierzał epoki, chłodny i niewzruszony. Willa, którą utrzymywał w XII wieku, była dowodem jego bezczelnej pewności siebie - żaden inny kurier nie ośmieliłby się stworzyć sobie tożsamości pod prądem, spędzać przerw między wycieczkami w charakterze obywatela przeszłości. To swoje życie wiódł na zasadzie naszej terażniejszości, to znaczy jeśli prowadził dwutygodniową wycieczkę, wracał do domu po dwóch tygodniach. Nigdy się nie nałożył, nigdy nie powrócił w czasie, gdy akurat przebywał na miejscu; tylko jednemu Metaxasowi wolno było używać willi, a mianowicie Metaxasowi jego własnej terażniejszości. Kupił ją dziesięć lat temu według swej podwójnej terażniejszości, w i 1095. Korelował czas bardzo precyzyjnie, dziesięć lat upłynęło w jego obu planach. Obiecałem, że odwiedzę go w 1105.

- To dla mnie zaszczyt - powiedziałem mu.

Metaxas tylko się uśmiechnął.

- Przy okazji przedstawię cię mojej prapraprababce - obiecał. - Niesamowicie namiętna z niej kobietka. Pamiętasz, co mówiłem ci o pieprzeniu własnych antenatek? Nie ma nic fajniejszego.

- Czy ona wie, kim jesteś? - spytałem zdumiony.

- No, nie gadaj! Czy według ciebie byłbym skłonny złamać pierwszą zasadę Służby Czasowej? Czy komukolwiek z przeszłości napomknąłbym choćby, że jestem z przyszłości? Coś ty! Nawet ja, Temistokles Metaxas, przestrzegam tej zasady!

Jak ponury Capistrano, Metaxas także przywiązywał wielką wagę do genealogii... swojej genealogii. W odróżnieniu od Capistrano nie chodziło mu jednak o znalezienie możliwie najbardziej skomplikowanego sposobu popełnienia samobójstwa. Interesowało go wyłącznie transtemporalne kazirodztwo.

- Czy to nie ryzykowne? - spytałem.

- Bierz pigułki i jesteś bezpieczny. Ona też.
- Chodzi mi o Patrol Czasowy...
- Pilnuj tylko, żeby się nie dowiedzieli, i jesteś bezpieczny.
- Jeśli przypadkiem zajdzie przez ciebie w ciążę, staniesz się swym własnym przodkiem.
- Ale fajnie - westchnął Metaxas.
- Tylko że...
- W naszych czasach nie zachodzi się już w ciążę przypadkiem, chłopcze - poinstruował mnie. - No, ale oczywiście - dodał szybko - pewnego dnia mogę zechcieć mieć z nią dziecko. Poczuję, jak wiatry czasu przegradzają się w huragan.
- Głosisz anarchię - wykrztusiłem.
- Nie anarchię, lecz nihilizm - poprawił mnie. - Tylko popatrz, Jud... tylko zajrzyj do tej książeczki. Mam w niej listę wszystkich mych przodkiń od XIX do X wieku... są ich setki. Nikt na świecie nie ma takiej książeczki, może z wyjątkiem snobistycznych rodów królewskich, ale ich genealogia z pewnością nie jest aż tak dokładna.
- Jest jeszcze Capistrano - zauważyłem.
- Capistrano dotarł zaledwie do XIV wieku. No i ma przecież źle w głowie. Wiesz, czemu tworzy swe drzewo genealogiczne?
- Wiem.
- Chory facet, nie?
- Owszem. A powiedz mi, dlaczego tak ci zależy na sypianiu z własnymi antenatkami?
- Naprawdę chcesz wiedzieć?
- Naprawdę.
- Dobrze, powiem ci. Mój ojciec był zimnym draniem. Nienawidziłem go. Bijał swe dzieci codziennie przed śniadaniem, żeby się rozruszać. Jego ojciec też był zimnym draniem, którego mój

ojciec nienawidził z całego serca, bo zmuszał jego i jego rodzeństwo do niewolniczej pracy. Ojciec jego ojca... i tak dalej; pochodzę z długiej linii tyranów, autokratów, dyktatorów. To, co robię, jest moją własną formą buntu przeciw obrazowi ojca. Płynę pod prąd coraz dalej i dalej, uwodząc żony, siostry i córki ludzi, których nienawidzę. W ten sposób nakłuwam baloniki ich rozdętych ego.

- Ale w takim razie... gdybyś chciał być konsekwentny... to przecież matka... zaczęłbyś...

- Granicą jest zboczenie.

- Rozumiem.

- Ale babka, owszem! I mnóstwo prababek! - Oczy mu zapłonęły. Jego obsesja była dlań dziełem świętym. - Przerobiłem już jakieś dwadzieścia, trzydzieści pokoleń, a przerobię jeszcze ze trzydzieści! - Roześmiał się cienkim, szatańskim śmiechem. - A poza tym - dodał jeszcze - lubię kobiety jak każdy zdrowy mężczyzna. Inni uwodzą zdając się na przypadek, Metaxas jednak robi to systematycznie! Nadaje to mojemu życiu sens i porządek. Interesuje cię to, nie?

- No...

- W życiu nie zaznałem większej przyjemności.

Oczami wyobraźni dostrzegłem sięgający nieskończoności rząd nagich kobiet, leżących ramię przy ramieniu. Wszystkie miały trójkątne twarze i ostre rysy Temistoklesa Metaxasa. Sam Metaxas szedł powoli wzdłuż tego rzędu, wtykał w tę i w następną, i w następną. Niezmordowany, dotarł wreszcie do leżących z rozwartymi nogami włochatych, pozbawionych szyi kobiet Pithecanthropus erectus, nie zniechęciło go to, wsadzał i wsadzał, aż do początku ludzkości.

Brawo, kolego! Brawo, brawo, brawo!

- Dlaczegoż to właściwie nie miałbyś spróbować? - spytał nagle Metaxas.

- No...

- Powiedziałeś, że jesteś z pochodzenia Grekiem.

- Moja matka była Greczynką, tak.

- A więc twoi przodkowie najprawdopodobniej mieszkali wla śnie tu, w Konstantynopolu.

Żaden Grek wart tej nazwy nie mieszkał wówczas we właściwej Grecji. W tej właśnie chwili jakaś twoja namiętna przodkini mieszka gdzieś tu, po sąsiedzku!

- No...

- Znajdź ją! - krzyknął Metaxas. - Pieprz ją! Co to za radość! Co za ekstaza! Zaprzecz istnieniu przestrzeni i czasu! Napluj bogom w oko!

- Naprawdę nie wiem, czy właśnie o tym marzę - odparłem. Ale o tym właśnie marzyłem.

28.

Jak już powiedziałem, Metaxas zmienił me życie. Zmienił me przeznaczenie na wiele sposobów, nie wszystkie dobre. Ale jedną zmianą niewątpliwie dobrą było dodanie mi pewności siebie. Jego charyzma, jego hucpa przylgnęły do mnie jak druga skóra.

Od Metaxasa nauczyłem się arogancji.

Aż do tej chwili byłem skromnym, nawet nieśmiałym młodzieńcem; w każdym razie z pewnością zachowywałem się tak wobec ludzi, których uznałem za starszych, lepszych i mądrzejszych od siebie. Dotyczyło to zwłaszcza ludzi spotkanych w służbie czasowej; wobec nich byłem bierny, cichuteńki, skromny. Parę razy nadepnałem im na odcisk i niewątpliwie wydawałem się im bardziej naiwny, niż byłem w rzeczywistości. Zachowywałem się w ten sposób, ponieważ rzeczywiście byłem młody i rzeczywiście wiele jeszcze musiałem się nauczyć, nie tylko o sobie - o sobie każdy uczy się wszystkiego, prędzej lub później - lecz także o funkcjonowaniu służby. Do tej pory spotykałem wyłącznie ludzi starszych ode mnie, mądrzejszych, cwańszych i zdeprawowanych do głębi duszy. Traktowałem ich z szacunkiem: Sama, Dajaniego, Jeffa Monroe, Sida Buonocore, Capistrano i tak dalej. Aż wreszcie znalazłem się przed obliczem Metaxasa, najstarszego, najmądrzejszego, najcwańszego i najbardziej zdeprawowanego z nich wszystkich, i dzięki niemu zyskałem indywidualność. Przestałem krążyć wokół innych, obrałem swój własny kurs.

Później dowiedziałem się, że było to jedno z jego zadań w ramach pracy w Służbie Czasowej.

Metaxas brał pod swe skrzydła młodych przyszłych kurierów, mających jeszcze obłęd w oczach, i wypełniał te puste naczynia bezczelną pewnością siebie, jakże konieczną w tym zawodzie.

Wróciwszy z wyprawy z Metaxasem, byłem gotów na swe pierwsze solo i wcale się go nie bałem. Wręcz przeciwnie. Metaxas pokazał mi, jak kurier może być artystą, malującym dla klientów krajobraz przeszłości. Zamierzałem zostać takim właśnie artystą. Nie martwiło mnie już ani ryzyko, ani odpowiedzialność.

- Masz przerwę, a po przerwie zabierasz sześć osób na tydzień - oznajmił mi Protopopulos.

- Do diabła z przerwą. Jestem gotów ruszać jutro.

- Taaa... Tylko że turyści nie są jeszcze gotowi. W dodatku prawo stanowi, że masz odpocząć przed skokami pod prąd. No więc odpoczywaj. Do zobaczenia za dwa tygodnie, Jud.

Wbrew woli odesłano mnie więc na wakacje. Kusilo mnie, żeby skorzystać z zaproszenia

Metaxasa i odwiedzić go w jego willi w 1105 roku, ale przyszło mi do głowy, że Metaxas może mieć,

przynajmniej na razie, dość mojego towarzystwa. Przez krótki czas zastanawiałem się, czy nie wziąć udziału w wycieczce pod Hastings na przykład albo Waterloo, albo czy nie udać się na

Ukrzyżowanie, żeby policzyć Dajanich, ale z tego też zrezygnowałem. Miałem wkrótce poprowadzić własną grupę; nie marzyłem o tym, by być prowadzonym przez kogoś. Pewność siebie zyskałem bardzo niedawno; potrzebowalem ją wzmocnić, a nie zyskałbym nic oddając swój los w ręce jakiegoś kuriera.

Przez trzy dni siedziałem w naszym terazniejszym Stambule, nie robiąc nic szczególnego.

Niemal cały czas spędzałem w świetlicy kurierów, grając w stochastyczne szachy z Kolettisem i Melamedem, którzy akurat też mieli wolne. Czwartego dnia wyprawilem się do Aten. Nie miałem pojęcia po co - tego dowiedziałem się już na miejscu.

Czego właściwie chcę, dowiedziałem się na Akropolu. Łaziłem wśród ruin, oganiając się od

handlarzy holograficznych slajdów i oszustów proponujących mi wycieczkę z przewodnikiem, kiedy podpłynął ku mnie reklamowy glob, zawisł o metr przed moją twarzą, na wysokości oczu, zaświecił na zielono, co miało zwrócić moją uwagę, i powiedział:

- Dobry wieczór. Mamy nadzieję, że podoba się panu w Atenach XXI wieku. Teraz, kiedy obejrzał już pan sobie te jakże malownicze ruiny, czy nie marzy pan, by zobaczyć, jak naprawdę wyglądał Partenon? Jaka była Grecja Sokratesa i Arystofanesa? Miejscowe biuro Służby Czasowej znajduje się na ulicy Aeolou, naprzeciwko Poczty Głównej, i...

Pół godziny później zjawiłem się na ulicy Aeolou, przedstawiłem jako kurier mający przerwę i przygotowałem do skoku pod prąd. Nie zamierzałem jednak odwiedzić Grecji Sokratesa i Arystofanesa. Kierowałem się do Grecji zwykłego, prostego 1997 roku, kiedy to niejaki Konstantyn Passilidis wybrany został burmistrzem Sparty.

Konstantyn Passilidis był ojcem mojej matki. Zaczynałem tropić przodków, aż do początku czasu.

Ubrany w prosty, szorstki strój jakże typowy dla końca XX wieku, uzbrojony w portfel pełen szeleszczących, kolorowych, dawno już odeszłych w przeszłość banknotów, skoczyłem pod prąd sześćdziesiąt lat. Złapałem pierwszą dogodną kapsułę z Aten do Sparty. Ten środek transportu wprowadzono w ówczesnej Grecji dopiero niedawno, siedziałem więc w nim śmiertelnie przerażony możliwością rozfazowania, ale nastawienie wytrzymało i dojechałem na miejsce w jednym kawałku. Sparta okazała się wręcz przeraźliwie straszna.

Oczywiście dzisiejsza Sparta nie jest bezpośrednią spadkobierczynią militarystycznego miasta-państwa, które takich kłopotów przysporzyło Atenom. Tamta Sparta degenerowała się powolutku, by w średniowieczu zniknąć wreszcie z kart historii. Nowe miasto powstało w XIX wieku na terenie starego. W czasach dziadka Pas silidisa miało osiemdziesiąt tysięcy mieszkańców. Rozrosło się prężnie, ponieważ w latach osiemdziesiątych zainstalowano tu pierwszą w Grecji

elektrownię atomową.

Na dzisiejszą Spartę składały się przede wszystkim rzędy budynków mieszkalnych, równe, postawione niczym pod sznurek. Każdy z nich miał dziewięć pięter, na każdym piętrze wisiały jaskrawozielone balkony; wyglądało to mniej więcej tak atrakcyjnie jak przeciętne więzienie. Kończyło się ono z jednej strony lśniącą kopułą elektrowni atomowej, po drugiej zaś grupą gospod, budynków administracyjnych i banków.

Architektura ta miała sporo wdzięku dla ludzi, w oczach których gwałt ma sporo wdzięku.

Wysiadłem z kapsuły i ruszyłem w kierunku śródmieścia. Nie dostrzegłem żadnych końcówek komputera - zapewne sieć nie zawitała jeszcze do Sparty - znalezienie burmistrza Passilidisa nie sprawiło mi jednak najmniejszych kłopotów. Wszedłem do najbliższej gospody, spytałem o burmistrza i kilkunastu przyjacielskich Spartan natychmiast odprowadziło mnie do ratusza.

Recepcjonistką była ciemnowłosa dziewczyna lat mniej więcej dwudziestu, o dużych piersiach i nieznacznym wąsiku. Jej strój w stylu minojskiego odrodzenia zgrabnie zwracał uwagę mężczyzn na zalety ciała, odwracając ją od niedoskonałości twarzy. Podstawiając mi pod oczy swe największe walory, dziewczyna spytała ochrypłym szeptem:

- Czym mogę panu służyć?

- Chciałbym zobaczyć się z burmistrzem Passilidisem. Jestem dziennikarzem amerykańskiej gazety. Piszemy artykuły o dziesięciu najbardziej dynamicznych młodych Grekach i wydaje nam się, że burmistrz...

Nie brzmiało to przekonywająco nawet w moich uszach. Stałem przyglądając się kroplom potu ściekającym po jej imponującej piersi, czekając, kiedy mnie wyrzuci, recepcjonistka jednak natychmiast kupiła tę historię i bez zwłoki doprowadzony zostałem przed oblicze pana burmistrza.

- Cała przyjemność po mojej stronie - usłyszałem od dziadka, w doskonałej angielszczyźnie.

- Zechce pan usiąść? Może napije się pan martini? A jeśli woli pan ziele...

Wpadłem w panikę. Przeraziłem się śmiertelnie. Nie uścisnąłem nawet wyciągniętej ku mnie dłoni.

Sparaliżował mnie wygląd Konstantyna Passilidisa.

Oczywiście nigdy przedtem nie widziałem dziadka. Zastrzelił go abolicjonistyczny zamachowiec w 2010 roku, przed moim urodzeniem. Dziadek był jedną z wielu ofiar Roku Zabójców.

Podróże w czasie nigdy nie wydały mi się tak przeraźliwie rzeczywiste jak w tej chwili.

Justynian w cesarskiej loży Hipodromu był nikiem w porównaniu z mym dziadkiem.

W tej terażniejszości dziadek niewiele przekroczył trzydziestkę - był cudownym dzieckiem swych czasów.. Miał ciemne, kręcone, już lekko siwiejące włosy, niewielkie starannie przystrzyżone wąsiki i koleczyk w uchu. Nie to mnie jednak zaskoczyło, lecz nasze fizyczne podobieństwo. Mógłby być moim starszym bratem.

Minęła nieskończenie długa chwila i wreszcie otrząsnąłem się z letargu. Przypuszczam, że dziadek był nieco zaskoczony, ale grzecznie jeszcze raz ponowił ofertę poczęstunku. Odmówiłem, podziękowałem i jakoś, resztką pozostałej mi bezczelności, zmusiłem się do odegrania roli dziennikarza.

Rozmawialiśmy o jego karierze politycznej i o cudownych rzeczach, które planował dla Sparty i dla Grecji. Właśnie udało mi się delikatnie zmienić temat rozmowy na jego życie osobiste, rodzinę i pochodzenie, kiedy zerknął na zegarek.

- Czas na lunch - powiedział. - Zechce pan być moim gościem?

Przez "lunch" rozumiał typową śródziemnomorską sjęstę - zamknięcie biura na trzy godziny i powrót do domu. Pojechaliśmy elektryczną kolejką obwodową; drążek sterowniczy dzierzył sam wielki człowiek. Wielki człowiek mieszkał w jednym z tych obrzydliwych bloków, jak każdy

zwykły obywatel - miał do dyspozycji cztery skromne pokoiki na czwartym piętrze.

- Chciałbym przedstawić panu moją żonę - powiedział. - Katrina, ten pan jest amerykańskim dziennikarzem. Nazywa się Jud Elliott. Chce napisać coś o mojej karierze.

Spojrzałem na babcię.

Babcia spojrzała na mnie.

Westchnąłem.

Babcia westchnęła dokładnie w tym samym momencie. Oboje przeraźliwie się zdumieliliśmy.

29.

Była piękna urodą dziewcząt na minojskich freskach. Brunetka o oliwkowej cerze i czarnych oczach. Biła z niej wieśniacza siła. Katrina nie obnażała piersi wzorem modnej wąsatej recepcjonistki, ale cienka bluzka ukrywała doprawdy niewiele - były one okrągłe, jędrne, wysokie. Miała szerokie biodra. Jej wiek oceniałem na dwadzieścia trzy lata.

Pożądanie narodziło się we mnie od pierwszego wejrzenia. Jej uroda, jej prostota, jej ciepło ujęło mnie i zniewoliło natychmiast. Poczułem znajomy dreszcz jąder, znajome ciągnięcie skóry na udach. Pragnąłem zerwać z niej ubranie tu, teraz, natychmiast, pragnąłem natychmiast się w niej zanurzyć. Nie miało to nic wspólnego z kazirodczymi ciągotami Metaxasa, wszystko zaś z niewinnym, zwierzęcym instynktem. Ogarnięty żądzą nie myślałem nawet o niej jako o mojej babce, lecz wyłącznie jako o młodej, wyjątkowo pociągającej dziewczynie. W kilka chwil później w pełni zdałem sobie sprawę, kim naprawdę jest, i to, co twarde, natychmiast mi zmiękło.

Była babcią Passilidis. A ja dobrze pamiętałem babcię Passilidis.

Babcię Passilidis odwiedzałem w osiedlu dla starców koło Tampy. Zmarła, kiedy miałem czternaście lat, w 2049 roku i choć miała wówczas zaledwie siedemdziesiąt lat, mnie wydawała się straszliwie stara i niedołężna; chuda, wyniszczona, skurczona, zawsze ubrana na czarno. Tylko jej oczy - na miłość boską, właśnie te ciemne, ciepłe, lśniące oczy! - zdradzały, że była kiedyś

normalnym, zdrowym człowiekiem.

Babcia Passilidis cierpiała na wszystkie choroby świata, przede wszystkim kobiece - mięśniaki macicy czy czego tam dostają kobiety - potem zawiódły nerki, a po nerkach cała reszta. Przeszła kilkanaście przeszczepów, nic jej jednak nie pomogło i jako dziecko byłem milczącym świadkiem jej nieuchronnego zamierania. Biedna staruszka, bezustannie opowiadano przy mnie o jakiejś nowej przeszkodzie na jej spokojnej drodze do grobu. A teraz, cud nad cudami, staruszka ta objawiła się przede mną pozbawiona ciężaru lat. A ja już, przynajmniej w pragnieniach, wślizgnąłem się między nogi mej babci! Mój Boże, jakże straszna duma tkwi w człowieku, że może podróżować pod prąd i snuć takie myśli!

Reakcja młodej pani Passilidis na mój widok była równie silna, choć nie miała nic wspólnego z żądzą. Dla niej seks zaczynał się i kończył na małym pana burmistrza. Patrzyła na mnie z jedynym uczuciem w oczach - uczuciem niebotycznego zdumienia, a po chwili wykrztusiła:

- Konstantyn, przecież on wygląda dokładnie tak jak ty!

- Doprawdy? - zdziwił się jej mąż. Wcześniej nawet nie przyszło mu to do głowy.

Jego żona popchnęła nas w stronę wiszącego w dużym pokoju lustra. Była bardzo podniecona, chichotała niepowstrzymanie. Ślicznym biustem otarła się o mnie, aż się spościłem.

- Popatrzcie! - krzyknęła. - Tylko popatrzcie! Przecież jesteście jak bracia.

- Zdumiewające - zgodził się burmistrz.

- Co za niezwykły przypadek - powiedziałem. - Ma pan nieco gęstsze włosy, a ja jestem odrobinę wyższy, ale poza tym...

- Tak! Tak! - Dziadek z uciechy klasnął w dłonie. - Czy to możliwe, że jesteśmy spokrewnieni?

- Wykluczone - stwierdziłem poważnie. - Moja rodzina po chodzi z Bostonu. Stary nowoangielski ród. Mimo wszystko to rzeczywiście zdumiewające. Czy jest pan pewien, że nie miał

pan przodków na "Mayflower", panie burmistrzu?

- Nie, chyba że na pokładzie był grecki steward.

- Bardzo w to wątpię.

- Ja również. Po mieczu i po kądzieli jestem rodowitym Grekiem od wielu pokoleń.

- Chciałbym przez chwilę o tym porozmawiać, jeśli to możliwe - wtrąciłem gładko. - Na przykład chciałbym wiedzieć...

W tym momencie z sypialni wyszła zaspana, całkiem naga pięcioletnia dziewczynka. Stała przede mną, nie znająca jeszcze wstydu, i spytała po prostu, kim jestem. Była słodka. Mała twarda pupcia, czysta różowa szczelinka - jakże schludnie wyglądają małe dzieci, kiedy są nagie. Nim dojrzewanie wszystko zepsuje.

- To moja córka, Diana - powiedział z dumą Passilidis, a we mnie jakby uderzył grom, rozbrzmiewając wewnątrz czaszki słowami: NIE ODKRYJESZ NAGOŚCI MATKI SWOJEJ.

Zmiażdżony, odwróciłem wzrok, pokrywając wstyd udanym atakiem kaszlu. Gładka dziurka małej Diany pozostała w mej nieskromnej pamięci. Jakby wyczuwając, że w tej dziecinnej nagości dostrzegłem coś nieprzyzwoitego, matka szybko włożyła Dianie majteczki.

Nie umiałem przestać drżeć. Passilidis, mocno zdziwiony, otworzył butelkę retsiny.

Usiedliśmy na balkonie, w jasnych promieniach słońca. Bawiące się na dole dzieci pomachały rączkami, pozdrawiając burmistrza. Diana przyszła do nas domagając się zabawy; zmierzwiłem jej jedwabiste włoski, przycisnąłem nos i bardzo, ale to bardzo dziwiłem się zaistniałej sytuacji.

Babcia poczęstowała nas wspaniałym posiłkiem z gotowanej jagnięciny i pastitsio.

Wypiliśmy półtorej butelki retsiny. Skończyłem rozmowę o polityce i przeszedłem do tematyki rodzinnej.

- Pańska rodzina pochodzi ze Sparty? - spytałem na początek.

- Och nie, nie. Dziadek przyjechał tu przed wiekiem z Cypru. Chodzi o dziadka po mieczu. Po

kądzili pochodzimy z Aten. Mieszkaliśmy tam od pokoleń.

- Chodzi o rodzinę Markezinisów?

Burmistrz zerknął na mnie dziwnie.

- Tak, oczywiście. A skąd się pan o tym dowiedział?

- Znalazłem jakąś wzmiankę przygotowując się do wywiadu skłamałem gładko.

Passilidis daj spokój tej sprawie. Teraz, mówiąc o rodzinie, zrobił się znacznie bardziej wylewny, może była to zresztą sprawa wina. Nie oszczędzał mi genealogicznych detali.

- Rodzina ojca mieszkała na Cyprze przynajmniej od tysiąca lat. Passilidisowie byli tam na długo przed pojawieniem się krzyżowców. Natomiast przodkowie matki przyjechali do Aten w XIX wieku, po podboju tureckim. Przedtem mieszkali w Shqiperi.

- Shqiperi?

- W Albanii. Osiedli tam w XIII wieku, kiedy łacinnicy podbili Konstantynopol. I pozostali.

Przetrwali Turków, przetrwali Serbów, przetrwali rebelię Skanderbega, mimo wszelkich trudności podtrzymując greckie rodzinne tradycje.

Nastawiłem uszu.

- Wspomniał pan Konstantynopol. Potrafi pan prześledzić swe pochodzenie aż do tamtych czasów?

Passilidis uśmiechnął się.

- Zna pan historię Bizancjum? - spytał.

- Niezbyt dobrze.

- To może wie pan, że krzyżowcy zdobyli miasto w 1204 roku i przez pewien czas rządili nim jako księstwem łacińskim. Bizantyńska arystokracja uciekła. Powstało kilka postbizantyńskich państweczek, jedno w Azji Mniejszej, jedno nad Morzem Czarnym i jedno na zachodzie, w Albanii.

Moi przodkowie wywędrowali z Michałem Aniołem Komnenem do Albanii. Woleli wygnanie niż

poddanie się rządóm krzyżowców.

- Rozumiem. - Znów trząśłem się nieopanowanie. - A nazwisko rodziny? Czy wówczas też brzmiało Markezinis?

- Och, nie. To nazwisko późnogreckie. Wtedy należeliśmy do rodu Dukasów.

- Doprawdy? - Niemal oniemiałem ze zdumienia. Było tak, jakbym spotkał Niemca przyznającego się do pokrewieństwa z Hohenzollernami albo Anglika głoszącego, że w jego żyłach płynie krew Plantagenetów. - Mój Boże, Dukasów!

Widziałem piękne pałace tego rodu. Widziałem czterdziestu Dukasów maszerujących dumnie ulicami Konstantynopola, odzianych w biel i złoto, świętujących wyniesienie swego kuzyna Konstantyna na tron cesarski. Jeśli Passilidis był Dukasem, ja też byłem Dukasem.

- Oczywiście - tłumaczył mi dziadek - to był wielki ród, a my, jak rozumiem, należeliśmy do jego bocznej gałęzi, mimo wszystko jednak... można być dumnym z takiego pochodzenia.

- No przecież! Może mi pan podać imiona jakichś pańskich bizantyńskich przodków?

Wystarczą imiona.

Musiało to zabrzmieć tak, jakbym zamierzał ich odwiedzić podczas najbliższego pobytu w Konstantynopolu. Zamierzałem, rzecz jasna, ale Passilidis nie powinien tego nawet podejrzewać.

Podróże w czasie nie zostały jeszcze wynalezione.

Tymczasem on zmarszczył brwi. Coś go niepokoiło.

- Potrzebne to panu do pisanego właśnie artykułu?

- Nie. Właściwie nie. Po prostu jestem ciekawy.

- Wydaje się pan wiedzieć o Bizancjum więcej niż troszkę stwierdził mój dziadek. Musiał być mocno zdziwiony tym, że amerykański barbarzyńca rozpoznał nazwisko słynnego bizantyńskiego rodu.

- Przecież w szkole uczono nas historii. Niektóre wiadomości pozostały - wyjaśniłem

nieskładnie.

- Niestety nie jestem w stanie podać panu żadnych imion. Nie dotrwały do naszych czasów.

Może pewnego dnia, kiedy wycofam się już z polityki, prześledzę zapisy starych kronik...

Babcia dołała nam wina. Zerknąłem ukradkiem na jej kołyszące się piersi. Mama wspięła mi się na kolana; szczebiotała coś wesoło. Dziadek potrząsnął głową.

- To dziwne, że jest pan do mnie aż tak podobny. Czy mógłbym zrobić panu zdjęcie?

Ciekawe, co na to reguły Patrolu, pomyślałem. Miałem wrażenie, że Patrol jest zdecydowanie przeciwko tego typu ekscesom. Nie znalazłem jednak grzecznego sposobu na odmówienie tak w gruncie rzeczy drobnej prośbie.

Babcia wyjęła aparat fotograficzny. Stałem obok dziadka. Sfotografowała nas raz dla siebie, raz dla mnie. Wyjęła film z aparatu. Razem przyglądaliśmy się powstającemu na papierze obrazowi.

- Jak bracia - powtarzała. - Jak bracia.

Swoje zdjęcie zniszczyłem, gdy tylko opuściłem mieszkanie dziadka. Podejrzewam jednak, że gdzieś w papierach mamy zachowała się stara fotografia ukazująca jej ojca w towarzystwie nieco młodszego, lecz fizycznie bardzo go przypominającego mężczyzny, którego miała prawdopodobnie za dalekiego, zapomnianego kuzyna. Być może, istnieje ona do dziś.

Nie szukałbym jej. Bałbym się jej szukać.

30.

Dziadek Passilidis oszczędził mi mnóstwa kłopotów. Mogłem odpuścić sobie co najmniej osiem wieków z podróży, o której zacząłem już myśleć jako o mym świętym obowiązku.

Skoczyłem z prądem do naszej teraźniejszości. Trochę czasu spędziłem szperając w archiwach w kwaterze Służby w Atenach, po czym kazałem znaleźć sobie strój bizantyńskiego arystokraty z końca XII wieku - bogata jedwabna tunika, czarna szata wierzchnia, biały wiązany pod

brodą kapelusza. Następnie kapsułą pojechałem do północnej Albanii. Wsiadłem w mieście Gjinokaster. W dawnych czasach nazywało się ono Argyrokastro, prowincja Epir.

Z Gjinokaster skoczyłem pod prąd, w rok 1205.

Wieśniaków z Argyrokastro przeraził mój arystokratyczny wygląd. Wy tłumaczyłem im, że szukam dworu Michała Anioła Komnena. Pokazali mi drogę i sprzedali osła, bym mógł przebyć ją wygodniej. Michała wraz z resztą bizantyńskich wygnańców znalazłem na wyścigach kwadryg w zaimprovizowanym Hipodromie, leżącym u stóp łańcucha skalistych wzgórz. Wmieszałem się w tłum.

- Szukam Dukasa - powiedziałem do starego mężczyzny roznoszącego wino.

- Dukasa? A którego Dukasa?

- Ilu ich tu jest? Mam wiadomość z Konstantynopola dla Dukasa, nie powiedziano mi jednak dla którego.

Starzec roześmiał się wesoło.

- W tej chwili widzę tu - powiedział - Nicefora Dukasa, Jana Dukasa, Leona Dukasa, Grzegorza Dukasa, Nicefora Dukasa Młodsze, Michała Dukasa, Szymona Dukasa i Dimitriosa Dukasa. Chwilowo zaś nie widzę Eftimosa Dukasa, Leontiosa Dukasa, Szymona Dukasa Wysokiego, Konstantyna Dukasa i... zaraz, niech sobie przypomnę... ach, tak Andronika Dukasa. Kogo z rodziny szukacie, łaskawy panie?

Podziękowałem mu i skoczyłem z prądem.

W Gjinokaster z XVI wieku spytałem o rodzinę Markezinisów. Mój bizantyński strój wywołał podniesienie niejednej brwi, ale bizantyńskie złoto, w które byłem zaopatrzony, rozwiązało wszystkie języki. Jeden bezan - i bez problemów wskazano mi rodzinną posiadłość. Dwa bezany - i przedstawiono mnie zarządcy rodzinnej winnicy. Pięć bezanów - drogo! - i już częstowałem się winogronami w gościnnej sali domu Grzegorza Markezinisa, przywódcy klanu. Był to szlachetnie

wyglądający mężczyzna w średnim wieku o długiej siwej brodzie i płonących oczach, surowy, lecz gościnny. Rozmawialiśmy, a jego córki kręciły się radośnie wokół, dolewając nam wina, przynosząc winogrona, zimne baranie gicze, góry ryżu; trzy córki, miały może trzynaście, piętnaście i siedemnaście lat. Bardzo uważałem, żeby nie przyglądać się im zbyt dokładnie - wiedziałem, jak zazdrośni potrafią być górale.

Były prawdziwymi pięknosciami - ciemna cera, ciemne oczy, wysokie piersi, pełne wargi.

Wyglądały na siostry mej cudownej babci, Katriny Passilidis. Matka, Diana, w dniach młodości zapewne bardzo je przypominała. Geny w tym rodzie okazały się wyjątkowo silne. Jeśli przypadkiem nie wlażem na złą gałąź drzewa, jedna z tych dziewcząt była moją prapraprapra... babką. Grzegorz Markezinis był mym prapraprapra... dziadkiem.

Przedstawiłem się im jako bogaty młody Cypryjczyk pochodzenia bizantyńskiego, podróżujący po świecie w poszukiwaniu przyjemności i przygód. Grzegorz, którego greczyzna zdradzała spore wpływy albańskie (czy jego służba mówiła w ghergu czy w tosku? Zapomniałem o to zapytać) najwyraźniej nigdy przedtem nie spotkał Cypryjczyka, przyjął bowiem mój akcent za autentyczny.

- Gdzie przebywałeś? - spytał.

Wymieniłem Syrię, Libię i Egipt, a także Rzym, Paryż, Lizbonę, Londyn, gdzie podobno udałem się na koronację króla Henryka VIII, oraz Pragę i Wiedeń. Powiedziałem też, że teraz wracam na wschód, w granice imperium tureckiego, ponieważ mimo wielkiego wiążącego się z tym ryzyka chcę pomodlić się na grobach przodków, w Konstantynopolu.

Na wzmiankę o przodkach Markezinis podniósł brwi. Energicznie tnąc sztyletem płat baraniny spytał:

- Czy w dawnych czasach twoja rodzina zajmowała wysoką pozycję?

- Pochodzę z rodu Dukasów - oznajmiłem.

- Dukasów?

- Dukasów - powtórzyłem.

- Ja też pochodzę z rodu Dukasów.

- Doprawdy?!

- Bez najmniejszych wątpliwości.

- Dukas w Epirze! - krzyknąłem. - Jak to się stało?

- Przybyliśmy tu z Komnenami, kiedy te latyńskie świny podbiły miasto.

- Doprawdy?!

- Bez najmniejszych wątpliwości.

Markezinis zawołał o wino, najlepsze w domu. Kiedy pojawiły się jego córki, zatańczył przed nimi z radości.

- Kuzyn! Kuzyn! - krzyczał. - Ten obcy jest naszym kuzynem! Powitajcie go odpowiednio.

Rzuciły się na mnie i nagle znalazłem się w gęstwie twardych młodych piersi, słodko pachnących ciał. Obejmowałem je po kolei, skromnie, jak przystało na kuzyna.

Przy ciężkim, starym winie rozmawialiśmy o genealogii. Ja mówiłem pierwszy; wybrałem sobie na chybił trafił jednego z Dukasów, Teodorosa, twierdząc, że uciekł na Cypr w 1204 roku, po upadku Konstantynopola, i od niego pochodzi moja linia. Markezinis nie mógłby podważyć tego twierdzenia, nawet gdyby chciał, a zaakceptował je bez wahania. Potem wymieniłem długi szereg imion, popularnych greckich imion, wypełniając nimi trzysta pięćdziesiąt lat historii rodu. Kiedy skończyłem, spytałem:

- A ty, Grzegorzu?

Czubkiem noża rysując drzewo genealogiczne w co trudniejszych miejscach, Grzegorz

Markezinis cofnął się w czasie do Mikołaja Markezinisa z końca XIV wieku, który poślubił

najstarszą córkę Manuela Dukasa z Argyrokastro. Manuel miał same córki, więc jego bezpośrednia

linia na nim się kończyła. Niespiesznie cofnęliśmy się do podboju Bizancjum przez czwartą krucjatę. Szczególnym Dukasem, jego bezpośrednim przodkiem, który ze zdobytego miasta uciekł do Albanii, był Symeon.

Moje gonady pogrążyły się w rozpacz.

- Symeon? - spytałem. - Masz na myśli Symeona Dukasa Wysokiego czy tego drugiego?

- Było ich dwóch? Skąd wiesz?

Policzki mi płonęły.

- Muszę przyznać - improwizowałem - że jestem szczególnie zainteresowany losami rodziny.

Na tej ziemi z Komnenami osiedliło się dwóch Symeonów Dukasów: Wysoki i ten drugi, nie tak już imponującego wzrostu.

- O tym nic mi nie wiadomo - wyznał Grzegorz Markezinis. Nauczono mnie tylko, że imię mojego przodka brzmiało Symeon. Jego ojcem był Nicefor, mieszkający blisko kościoła Świętej Teodozji, nad Złotym Rogiem. Wenecjanie spalili pałac Nicefora podczas szturm w 1204 roku.

Ojcem Nicefora... - przerwał, zawahał się. Potrząsał głową powoli, smutno, z boku na bok, niczym starzejący się byk. - Nie pamiętam imienia ojca Nicefora. Zapomniałem imię ojca Nicefora! Leon? Michał? Bazyli? Zapomniałem. W głowie mam tylko wino.

- To nie ma znaczenia - pocieszyłem go. Prześledziłem swe drzewo genealogiczne aż do Konstantynopola, więc nie powinienem mieć poważniejszych kłopotów.

- Romanos? Jan? Izaak? Mam je, mam to imię na końcu języka, ale ich jest tyle... tyle jest tych imion...

Mruczając pod nosem, zasnął z głową na stole.

Jedna z jego ciemnookich córek wskazała mi mój pełen przeciągów pokój. Mogłem wprawdzie skoczyć, dowiedziałem się przecież wszystkiego, czego chciałem się dowiedzieć, ale wydawało mi się, że jestem winien memu przodkowi uprzejmość, czyli nocleg pod jego dachem. Nie

powiniennem znikać jak złodziej. Rozebrałem się, zdmuchnąłem świecę i wślizgnąłem się do łóżka.

W pościeli czekała na mnie dziewczyna o miękkim ciele. Jej piersi wypełniły mi dłonie.

Pachniała ostro, lecz słodko. Nie widziałem jej w mroku, przyjąłem jednak, że to jedna z trzech córek

Markezinisa okazująca mi, jak gościnnie potrafi być rodzina.

Przejechałem palcem po jej gładkim, zaokrąglonym brzuchu w dół, między nogi, a kiedy tam

dotarłem, stwierdziłem, że jest gotowa do miłości.

Czułem się dziwnie rozczarowany myślą, że córki Markezinisa tak łatwo oddają się obcym -

nawet obcym szlachetnego rodu, przyznającym się do pokrewieństwa z rodziną. Poza wszystkim

innym były mymi przodkiniami! Czyżby mój ród zbastardyzowało nasienie przypadkowych gości?

Ta błaha myśli doprowadziła logicznie do innej, znacznie mniej błahej. Jeśli ta dziewczyna

jest moją praprapra... babką, to co, do cholery, robi w tym łóżku? Niech diabli wezmą sypianie z

obcymi, ale czy ma spać z potomkami? Kiedy zabrałem się za re konstruowanie drzewa

genealogicznego, kiedy wypytywałem Metaxasa, nie myślałem wcale o transtemporalnym

kazirodztwie. A jednak najprawdopodobniej uprawiałem właśnie transtemporalne kazirodztwo.

Poczułem się winny, zagrały nerwy i to przyprawiło mnie o chwilową impotencję.

Dziewczyna przywróciła mi męskość chciwymi wargami. Niezła bizantyńska sztuczka. Znow byłam

gotowy. Wszedłem w nią i zabawiałem się bardzo przyjemnie. Sumienie uspokoiłem stwierdzeniem,

że są dwie szansę na trzy, że jest ona wyłącznie moją prapraprapra... ciocią, a w tym wypadku

kazirodztwo wcale nie jest takie oczywiste. Jeśli chodzi o więzi krwi, to między mną o ciocią z XVI

wieku są one z całą pewnością niezmiernie wątle.

Sumienie umilkło w tym momencie i już bez przeszkód dojechaliliśmy do końca. Potem

dziewczyna wstała i kiedy wychodziła z pokoju, wpadające do środka przez okno promienie księżyca

oświetliły blade pośladki, jasne uda, długie blond włosy; dopiero wówczas uświadomiłem sobie to,

co powiniennem wiedzieć od początku - córki Markezinisa nie spałyby z gośćmi jak Eskimoski, po

prostu ktoś uprzejmie przysłał do mnie jakąś niewolnicę. To tyle jeśli chodzi o wyrzuty sumienia.

Uwolniony od myśli o choćby możliwości kazirodztwa, spałem smacznie aż do rana.

Przy śniadaniu składającym się z zimnej baraniny i ryżu Markezinis powiedział:

- Doszły do mnie wieści, że Hiszpanie znaleźli nowy ląd poza oceanem. Myślisz, że to prawda?

Był rok 1556.

- Prawda, bez najmniejszych wątpliwości - stwierdziłem. W Hiszpanii, na dworze króla Karola, widziałem dowody. To świat złota, jadeitu i przypraw... świat ludzi o czerwonej skórze...

- Ludzi o czerwonej skórze? Och, nie, kuzynie, nie, nie, nie! W to nigdy nie uwierzę! -

Markezinis roześmiał się wesoło. Przywołał córki. - Nowy świat Hiszpanów jest zamieszkały przez ludzi o czerwonej skórze - oznajmił im. - Tak twierdzi nasz kuzyn.

- No, właściwie mają skórę koloru miedzi - sprostowałem tak cicho, że szacowny przodek mnie nie usłyszał.

- Czerwone skóry! Czerwone skóry! I pewnie nie mają głów, lecz oczy i usta na piersi! I pewnie mają jedną nogę, którą w południe unoszą nad głowę, by osłonić się przed słońcem! Ależ tak, oczywiście! Nowy wspaniały świat! Kuzynie, rozbawiłeś mnie.

Powiedziałem mu, że myśl o tym sprawia mi przyjemność. Podziękowałem za gościnę, skromnie objąłem każdą z córek i dopiero wtedy, nagle, uderzyła mnie myśl, że skoro me rodowe nazwisko od XVI wieku brzmiało Markezinis, to żadna z nich nie jest prawdopodobnie moim przodkiem. Moje przesadnie surowe sumienie odezwało się bez sensu... a raczej o tyle z sensem, że poznałem dzięki niemu własne kompleksy.

- Masz synów? - spytałem gospodarza.

- Och, oczywiście - odparł. - Sześciu.

- Niech więc twój ród rośnie w siłę i bogactwo - pożegnałem go, odszedłem, przejechałem na

ośle kilkanaście kilometrów w pustkę, przywiązałem go do drzewa oliwnego i skoczyłem z prądem.

31.

Skończyła mi się przerwa. Zgłosiłem się do pracy i rozpocząłem przygotowania do pierwszej solowej kurierskiej wycieczki.

Szóstkę turystów miałem zabrać na tydzień. Turyści nie zdawali sobie sprawy z tego, że to moje pierwsze solo. Protopopolos nie widział powodów, żeby im o tym wspominać. Przepęlniała mnie podarowana przez Metaxasa radosna pewność siebie. Promieniowałem nią i promieniowałem charyzmą. Nie bałem się niczego oprócz samego strachu.

Na pierwszym spotkaniu krótko i dobitnie poinformowałem moją szóstkę o zasadach turystyki czasowej. Przywołałem przerażające wszystkich dwa słowa - Patrol Czasowy. Ostrzegłem przed próbami zmiany przeszłości, dokonywanymi z rozmysłem lub bezmyślnie. Wyjaśniłem, jak unikać kłopotów. Potem wręczyłem timery i nastawiłem je.

- No, skaczemy - powiedziałem. - Pod prąd!

Charyzma. Hucpa.

Jud Elliott nareszcie stał się kurierem! Prawdziwym kurierem!

Pod prąd!

- Dotarliśmy w rok 1659 przed naszą terażniejszością - powiedziałem - znany wam lepiej jako rok 400 naszej ery. Wybrałem typowy czas we wczesnej historii Bizancjum. Miastem rządzi cesarz Arkadiusz. Z naszej terażniejszości Stambułu pamiętacie zapewne, że tam powinna stać Hagia Sophia, tu zaś meczet sultana Ahmeda. Cóż, oczywiście, sultan Ahmed i jego meczet są w tej chwili kilkanaście wieków przed nami, ten kościół zaś to pierwotna Hagia Sophia, zbudowana czterdzieści lat temu, gdy miasto ciągle jeszcze było bardzo młode. Za cztery lata spłonie w czasie rebelii wznieconej wygnaniem biskupa Jana Chryzostoma przez cesarza Arkadiusza za krytykę cesarskiej żony, Eudoksji. Wejźmy do środka. Jak widzicie, ściany są kamienne, lecz sufit drewniany i...

Wśród mojej szóstki był sycylijski psychiatra z krzywonogą czasową żoną oraz szef firmy budowlanej z Ohio - z żoną, niezdarną córką i jej mężem. Typowi zamożni obywatele. Nie rozróżniali nawy od narteksu, ale pozwoliłem im dokładnie przyjrzeć się kościołowi, potem zaś przespacerowaliśmy się po Konstantynopolu Arkadiusza, dzięki czemu zyskali jakąś podstawę do dalszych obserwacji. Po dwóch godzinach przeskoczyliśmy z prądem do roku 408. I znów byłem świadkiem chrztu Teodozjusza.

Zobaczyłem samego siebie, stojącego z Capistrano po przeciwnej stronie ulicy. Nie pomachałem sobie. Ten drugi ja zapewne wcale mnie nie dostrzegł. Ciekaw byłem, czy moje obecne ja stało tu, kiedy obserwowałem chrzest z Capistrano. Stopień komplikacji paradoksu kumulacji przekraczał moje zdolności pojmowania. Postanowiłem więcej o tym nie myśleć.

- Widzicie tu ruiny oryginalnej Hagia Sophii Zostanie ona odbudowana pod patronatem tego dziecka, przyszłego Teodozjusza II i konsekrowana dziesiątego października 445 roku...

Skoczyliśmy z prądem w rok 445, gdzie byliśmy świadkami ceremonii konsekracji.

Uważa się powszechnie, że istnieją dwa sposoby właściwego prowadzenia grup w przeszłość. Metoda Capistrano polega na pokazaniu turystom czterech lub pięciu ważnych wydarzeń w ciągu tygodnia, pozwala im spędzać wiele czasu w gospodach. Pozwala spacerować bocznymi uliczkami, odwiedzać bazyliki, nie spieszyć się i generalnie nasiąkać atmosferą miejsca i czasu.

Metoda Metaxasa zaś zasadza się na skonstruowaniu skomplikowanej mozaiki wrażeń, na pokazywaniu nie tylko wydarzeń kluczowych, lecz także kilkudziesięciu błaższych, spędzaniu trzydziestu minut tu, dwóch godzin tam. Doświadczyłem uroków obu tych metod i muszę powiedzieć, że ta ostatnia znacznie bardziej mi się podobała. Poważny student historii Bizancjum pragnie głębi, nie szerokiego oddechu, ludzie ci nie byli jednak poważnymi studentami historii Bizancjum. Lepiej jest pokazać im miasto w pigułce, oszołomić różnorodnością epok, rozruchami i koronacjami, wyścigami kwadryg, wzlotami i upadkami władców, wznoszeniem i upadaniem

pomników.

Moich turystów zabierałem więc tu i tam, imitując styl człowieka, którego uważałem za swego mistrza, czyli Metaxasa. Cały dzień spędziliśmy we wczesnym Bizancjum, tak jak zrobiłby to Capistrano, ale ja rozbiłem ten dzień na sześć skoków. Zakończyliśmy go w 537 roku, w mieście wybudowanym przez Justyniana na pogorzeliisku pozostałym po rozruchach wznieconych przez Niebieskich i Zielonych.

- Jest dwudziesty siódmy grudnia. Dziś Justynian konsekruje nową Hagia Sophię. Widzicie, o ile większa jest ta katedra od kościołów, które ją poprzedzały? To ogromy gmach, jeden z prawdziwych cudów świata. Justyniana kosztował równowartość wielu miliardów dolarów.

- Czy to ten sam kościół, który do tej pory stoi w Stambule? spytał z niedowierzaniem w głosie zięć pana budowniczego.

- W zasadzie tak. Oczywiście nie ma minaretów - muzułmanie dobudowali je po zmianie kościoła na meczet - i nie zbudowano jeszcze gotyckich łuków odporowych. Inną także znamy słynną kopułę, ta jest nieco bardziej płaska i szersza. Okazało się, że w obliczeniach architekta był błąd. Połowa obecnej kopuły zawali się w roku 558, bo trzęsienie ziemi osłabi łuki. Obejrzymy to sobie jutro. Patrzcie, oto Justynian.

Tego dnia nieco wcześniej moi podopieczni widzieli już Justyniana z 532 roku, zmęczonego, przybitego, próbującego poradzić sobie z rozruchami Niebieskich i Zielonych. Cesarz, który zbliżał się teraz, jadąc kwadrygą zaprzęzoną w cztery gigantyczne karę konie, sprawiał wrażenie starszego o znacznie więcej niż pięć lat, był o wiele grubszy i czerwiejszy na twarzy, lecz także o wiele bardziej imponujący. Bił od niego majestat władzy. Nie powinno to nikogo dziwić - przetrwał niemal śmiertelne zagrożenie swych rządów i odbudował Konstantynopol jako miasto nieporównanej wręcz świetności.

Senatorowie i książęta stali po obu stronach ulicy, którą jechał rydwanem. My trzymaliśmy

się skromnie z boku, pomiędzy ludem. Mnisi, diakoni obu płci, poddiakoni i kantorzy oczekiwali procesji, wszyscy ustrojeni w kosztowne szaty. W niebo płynęły tony starych hymnów. Patriarcha Menos pojawił się w kolosalnych cesarskich wrotach katedry, Justynian zszedł z kwadrygi i ramię w ramię weszli do środka, a za nimi postępowali pomniejsi dostojnicy.

- Według pewnej kroniki z X wieku - powiedziałem - Justynian bardzo przeżywał konsekrację. Pobiegł do absydy, rzucił się na kolana, dziękował Bogu za to, że pozwolił mu dokończyć budowy, a nawet krzyknął: "Salomonie, przewyższyłem cię!". Służba Czasowa, uważając, że wysłuchanie tego słynnego zdania może być interesujące i pouczające dla naszych gości, kilka lat temu umieściła ucho za ołtarzem. - Sięgnąłem do kieszeni. - Oto głośnik, dzięki któremu dowiemy się, co cesarz powiedział w absydzie.

Włączyłem urządzenie. W tym momencie jego wierne kopie włączali wszyscy obecni na placu kurierzy. Nadejdzie kiedyś czas, gdy będzie nas tylu, że wzmocniony głos Justyniana zahuczy nad całym miastem.

Najpierw usłyszeliśmy kroki.

- Cesarz idzie nawą - wyjaśniłem.

Kroki ucichły nagle. Usłyszeliśmy głos Justyniana - pierwsze słowa, które wypowiedział wewnątrz tego arcydzieła architektury wszystkich epok. Donośne i niewątpliwie gniewne słowa.

- Tylko popatrz, głupcze! - wrzasnął cesarz. - Znajdź mi bękarta, który zostawił rusztowanie, o tam, pod kopułą. Przed mszą chcę widzieć jego jaja w alabastrowej wazie, na moim stole! I kichnął w cesarskim gniewie.

- Pojawienie się podróży w czasie - wyjaśniłem mej szóstce turystów - spowodowało konieczność rewizji autentyczności co celniejszych anegdot, które przetrwały wieki. W świetle dostępnych nam faktów nikt ich nigdy nie wypowiedział.

Tej nocy, gdy moi turyści smacznie sobie spali, opuściłem ich, by przeprowadzić nieco

prywatnych badań historycznych.

Przepisy oczywiście tego zabraniają. Kurier ma nie odstępować swych podopiecznych; przecież zawsze może pojawić się jakieś nieoczekiwane niebezpieczeństwo. Klienci nie wiedzą nawet, jak operuje się timerami, więc wyłącznie kurier może uratować ich z poważnych kłopotów. Mimo to skoczyłem sześćset lat z prądem korzystając z tego, że moi zmęczeni podopieczni wreszcie się pospali. Skoczyłem do epoki mego świetnego przodka Nicefora Dukasa. Co było oczywiście dowodem sporej beczelności, jeśli weźmiemy pod uwagę, że prowadziłem właśnie pierwsze solo.

W rzeczywistości nie ryzykowałem jednak aż tak wiele.

Metaxas wyjaśnił mi, jak bezpiecznie przeprowadzać tego rodzaju skoki na bok. Należy ustawić timer bardzo dokładnie, tak by nieobecność w czasie odwiedzonym przez turystów trwała minutę lub mniej. Skakałem z dwudziestego siódmego grudnia 537, z godziny dwudziestej trzeciej czterdzieści pięć. Mogłem popłynąć z prądem lub pod prąd, spędzić tam godziny, dni, tygodnie lub miesiące, zrobić, co miałem do zrobienia, i we właściwym czasie wrócić do dwudziestego siódmego grudnia 537, jedenasta czterdzieści sześć. Z punktu widzenia śpiących podopiecznych nie byłoby mnie zaledwie minutę. Wysoce niewłaściwe byłoby wrócić za szesnaście dwunasta, czyli minutę przed wyruszeniem, w jednym pokoju znalazłoby się bowiem mnie dwóch, co spowodowałoby powstanie paradoksu duplikacji, będącego szczególnym przypadkiem paradoksu kumulacji i spowodowałoby w najlepszym razie napomnienie Patrolu Czasowego. Nie, konieczne było zachowanie maksymalnej możliwej precyzji.

Innym problemem jest wyznaczenie dokładnego punktu, z którego się skacze. Gospoda, w której mieszkaliśmy w 537 roku, niemal na pewno nie istniała w roku 1175, do którego się udawałem. Skoki na ślepo nie są wskazane - można zmaterializować się w miejscu, najostrożniej mówiąc, niewygodnym, na przykład w lochach zbudowanego później więzienia. Jedyne

prawdziwie bezpiecznym sposobem jest wyjść na ulicę i skakać najpierw stamtąd, a potem tam. Wymaga to jednak nieobecności dłuższej niż sześćdziesiąt sekund, jeśli wziąć pod uwagę czas konieczny do zejścia na parter, znalezienia cichego, spokojnego, odpowiedniego do wykonania skoku miejsca i tak dalej. A jeśli przypadkiem pojawi się właśnie facet z Patrolu, dokonujący rutynowego przeglądu, rozpozna cię i spyta, gdzie, do cholery, są klienci... no cóż, wtedy zaczynają się kłopoty.

Mimo to skoczyłem z prądem i wyszedłem cało z tej przygody.

Nigdy przedtem nie byłem w 1175 roku. Prawdopodobnie to ostatni naprawdę dobry rok w historii Bizancjum. Wręcz czuło się atmosferę nadszycających kłopotów. Nawet chmury sprawiały wrażenie złowrogich. Powietrze przepełniał zapach zbliżającego się nieszczęścia.

Subiektywne, nic niewarte obserwacje. Śmieci. Zdolność swobodnego pływania w strumieniu czasu wykrzywia perspektywę i zamazuje barwy zdarzeń. Ja wiedziałem, co czeka tych ludzi, oni tego nie wiedzieli. Bizancjum roku 1175 było pogodne, optymistyczne; reszta to tylko dzieło mej nadwrażliwej wyobraźni.

Cesarstwem rządził Manuel I Komnen, dobry władca u zmierzchu długiego i wspaniałego życia. Niemniej miał doczekać nieszczęścia. Cesarze z dynastii Komnenów przez cały XII wiek starali się odbić Azję Mniejszą z rąk Turków, którzy zdobyli ją stulecie wcześniej. Wiedziałem, że za rok z prądem Manuel utraci ją całą w jeden dzień, w bitwie pod Myriocefalon. Po tej klęsce Bizancjum nie miało się już podnieść. Manuel jednak tego nie wiedział. Nikt tu tego nie wiedział... oprócz mnie.

Poszedłem w stronę Złotego Rogu. Północna część miasta była teraz najważniejsza, jego ciężar przeniósł się z regionu Hagia Sophia-Hipodrom-Augusteum do dzielnicy Blachernai, znajdującej się w szpicy między murami. Pod koniec XI wieku Aleksy I przeniósł tu swój dwór z rozpadającego się Wielkiego Pałacu. Jego wnuk, Manuel, rządził stąd w chwale i tu, nad brzegiem

Złotego Rogu, arystokratyczne rody pobudowały sobie pałace. Jeden z najwspanialszych należał do Nicefora Dukasa, mojego prapra... i tak dalej dziadka.

Niemal do południa chodziłem dookoła pałacu, napawając się jego wspaniałością. Około południa zobaczyłem samego Nicefora, wyjeżdżającego rydwanem na przejażdżkę - majestatyczną postać o utrefionej czarnej brodzie w strojnych biało-złoty szatach. Na jego piersi wisiał łańcuch z krzyżem, złożonym, wysadzonym szlachetnymi kamieniami, palce skrzyły się od pierścieni. Jego wyjazd obserwował tłum. Nicefor z wdziękiem rozrzucał wśród ciżby monety. Udało mi się złapać jedną z nich, niewiele wartego bezana Aleksego I, praktycznie nie złotego, lecz cynowego.

Kommenowie drastycznie zmniejszyli wartość waluty, ale mimo wszystko Dukasom musiało się dobrze powodzić, skoro byli skłonni rzucać nawet małe kawałki złota tłumowi przypadkowych widzów.

Do dziś mam tę wytartą monetę. Jest dla mnie spadkiem, otrzymanym poprzez pokolenia.

Rydwan Nicefora odjechał w kierunku pałacu. Stojący obok mnie obrzydliwy staruch westchnął, przeżegnał się kilkakrotnie.

- Niech Bóg błogosławi błogosławionego Nicefora - powiedział cicho. - To taki wspaniały człowiek.

Starzec nie miał nosa i lewej ręki. Łagodni Bizantyńczycy tej schyłkowej epoki utratą członków karali wiele pomniejszych przestępstw. Uczyli krok w stronę humanitaryzmu - Kodeks Justyniana karał za nie śmiercią. Lepiej stracić oko, język lub nos niż życie.

- Dwadzieścia lat spędziłem w służbie Nicefora Dukasa - zawodził dalej starzec. - 1 były to najpiękniejsze lata mego życia.

- Dlaczego odszedłeś? - spytałem.

Podstawił mi kikut pod oczy.

- Złapali mnie na kradzieży ksiązek. Byłem skrybą. Tak bardzo pragnąłem zachować dla

siebie niektóre z przepisywanych ksiąg! Nicefor ma ich tak wiele, nie zauważyłby straty kilku.

Niestety złapali mnie, straciłem dłoń, a wraz z dłonią pracę. Było to dziesięć lat temu.

- A nos?

- Sześć lat temu zima była wyjątkowo ciężka. Ukradłem baryłkę ryb. Jestem kiepskim złodziejem, zawsze mnie łapią.

- To z czego żyjesz?

Uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Z żebractwa. Wspomóżcie, panie, nomizną nieszczęśliwego starca.

Zajrzałem do sakiewki. Pech zrządził, że miałem tylko wczesne srebrne monety z V i VI wieku, dawno już wycofane z obiegu. Gdyby starzec zapragnął wydać którąś z nich, z pewnością aresztowano by go pod zarzutem obrabowania jakiegoś bogatego kolekcjonera i pewnie straciłby drugą dłoń. Wcisnąłem mu więc do jedynej ręki pięknego złotego bezana z początku XI wieku.

Spojrzał na niego zdumiony.

- Szlachetny panie, jestem twój! - krzyknął. - Jestem cały twój!

- Chodź ze mną do najbliższej gospody i odpowiedz na kilka pytań.

- Z radością! Z radością!

Kupiłem mu wina i zacząłem wypytywać o drzewo genealogiczne rodu Dukasów. Przykro było wpatrywać się w okaleczoną twarz, więc nie podnosiłem wzroku ponad jego ramiona, ale do tego był chyba już przyzwyczajony. Dysponował wszystkimi poszukiwanymi przeze mnie informacjami, gdyż jednym z jego obowiązków na służbie Nicefora było skrupulatne kopiowanie rodzinnych dokumentów.

Nicefor miał obecnie czterdzieści pięć lat; urodził się w roku. Jego żoną była Zoe z domu Catacalon, która urodziła mu siódemkę dzieci: Symeona, Jana, Leona, Bazylego, Helenę, Teodozję i Zoe. Sam Nicefor był najstarszym synem Nicetasa Dukasa, urodzonego w roku 1106, żoną Nicetasa

zaś była Irena z domu Cerularius, którą poślubił w roku 1129. Oprócz niego mieli oni jeszcze pięcioro dzieci: Michała, Izaaka, Jana, Romanosa i Annę. Ojcem Nicetasa był Leon Dukas, urodzony w roku 1070, ożeniony z Pulcheria z domu Botanides, a ich dziećmi, oprócz Nicetasa, byli jeszcze Simeon, Jan, Aleksander...

I tak to trwało; śledziłem pokolenia Dukasów, sięgałem w głąb historii Bizancjum - najpierw X wiek, potem IX, VIII, teraz trudniej już było przywołać wszystkie imiona, w zapiskach pojawiały się luki. Starzec marszczył czoło, wahał się, przepraszał. Kilka razy próbowałem mu przerwać, ale nie chciał skończyć, póki nie dotarł do Tyberiusza Dukasa z VII wieku, który, jego zdaniem, tak naprawdę mógł wcale nie istnieć.

- Rozumiecie, panie, że to tylko linia Nicefora Dukasa - powiedział. - Linia cesarska jest łatwiejsza. Mogę ci ją, panie, wyrecytować, wszystkich Komnenów aż do cesarza Konstantyna X i jego przodków, którymi byli...

Ci Dukasowie wcale mnie jednak nie interesowali, choć byłem z nimi jakoś tam spokrewniony. Zresztą gdybym był zainteresowany genealogią moich cesarskich przodków Dukasów, znalazłbym ją sobie u Gibbona. Interesowała mnie jednak własna, skromniejsza gałąź rodu, odprysk linii cesarskiej. Dzięki temu nieszczęsnemu wyrzutowi społeczeństwa odtworzyłem sobie jej kształt w ciągu trzech stuleci, aż do Nicefora. Późniejszą historię poznałem wcześniej - wiedziałem o synu Nicefora, Symeonie z Albanii, znałem jego linię aż do Manuela Dukasa z Argyrokastro, którego najstarsza córka poślubiła Mikołaja Markenizisa, znałem linię Markenizisów aż do żony Passilidisa, która była matką mej czcigodnej babki Konstancji, której córka Diana poślubiła Judsona Daniela Elliotta II i wydała na świat mą skromną osobę.

- Za fatygę. - Rzuciłem skrybie drugą złotą monetę i uciekłem z tawerny, nim skończył bełkotać nieprzytomne podziękowania.

Wiedziałem, że Metaxas byłby ze mnie dumny. Z pewnością byłby także odrobinę

zazdrosny, bo mimo krótkiego czasu dysponowałem już dłuższym niż jego drzewem genealogicznym. Jego sięgało X wieku, moje - choć nie aż tak dokładne - VII. Wprawdzie Metaxas sporządził listę setek przodków, a ja znałem szczegóły z życia zaledwie kilkudziesięciu, lecz on przecież zaczął całe lata przede mną.

Nastawiłem timer i skoczyłem pod prąd do dwudziestego siódmego grudnia roku 537. Ulica była ciemna, cicha. Pospieszyłem do gospody. Od kiedy opuściłem moich podopiecznych, minęły zaledwie trzy minuty, mimo że w roku 1175 spędziłem osiem godzin. Turyści spali smacznie. Byłem z siebie bardzo zadowolony. Przy świetle świecy, na kawałku starego welinu naszkicowałem szczegóły historii rodu Dukasów. Nie miałem zamiaru wykorzystać nabytej wiedzy w praktyce. W historii nie szukałem ofiary jak Capistrano, nie miałem zamiaru nikogo uwieść jak Metaxas. Zamierzałem tylko cieszyć się z faktu, że wśród przodków mam Dukasów. Niektórzy ludzie w ogóle nie mają przodków.

33.

Nie sądzę, bym jako kurier dorównał Metaxasowi, ale z pewnością przedstawiłem mym ludziom interesujący obraz historii Bizancjum. Zrobiłem cholernie dobrą robotę, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, że solowałem po raz pierwszy.

Widzieli wszystkie ważniejsze wydarzenia historyczne i kilka mniej ważnych. Pokazałem im chrzest Konstantyna Siusiającego, ikonoklazm Leona III, inwazję Bułgarów w roku 813, drzewa z połączanego brązu w sali tronowej Teofila, wyczyny Michała Pijaka, przybycie pierwszej wyprawy krzyżowej w roku 1096 i 1097, znacznie bardziej niszczycielskie w skutkach przybycie czwartej krucjaty w 1204, odbicie Konstantynopola przez Bizantyńczyków w 1261 roku, koronację Michała VIII; krótko mówiąc, wszystko.

Moim podopiecznym strasznie się to podobało. Jak większość czasowych turystów rozkoszowali się zwłaszcza rozruchami, powstaniami, rebeliami, oblężeniami, masakrami,

inwazjami i pożarami.

- Kiedy pokażesz nam najazd Turków? - poganiał mnie budowlaniec z Ohio. - Chcę zobaczyć, jak te cholery rozwalają wszystko wokół.

- Zmierzamy w tym kierunku - uspokajałem.

Najpierw jednak pokazałem im schyłkową epokę w dziejach Bizancjum, rządzonego przez dynastię Paleologów.

- Cesarstwo praktycznie nie istnieje - wyjaśniłem, kiedy już skoczyliśmy w rok 1275. -

Bizantyńczycy myślą i budują na małą skalę. "Intymność" to słowo-klucz do tej epoki. Oto maleńki kościół Świętej Marii od Mongołów, zbudowany przez córkę z nieprawego łoża cesarza Michała VIII, która przez krótki czas była żoną tatarskiego chana. Widzicie, ile jest wdzięku w tej architekturze? Jaka jest prosta?

Prześlizgnęliśmy się z prądem do roku 1330, by przyjrzeć się kościołowi Chora pod wezwaniem Chrystusa Zbawcy. Moi podopieczni widzieli go już w Stambule swej terażniejszości pod jego turecką nazwą, Kariye Camii, teraz jednak zobaczyli budowlę przed przerobieniem jej na meczet, ozdobioną wspaniałymi mozaikami.

- Popatrzcie - mówiłem - oto ta Maria, która poślubiła chana Mongołów. Ta mozaika przetrwała, a to, sceny z dzieciństwa Chrystusa i jego cuda... to dzieło nie dotrwało do naszych czasów, teraz jednak możecie podziwiać wspaniałość wykonania.

Sycylijski psychiatra holografował wszystko w zasięgu wzroku; miał kamerę wielkości połowy dłoni, którą Patrol Czasowy dopuszczał do użytku, jako że niewielkie były szanse, by ktoś z przeszłości dojrzał ją i zrozumiał jej funkcję. Jego krzywonożna czasówka ochała i achiała.

Budowlańcy z Ohio nudzili się, jak łatwo było przewidzieć. Nic nie szkodzi, jeśli trzeba, kulturę

im wpychał w gardło pod przymusem!

- Kiedy zobaczymy Turków? - dopytywali się bez przerwy.

Prześliznęliśmy się ponad latami czarnej śmierci, 1347 i 1348.

- Tego nie wolno mi pokazywać - tłumaczyłem, kiedy zaczęły się protesty. - Jeśli chcecie oglądać zarazy, musicie zapisać się na specjalne wycieczki.

- Zrobiliśmy wszelkie możliwe szczepienia - burknął zięć pana Ohio.

- Ale pięć miliardów ludzi w naszej teraźniejszości się nie szczepiło. Możecie złapać zarazki, przenieść epidemię do naszego czasu i wtedy trzeba byłoby retroaktywnie skasować waszą wycieczkę, by nie dopuścić do tragedii. Tego byście chyba nie chcieli, prawda?

Zdziwienie. Niedowierzenie.

- Słuchajcie, zrobiłbym to dla was, gdybym tylko mógł. Ale nie mogę. Takie jest prawo.

Nikomu nie wolno odwiedzać lat zarazy bez specjalnego zezwolenia, którego nie jestem władny wydać.

Zabrałem ich z prądem do 1385 roku. Pokazałem im schyłkowe lata Bizancjum, nieliczną już populację ludzi zamieszkujących wewnątrz murów, obracające się w ruinę, opuszczone dzielnice, obracające się w ruinę, opuszczone kościoły. Turcy po kolei zajmowali najbliższe miastu tereny.

Wyszliśmy na wały w dzielnicy Bla chernae, widzieliśmy żołnierzy sułtana bezkarnie jeżdżących tuż za miejskimi murami. Mój przyjaciel budowlaniec pogroził im pięścią.

- Barbarzyńcy, sukinsyny! - krzyknął. - Łotry! Zwierzęta!

Skok do 1398 roku. Obejrzeliliśmy Anadolu Hisari, znajdującą się po azjatyckiej stronie Bosforu fortecę sułtana Bajazyta. Letnie słońce świeciło nam w oczy, nie widzieliśmy jej zbyt dobrze, więc skoczyliśmy o kilka miesięcy, do jesieni, żeby lepiej ją obejrzeć. Ostrożnie przekazywaliśmy sobie małą lornetkę. Nagle przed nami pojawili się dwaj starzy mnisi, zobaczyli lornetkę, nim zdołałem ją ukryć, i bardzo się nią zainteresowali.

- To urządzenie pomaga lepiej widzieć - wyjaśniłem, po czym błyskawicznie się stamtąd wynieśliśmy.

Lato 1422 roku. Z zainteresowaniem obserwowaliśmy atak, jaki przypuściły na miejskie mury armie sułtana Murada II. Turków było mniej więcej dwadzieścia tysięcy. Spalili pola i wioski wokół Konstantynopola, wyrznęli ich mieszkańców, zniszczyli winnice, wrywali drzewa oliwne, a teraz próbowali nawet wdrzeć się do miasta. Pod mury podsunęli maszyny oblężnicze, walili w bramy taranami, mieli do dyspozycji gigantyczne katapulty, całą ciężką artylerię swej epoki.

Zaprowadziłem moich ludzi niemal na pierwszą linię; miałem nadzieję, że dobrze się bawią. Standardową pozwalającą na to techniką było przebieranie turystów za pielgrzymów. Pielgrzymom wolno było udać się wszędzie, nawet na linię frontu. Rozdałem krzyże i ikony, pouczyłem wszystkich, jak wyglądać nabożnie, i poprowadziłem ich, śpiewających i recytujących modlitwy. Oczywiście w tak krótkim czasie nie sposób było nauczyć ich autentycznych bizantyńskich hymnów, więc kazałem im śpiewać cokolwiek, pod warunkiem że brzmi to wystarczająco poważnie, religijnie.

Budowlaniec z Ohio z żoną, córką i zięciem zawodzili "Gwiazdzisty Sztandar", powtarzając raz za razem pierwszą zwrotkę, psychiatra i jego przyjaciółka śpiewali arie Verdiego i Pucciniego. Obrońcy

przerywali walkę, by nas pozdrowić. Odmachiwaliśmy im, czyniąc w powietrzu znak krzyża.

- A co będzie, jeśli nas zabiją? - zainteresował się zięć.

- Nie mają szans. W każdym razie nikt nie zginie permanentnie. Jeśli kogoś trafi jakaś zabłąkana strzała, wezwę po prostu Patrol Czasowy. Wyciągnie nas stąd pięć minut wcześniej.

Obrzucił mnie nic nie rozumiejącym spojrzeniem.

- ... Celeste Aida, forma dmina...

- ... soproudly we hailed...

Bizantyńczycy walczyli jak szaleni i jakoś udawało się im utrzymać Turków za murami.

Polewali ich wrzącym olejem, podpalali ogniem greckim, obcinali każdą wychylającą się nad blanki głowę, wytrzymywali szaleńczy ogień artylerii. Mimo ich bohaterstwa nie było w zasadzie wątpliwości, że miasto musi paść przed wieczorem.

Cienie robiły się coraz dłuższe.

- Patrzcie - powiedziałem i niemal w tej samej chwili w kilkunastu miejscach pod murami zapłonął ogień. Turcy palili własne maszyny oblężnicze. Wycofywali się!

- Dlaczego? - pytali jeden przez drugiego moi podopieczni. Jeszcze godzina i zdobyliby miasto.

- Bizantyńscy historycy pisali później, że stał się cud - wyjaśniłem. - Na murach objawiła się Najświętsza Maria Panna w fioletowym płaszczu, otoczona nieziemskim światłem. Przerażeni Turcy odstąpili od oblężenia.

- Gdzie? - zdenerwował się zięć. - Nie widziałem żadnego cudu. Nie widziałem żadnej panny.

- Może powinniśmy cofnąć się o pół godziny i sprawdzić zaproponowała niepewnie jego żona.

Zlitowałem się nad nimi i wyjaśniłem, że żadna święta dziewica nie pojawiła się na murach.

Po prostu posłaniec przyniósł sułtanowi Muradowi informację o powstaniu w Azji Mniejszej; obawiając się, że po zdobyciu miasta mógłby zostać w nim odcięty i oblężony, sułtan wstrzymał działania wojenne i udał się na wschód, na wojnę z buntownikami. Moi budowlańcy sprawiali wrażenie głęboko rozczarowanych - mam wrażenie, że szczerze pragnęli zobaczyć Dziewicę Maryję.

- Widzieliśmy ją podczas wycieczki w zeszłym roku - pocieszył się zięć.

- To co innego. Tamta była prawdziwa, a nie żaden cud - zaprotestowała jego żona.

Nastawiłem timery i skoczyliśmy z prądem.

Piąty kwietnia 1453 roku. Świt. Wschodu słońca oczekiwaliśmy na miejskich wałach.

- Miasto zostało odcięte od świata - wyjaśniłem. - Na europejskim brzegu Bosforu sułtan

Mehmed Zwycięzca wybudował fortecę Rumeli Hisari. Turcy rozpoczynają natarcie. Chodźcie.

Patrzcie, słuchajcie.

Wstało słońce. Wyjrzelśmy zza krawędzi murów. Rozległ się ogłuszający ryk.

- Po przeciwnej stronie Złotego Rogu znajduje się obóz turecki - wyjaśniłem. - Turków jest dwieście tysięcy, a na wodach Bosforu mają czterysta dziewięćdziesiąt trzy statki. Bizancjum broni osiem tysięcy żołnierzy dysponujących piętnastoma statkami. Chrześcijańska Europa nie udzieliła chrześcijańskiemu cesarstwu żadnej pomocy, jeśli nie liczyć siedmiuset genueńskich najemników i żeglarzy, którymi dowodzi Giovanni Giustiniani. - Przerwałem czekając, by ktoś zorientował się w znaczeniu nazwiska ostatniego obrońcy cesarstwa bizantyńskiego. Giustiniani... Justynian... Nikt się nie zorientował. - Miasto rzucone zostało wilkom na pożarcie - kontynuowałem. - Słyszycie wrzaski atakujących?

Złoty Róg zagradzał słynny łańcuch, zakotwiczony po obu brzegach - wielkie ociosane kłody spięte żelaznymi hakami, mające chronić port przed wrogą flotą. W 1204 roku nie spełnił swego zadania. Potem został wzmocniony.

Skoczyliśmy pod prąd do dziewiątego kwietnia, by obserwować podchodzących pod mury Turków. Skoczyliśmy do dwunastego kwietnia, by zobaczyć, jak włącza się do akcji wielkie tureckie działo, Armata Królewska. Skonstruował ją chrześcijanin renegat, zwany Urbanem Węgrem. Ciągnęło ją sto par wołów, lufa miała blisko metr średnicy, pociskami były osiemsetkilogramowe kawały granitu. Dostrzegliśmy język ognia, dym, po czym w powietrze, powoli jak we śnie, wzięcia! stromo gigantyczny kawał skały, zatoczył łuk i spadł na mur. Kurz okrył wszystko, od huku długo jeszcze dzwoniło nam w uszach.

- Armata Królewska strzela tylko siedem razy dziennie - wyjaśniłem. - Ładowanie jej zabiera sporo czasu. A teraz...

Skoczyliśmy o tydzień z prądem. Turcy zgromadzili się wokół działa, gotowego do akcji. Odpalili je, rozległ się huk, błysnął przerażający płomień i armata wybuchła; odłamki lufy rzeźbiły szerokie korytarze w tłumie żołnierzy. Ziemię zasłały martwe ciała. Obrońcy na murach krzyczeli radośnie.

- Wśród zabitych jest też Urban Węgier - powiedziałem. Turcy wkrótce wybudują jednak nowe działo.

Tego wieczora nastąpił szturm. Śpiewając "America the Beautiful" i arie z "Oleiła" obserwowaliśmy, jak bohatersko odpierają go genueńczycy Giustinianiego. Nad naszymi głowami świszczwały strzały, niektórzy Bizantyńczycy strzelali z topornych, niecelnych karabinów.

Ostatnią obronę Konstantynopola pokazałem turystom tak wspaniale, że do łez wzruszyła mnie własna błyskotliwość. Widzieli bitwy morskie, widzieli walkę wręcz na murach, widzieli modły odprawiane w Hagia Sophii. Pokazałem im, jak Turcy pod osłoną mroku po drewnianych balach przetoczyli statki z Bosforu na Złoty Róg, omijając przeszkodę ze słynnego łańcucha, pokazałem im przerażenie Bizantyńczyków, gdy rankiem dwudziestego trzeciego kwietnia stwierdzili, że w ich porcie stoją siedemdziesiąt dwa nieprzyjacielskie okręty, pokazałem im, jak atak odparty został przez genueńczyków.

Przeskakiwaliśmy kolejne dni oblężenia. Widzieliśmy, jak obrońcy, choć zza wewnętrznych fortyfikacji, walczą dzielnie, jak rośnie ich duch i jak duch upada w napastnikach. Dwudziestego ósmego maja poszliśmy nocą do Hagia Sophii, by wziąć udział w ostatnim odbywającym się w tym kościele chrześcijańskim nabożeństwie. Oprócz nas byli tam cesarz Konstantyn XI wraz ze swym dworem, żebracy i złodzieje, kupcy, alfonsi, rzymscy katolicy z Genui i Wenecji, żołnierze i marynarze, książęta i prałaci, a także mnóstwo przebranych za pielgrzymów gości z przyszłości; moim zdaniem tych ostatnich było więcej niż mieszkańców miasta. Słuchaliśmy bicia dzwonów, słuchaliśmy żalosnego Kyrie, padliśmy na kolana, ludzie - nawet niektórzy turyści - płakali nad losem Bizancjum, a potem nabożeństwo skończyło się, świece pogasły i nie widać już było lśniących mozaik i fresków.

Dwudziestego dziewiątego maja wszyscy obserwowaliśmy koniec świata.

O drugiej nad ranem Turcy zaatakowali bramę Świętego Romanosa. Giustiniani został ranny,

walka była straszna, z najwyższym trudem powstrzymywałem moich ludzi od przyłączenia się do niej. Turcy skandowali "Allah! Allah!" tak donośnie, że krzyk ten wypełnił wszechświat, obrońcy wpadli w popłoch, zaczęli uciekać i napastnicy dostali się w obręb murów.

- To już koniec - powiedziałem. - Cesarz Konstantyn zginął w walce. Tysiące ludzi uciekają z miasta, tysiące kryją się we wnętrzu zabarykadowanej Hagia Sophii. Przyjrzyjcie się rabunkom, rzezi.

Skakaliśmy jak wściekli, to pojawiając się, to znikając, by uniknąć stratowania przez galopujących po ulicach jeźdźców. Prawdopodobnie mocno przestraszyliśmy paru Turków, ale w tym zamieszaniu ktoś przejmowałby się cudownym zniknięciem grupki pielgrzymów. Jako ukoronowanie wycieczki zabrałem swych ludzi w trzydziesty maja, pokazując im sułtana Mehmeda Zwycięzcę wjeżdżającego do miasta w tryumfie, w otoczeniu wezyrów, paszów i janczarów.

- Zatrzymuje się przed katedrą - powiedziałem szeptem. - Podnosi garść ziemi i posypuje nią turban korząc się w ten sposób przed Allahem, który dał mu tak wielkie zwycięstwo. Teraz wchodzi do środka. Nie możemy iść za nim, to zbyt niebezpieczne. W środku zobaczy żołnierza niszczącego mozaiki, które uważa za nieskromne; uderzy go i zabroni dewastacji katedry, a potem wstąpi na ołtarz i będzie się z niego modlił. Hagia Sophia stanie się Ayasofią, meczetem. Bizancjum już nie istnieje. Chodźcie. Ruszamy z prądem.

Oszołomieni wrażeniami, moi turyści pozwolili mi nastawić timery. Dałem sygnał.

Znaleźliśmy się z powrotem w naszym roku.

Nieco później, w kwaterze Służby Czasowej, podszedł do mnie mój budowlaniec. Kciuk wyciągał w wulgarnym geście, charakterystycznym dla wulgarnych ludzi dających napiwek.

- Synu - powiedział - chcę ci powiedzieć jedno. Zrobiłeś wspaniałą robotę. Chodź ze mną.

Dzięki temu kciukowi i małej plakietce będę mógł przekazać ci wyrazy uznania, dobra?

- Przykro mi, ale nie wolno nam przyjmować takich wyrazów uznania.

- Sraj na to, synu. Załóżmy, że nie zwracasz na mnie uwagi; przekciukuję ci trochę na konto.

Załóżmy, że nic o tym nie wiesz.

- Nie mogę powstrzymać transferu, o którym nic nie wiem stwierdziłem.

- Świetnie, świetnie! Niech to diabli, ale kiedy ci Turcy wpadli do miasta... co za przedstawienie! Co za przedstawienie!

Kiedy w następnym miesiącu otrzymałem wyciąg, okazało się, że dostałem od niego całkiem przyzwoitą sumę - równy tysiąc. Nikogo o tym nie poinformowałem. Uznałem, że uczciwie zarobiłem te pieniądze i do diabła z zasadami.

34.

Uznałem także, że zasłużyłem sobie na spędzenie przerwy w willi Metaxasa, w 1105 roku.

Nie byłem już skromnym czeladnikiem, pokornym uczniem. Stałem się pełnoprawnym członkiem bractwa Kurierów Czasowych. I to, w mojej opinii, jednym z lepszych. Nie musiałem się bać, że Metaxas uzna mnie za niepożądanego gościa.

Sprawdziłem tablicę. Metaxas, jak i ja, właśnie skończył oprowadzać grupę. Oznaczało to, że będzie u siebie. Wziąłem sobie nowy bizantyński strój, zażądałem sakiewki złotych bezanów, przygotowałem się do skoku pod prąd... i nagle przypomniałem sobie o paradoksie nieciągłości.

Nie wiedziałem przecież, kiedy w roku 1105 powinienem przybyć. No i należało wziąć pod uwagę upływ czasu Metaxasa względem naszej terażniejszości. W moim czasie naszej

terażniejszości był listopad 2059 roku. Metaxas właśnie skoczył pod prąd do roku 1105, który był dla

niego odpowiednikiem listopada 2059. Załóżmy, że tym punktem był lipiec 1105. Gdybym, w

blógiej nieświadomości, skoczył do, powiedzmy, marca 1105, spotkałbym Metaxasa nie mającego pojęcia o mym istnieniu. Byłbym dla niego nieznanym, intruzem. Gdybym, powiedzmy, skoczył

do czerwca 1105, byłbym po prostu człowiekiem, którego gospodarz zabrał właśnie na treningową

wycieczkę w przeszłość. Gdybym skoczył do, powiedzmy, października 1105, spotkałbym Metaxasa

świadomego trzech miesięcy, których ja nie byłem świadomy, Metaxasa znajdującego szczegóły mojej przyszłości. Byłby to paradoks nieciągłości w drugą stronę - paradoks, którego wcale nie miałem zamiaru doświadczyć; jest to niebezpieczne i nieco przerażające, trafić na kogoś, kto przeżył czas, którego się jeszcze nie dożyło. Nikt w Służbie Czasowej nie tęskni do takiej sytuacji.

Innymi słowy, potrzebowałem pomocy.

Po pomoc zwróciłem się przede wszystkim do Spirosa Protopopolosa. Poszedłem do niego i powiedziałem:

- Metaxas zaprosił mnie do siebie na przerwę, ale nie wiem, kiedy to jest.

Spiros okazał się człowiekiem rozważnym.

- A skąd ci przyszło do głowy, że ja wiem? - spytał. - Mnie się przecież nie zwierza.

- Po prostu myślałem, że zostawił u ciebie jakiś zapis swej terażniejszości w przeszłości.

- O czym ty gadasz, do diabła?

W tym momencie musiałem zastanowić się, czy nie popełniłem jakiejś straszliwej niedyskrecji. Nie pozostało mi jednak nic innego, tylko przeć do przodu. Puściłem do niego oczko.

- Przecież wiesz, gdzie teraz jest Metaxas. Może wiesz nawet kiedy? Daj spokój, Proto. Nie udawaj, że nie wiesz, co się tu dzieje. Nie musisz udawać.

Spiros poszedł do sąsiedniego pokoju. Porozmawiał z Pastirase, porozmawiał z Herschelem. Musieli się za mną wstawić, bo kiedy wrócił, szepnął mi do ucha:

- Siedemnastego sierpnia 1105. Pozdrów go ode mnie.

Podziękowałem i skoczyłem pod prąd.

Metaxas mieszkał na przedmieściach, poza murami Konstantynopola. Ziemia tam była tania na początku XII wieku, głównie dzięki niepokojom wznieconym w roku 1090 przez Pieczyngów, barbarzyńców, i przybyciu rozgromionych niedobitków krucjaty w sześć lat później. Ludzie mieszkający za murami oberwali niezłe baty; mnóstwo ładnych posiadłości poszło wówczas pod

młotek. Metaxas nabył swoją w 1095, kiedy właściciele ziemscy dopiero otrząsali się z szoku po Pieczyngach, a właśnie zaczęli martwić kolejną falą krzyżowców.

Nad współlicytatorami miał jednak przewagę - znał przyszłość i wiedział, jak stabilne będzie Bizancjum pod rządami Aleksego I Komnena. Wiedział, że okolice jego posiadłości nie poniosą szwanku aż do końca XII wieku.

Przespacerowałem się do Starego Stambułu. Złapałem taksówkę, przejechaliśmy jakieś pięć kilometrów za zrujnowane mury miejskie. Oczywiście dziś nie były to żadne przedmieścia, tylko szara masa nowoczesnego miasta. Kiedy uznałem, że jesteśmy już wystarczająco daleko, dałem taksówkarzowi kciuk i wysiadłem. Stałem na chodniku, sprawdzając, czy jestem gotów do skoku. Jakieś dzieciaki, poznając po bizantyńskim stroju, że szykuję się do skoku pod prąd, podeszły się na mnie pogapić. Wesoło, po turecku, poprosiły, żebym zabrał je ze sobą. Jeden z nich, chłopczyk śliczny jak aniołek i niesamowicie brudny, powiedział w znośnej francuszczyźnie:

- Mam nadzieję, że utną ci tam głowę.

Dzieci są tak uroczo szczerze, prawda? I tak cudownie, tak absolutnie wrogie.

Ustawiłem timer, pokazałem figę małemu specjaliście od dobrych życzeń i skoczyłem pod prąd.

Znikły szare budynki. Przygnębiający listopad ustąpił miejsca pięknemu, kolorowemu sierpniowi. Powietrze w płucach okazało się nagle świeże, pachnące. Stałem obok szerokiej, brukowanej drogi biegnącej pomiędzy dwiema zielonymi łąkami. Skromny, dwukonny rydwan nadjechał i zatrzymał się obok mnie. Młody mężczyzna w prostym wiejskim ubraniu pochylił się w moją stronę.

- Witaj, panie - powiedział. - Metaxas wysłał mnie po ciebie, panie.

- Ale przecież... nie mógł... -wykrztusiłem i czym prędzej się zamknąłem. Najwyraźniej mógł i nawet się mnie spodziewał. W jakiś sposób udało mi się spowodować paradoks nieciągłości.

Pojechaliśmy na zachód. Woźnica głową wskazał mi ciągnące się kilometrami winnice po lewej i ciągnące się kilometrami sady figowe po prawej.

- Wszystko to należy do Metaxasa - powiedział dumnie. - Byłeś tu kiedyś, panie?

- Nie, nigdy - przyznałem.

- Mój pan jest wielkim panem. Jest przyjacielem ubogich i sojusznikiem bogaczy. Wszyscy go szanują. W zeszłym miesiącu naszym gościem był sam cesarz Aleksy.

Poczułem się trochę nieswojo. Metaxas wykroił sobie egzystencję - to nasze dziś - dziesięć wieków pod prądem i to było już wystarczająco złe, co więc Patrol Czasowy miałby do powiedzenia o tym, że fraternizuje się z cesarzem? Niewątpliwie udziela mu rad, niewątpliwie, dzięki swej wiedzy, zmienia przyszłe zdarzenia; odciska swój ślad w matrycy przeszłości przez sam fakt bycia jego sojusznikiem. Bezczelniejszego faceta święta ziemia nie nosiła!

Figi i winogrona ustąpiły miejsca łanom zbóż.

- Te pola także należą do Metaxasa - oznajmił woźnica.

A ja wyobrażałem sobie, że Metaxas mieszka w niewielkiej, wygodnej willi na jakimś hektarze czy dwóch, ma ogród od frontu i może ogródek warzywny z tyłu domu. Zupełnie nie zdawałem sobie sprawy, że jest właścicielem ziemskim na taką skalę!

Minęliśmy pola, na których pasły się stada bydła. Minęliśmy młyn poruszany przez woły.

Minęliśmy staw, niewątpliwie pełen ryb, i wreszcie dotarliśmy do wysadzanej cyprysami dróżki odchodzącej od bocznej drogi. Wjechaliśmy w nią, przed nami pojawiła się wspaniała willa, a przy wejściu do niej stał kto? Oczywiście sam Metaxas, Metaxas we własnej osobie, ubrany w strój odpowiedni dla doradcy cesarza.

- Jud! - krzyknął. Rzuciliśmy się sobie w ramiona. - Mój przyjacielu! Mój bracie! Jud,

opowiedzieli mi o prowadzonej przez ciebie wycieczce. Wspaniała robota! Czy turyści skończyli ci już dziękować?

- Skąd wiesz?

- Od Kolettisa i Pappasa. Są tu. Wchodź, wchodź! Wina dla mojego przyjaciela! Przynieście mu ubranie! Wchodź, Jud! No, wchodź!

35.

Willa zbudowana była w stylu klasycznym, miała atrium i perystyl oraz wielki wewnętrzny dziedziniec, kolumnowe krużganki, mozaiki na podłogach, freski na ścianach, wielki pokój przyjęć w absydzie, staw na dziedzińcu, bibliotekę wypełnioną zwojami, jadalnię, w której przy wielkim okrągłym intarsjowanym stole zasiąść mogło do wieczerzy ze czterdziestu gości, lapidarium i wykładaną marmurem łazienkę. Niewolnicy Metaxasa zapędzili mnie do tej właśnie łazienki; sam Metaxas zdążył tylko krzyknąć, że zobaczymy się później.

Potraktowano mnie po królewsku.

Trzy ciemnowłose niewolnice - dowiedziałem się później, że pochodziły z Persji - przygotowały mnie do kąpieli. Nagie - z wyjątkiem kawałka materiału osłaniającego łono - rozebrały mnie do golasa, już bez żadnych kawałków, po czym chichocząc aż podskakiwały im piersi, do połysku natarły mnie olejkami i mydłem. Łażnia parowa, gorąca kąpiel, zimna kąpiel - moja skóra dostała wszystko, o czym marzyła, i więcej. Kiedy skończyłem, bardzo delikatnie mnie wytarły. Dostałem tunikę piękniejszą od wszystkiego, co kiedykolwiek miałem na sobie. Kiedy mnie w nią ubrały, znikły w jakimś podziemnym przejściu, pozostawiając po sobie obraz zgrabnych nagich tyłeczków. Lokaj w średnim wieku odprowadził mnie do atrium, w którym już czekał Metaxas obstawiony dzbanami wina.

- Podoba ci się? - spytał.

- Mam wrażenie, że śnię.

- Bo i śniesz. Śniesz mój sen. Widziałeś gospodarstwo? Zboże, oliwki, bydło, figi... mam wszystko! Dzierżawcy pracują na mnie. Co roku z zysków dokupuję nowy kawałek ziemi.

- Nieprawdopodobne. A jeszcze bardziej nieprawdopodobne, że ci na to pozwolono.

- Jestem nietykalny - stwierdził skromnie Metaxas. - Zarobiłem sobie na tę nietykalność.

Patrol Czasowy wie, że nie sposób mnie ukarać.

- Zdają sobie sprawę z tego, że tu jesteś?

- Sądzę, że tak. Ale trzymają się ode mnie z daleka. Dbam, by nie spowodować znaczących zmian w historii. Nie jestem złoczyńcą, po prostu lubię żyć wygodnie.

- Lecz przecież zmieniasz historię. W prawdziwym 1105 roku ziemię tę musiał posiadać ktoś inny.

- To jest prawdziwy 1105 rok.

- Mam na myśli ten prawdziwy, sprzed odkrycia efektu Benchleya. Wszedłeś do rejestrów ziemskich i... na Boga, przecież ten woźnica nazywał cię Metaxas! Czy używasz tu tego nazwiska?

- Owszem. Temistokles Metaxas. Czemu nie? To dobre greckie nazwisko.

- Tak, ale... słuchaj, przecież musi się ono pojawić w dokumentach, rejestrach podatkowych, wszędzie. Z pewnością zmieniłeś zawartość bizantyńskich archiwów, a sporo z nich przetrwało do naszych czasów. Znalazłeś się tam, gdzie cię przedtem nie było. Co...

- Nie ma żadnego niebezpieczeństwa - uspokoił mnie Metaxas. - Jak długo nie odbiorę tu nikomu życia lub nie stworzę życia, jak długo nie zmienię ustalonego już ciągu wydarzeń, wszystko gra. Wiesz, żeby dokonać prawdziwej zmiany, trzeba się mocno napracować, trzeba dokonać czegoś wielkiego, na przykład zabić władcę. Przez sam fakt, że tu jestem, wprowadzam drobne zmiany, których efekt zanika w ciągu kolejnych stuleci nie powodując żadnych zmian z prądem. Rozumiesz? Wzruszyłem ramionami.

- Jedno mi tylko wytłumacz. Jakim cudem wiedziałeś, że przybywam?

- To proste - wyjaśnił ze śmiechem. - Skoczyłem dwa dni z prądem i zobaczyłem, że już jesteś. Sprawdziłem, kiedy się pojawiłeś, i wysłałem po ciebie Mikołaja. Oszczędziłem ci długiego

spaceru, nie?

Jasne! Po prostu nie myślałem czterowymiarowo. Metaxas musiał oczywiście z przyzwyczajenia sprawdzać najbliższą przyszłość. W tej epoce doprawdy trudno było przewidzieć wszystkie zdarzenia.

- Chodź, dołączymy do towarzystwa.

Towarzystwo wylegiwało się na kanapach obok znajdującego się na dziedzińcu stawu.

Niewolnice w przezroczystych szatach wkładały gościom w usta kawałki pieczonego mięsa.

Dostrzegłem dwóch kurierów, Kolettisa i Pappasa, obu cieszących się przerwą między grupami.

Pappas ze swymi obwisłymi wusami wyglądał smutno nawet podszczypując twardy tyłeczek

perskiej piękności, lecz Kolettis, tłusty i hałaśliwy, był w świetnej formie - śpiewał, śmiał się, cieszył

życiem. Trzeci mężczyzna, którego nie znałem, stał przyglądając się pływającym w stawku rybkom.

Choć odziany w pasujące do epoki szaty, miał twarz, po której od razu rozpoznałem człowieka współczesnego. Nie myliłem się.

- To dyplomowany uczonek Paul Speer - wyjaśnił mi po angielsku Metaxas. - Złożył mi wizytę. Doktorze Speer, to Jud Elliott, kurier.

Przywitaliśmy się formalnie, dotykając swych dłoni. Speer miał jakieś pięćdziesiąt lat, był tak chudy, że aż wyglądał na wycieńczonego, a także blady i niewysoki. Twarz miał kościstą, oczy rozbiegane.

- Bardzo mi miło - powiedział.

- A to Eudoksja - dokończył prezentacji Metaxas.

Eudoksję, oczywiście, dostrzegłem natychmiast, gdy tylko wszedłem na dziedziniec. Była to szczupła dziewczyna o kasztanowatych włosach i jasnej cerze, kontrastującej z ciemnymi oczami.

Mogła mieć najwyżej dwadzieścia lat. Nosila biżuterię nie pozostawiającą najmniejszych wątpliwości co do tego, że nie jest niewolnicą, ubrana była jednak prowokująco nawet jak na

bizantyńskie zwyczaje, w strój składający się w zasadzie wyłącznie z dwóch kawałków delikatnego, przezroczystego materiału. Od czasu do czasu dotykał on ciała ujawniając małe twarde piersi, chłopięce pośladki, płytki pępek, a nawet zarys włosów łonowych. Wolę kobiety ciemne, o bujnych kształtach, lecz mimo to Eudoksja zrobiła na mnie wielkie wrażenie. Wydawała się napięta niczym zwinięta sprężyna, pełna z trudem utrzymywanej na wodzy, gwałtownej energii. Przyglądała mi się przez chwilę, śmiało, wręcz bezczelnie, po czym wyraziła mi swe uznanie opierając dłonie na pośladkach i wyginając się w tył. Ruch ten spowodował, że jej nagość uwidoczniła się znacznie bardziej szczegółowo. Uśmiechnęła się. Jej oczy zabłyśły kusząco.

Metaxas powiedział do mnie po angielsku:

- Pamiętaj, opowiadałem ci o niej. Jest moją praprapra... i tak dalej babcią. Weź ją dziś do łóżka. Biodrami pracuje jak artystka.

Eudoksja uśmiechnęła się do mnie jeszcze cieplej. Nie rozumiała słów gospodarza, ale musiała wiedzieć, że rozmawiamy o niej. Próbowałem nie gapić się zbyt nachalnie na jej aż nazbyt obnażone wdzięki. Czy nie będzie nietaktem wyobracanie prapra... i tak dalej babci gospodarza?

Naga piękna niewolnica podała mi jagnię i oliwki en brochette. Zjadłem, praktycznie nie czując smaku. Nozdrza me wypełniał zapach Eudoksji.

Metaxas nalał mi wina i odprowadził od dziewczyny.

- Doktor Speer jest tu na wyprawie kolekcjonerskiej - powiedział. - Studiuje dramat grecki. Szuka zaginionych manuskryptów.

Doktor Speer strzelił obcasami. Należał do tego gatunku teutońskich pedantów, po których człowiek wręcz oczekuje, że zawsze będą przedstawiać się pełnym naukowym tytułem. Achtung!

Oto Herr dyplomowany uczoney Speer!

- Jak na razie odniosłem wyjątkowe sukcesy - pochwalił się dyplomowany uczoney Speer. -

Oczywiście dopiero zaczynam, a jednak w bibliotekach Bizancjum znalazłem już "Nauzykaę" i

“Triptolemosa” Sofoklesa, „Andromedę”, „Faetona” i „Edypa” Eurypidesa, a także niemal kompletny manuskrypt „Kobiety z Etny” Ajschylosa. Widzi pan więc, że nieźle sobie radzę. - I znów strzelił obcasami.

- Zamierza pan przetransportować te utwory do naszego dzisiaj? - zainteresowałem się.

- Tak, oczywiście.

- Przecież nie może ich pan opublikować! Po co więc to panu?

- Będę je studiował - oznajmił dyplomowany uczyony Speer. Pogłębię wiedzę w dziedzinie greckiego dramatu. A w odpowiednim czasie podłożę każdy z egzemplarzy w miejscu, w którym archeolodzy będą go mogli odkryć. W ten sposób arcydzieła narodzą się w naszym świecie! To pomniejsze przestępstwo, prawda? Czy można nazwać złym pragnienie powiększenia jakże niewielkiej spuścizny Sofoklesa?

Mnie w każdym razie wydawało się to całkiem w porządku. Zawsze bowiem uważałem za tępy opór zdelegalizowanie odkryć zaginionych manuskryptów i obrazów. Oczywiście, nikt nie powinien bezkarnie cofać się, powiedzmy, w 1600 rok, by porwać „Pięć” Michała Anioła albo „Ledę” Leonarda. Byłaby to zmiana przyszłości, przestępstwo, gdyż i „Pięta”, i „Leda” muszą dotrzeć do naszego teraz krocząc przez lata rok po roku, a nie skacząc przez cztery i pół wieku.

Czemu jednak nie mamy znać arcydzieł, które nie dotarły do naszych czasów? Kogo to krzywdzi?

- Doktorze Speer, ma pan całkowitą rację - stwierdził Kolettis. - Do diabła, historykom wolno przecież podróżować w przeszłość, korygować podręczniki, prawda? A kiedy publikują te swoje rewizjonistyczne książki, zmieniają stan wiedzy jak cholera!

- Oczywiście - przytaknął Pappas. - Na przykład wiemy dziś, że lady Makbet była w istocie łagodną, pełną współczucia kobietą na próżno walczącą z krwawymi instynktami męża. Albo weźmy na przykład to, czego dowiedzieliśmy się o Mojżeszu. Albo o Ryszardzie III. I o Joannie d'Arc. Od czasu odkrycia efektu Benchleya załataliśmy miliony dziur w historii...

- ... więc czemu nie załatać podobnych dziur w historii literatury? - dokończył Kolettis. - Piję zdrowie doktora Speera. Doktorze, niech pan kradnie wszystkie dramaty, które wpadną panu w ręce!

- Ryzyko jest wielkie - przyznał Speer. - Jeśli mnie złapią, zostanę surowo ukarany, może nawet stracę tytuły akademickie. - Powiedział to tak, jakby wolał raczej pożegnać się z jajami. - Prawo jest takie głupie. Ci ludzie z Patrolu Czasowego... oni są tacy wystraszeni... boją się nawet konstruktywnych zmian.

Dla Patrolu Czasowego żadna zmiana nie jest konstruktywna. Akceptują rewizję historii, ponieważ nie mogą jej nie zaakceptować, obowiązujące prawo wyraźnie zezwala na badania historyczne. To samo prawo wyraźnie jednak zabrania przenoszenia z prądem jakichkolwiek obiektów ruchomych, z wyjątkiem przedmiotów koniecznych do funkcjonowania Służby Czasowej. Patrol rozumie wyłącznie literę prawa.

- Jeśli interesują pana dramaty greckie, czemu nie uda się pan do Biblioteki Aleksandryjskiej? - zainteresowałem się. - Znajdzie ich pan tam dziesięć na każdy, który dotrwał do epoki bizantyńskiej.

Dyplomowany uczonej Speer uśmiechnął się do mnie, jakbym był sprytnym, lecz naiwnym dzieckiem.

- Biblioteka Aleksandryjska jest głównym celem uczonych takich jak ja - wyjaśnił uroczyście. - Z tego powodu jest bezustannie strzeżona przez funkcjonariusza Patrolu w przebraniu skryby. Słyszałem, że dokonuje kilku aresztowań miesięcznie. Nie podejmę takiego ryzyka. Tu, w Bizancjum, jest mi ciężiej, ale mało rzucam się w oczy, więc mogę dokonać więcej. Spodziewam się znaleźć około dziewięćdziesięciu sztuk Sofoklesa, co najmniej tyle samo Ajschylosa i...

36.

Kolacja poprzedniego wieczora była bardzo uroczysta. Podano nam w obfitości zupy, pieczeń, kaczkę z rusztu, ryby, wieprzowinę, baraninę, szparagi, grzyby, jabłka, figi, karczochy,

jajka na twardo w niebiesko emaliowanych kieliszkach, sery, sałatę i wino. Z grzeczności wobec Eudoksji, siedzącej przy naszym stole, rozmawialiśmy wyłącznie po grecku, a więc w ogóle nie poruszaliśmy tematu podróży w czasie, nie dyskutowaliśmy także o złośliwości Patrolu.

Po kolacji, podczas występu błaznujących karłów, odwołałem Metaxasa na bok.

- Mam ci coś do pokazania - powiedziałem, wręczając mu zwój welinu, na którym wyrysowałem swe drzewo genealogiczne. Zerknął nań i zmarszczył brwi.

- A to co?

- Drzewo genealogiczne. Doprowadzone aż do VII wieku.

- Człowieku, kiedyś ty miał na to czas? - Metaxas roześmiał się głośno.

- Wykorzystałem poprzednią przerwę - wyjaśniłem i opowiedziałem mu o odwiedzinach u pradziadka Passilidisa, u Grzegorza Markezinisa i w czasach Nicefora Dukasa.

Metaxas przyjrzał się liście dokładniej.

- Dukas? - zdziwił się. - Dlaczego Dukas?

- Pochodzę z Dukasów. Skryba przekazał mi dane sięgające aż do VII stulecia.

- Niemożliwe. Wtedy nikt jeszcze nie znalazł tego rodu i fałszerstwo.

- Dobrze. Nie mam zamiaru się z tobą kłócić. Ale od 950 roku wszystko sprawdziłem. To moi przodkowie. Prześledziłem linię z Bizancjum do Albanii, a stamtąd do Grecji XX wieku.

- Ręczysz?

- Przysięgam!

- Ty mały sprytny sukinsynu - powiedział Metaxas z sympatią.

- I dokonałeś tego wszystkiego w ciągu jednej przerwy! Ród Dukasów, ni mniej, ni więcej! -

Sprawdził coś w moich notatkach. - Nicefor Dukas, syn Nicetasa Dukasa, syn... aha, Leona Dukasa.

Pulcheria Botanides!

- Coś nie tak?

- Przecież ja ich znam! - krzyknął Metaxas. - Odwiedzali mnie tutaj, a ja bywałem u nich!

Leon to jeden z najbogatszych ludzi w Bizancjum, wiesz? A jego żona Pulcheria... jest taka piękna...

- Ścisnął mi ramię. - To twoi przodkowie? Przysięgasz?

- Jestem tego pewien.

- Cudownie! Pozwól, że opowiem ci o Pulcherii. Ma... och, może siedemnaście lat. Leon poślubił ją, kiedy była jeszcze dzieckiem, tutaj nie jest to wcale rzadkością. Talię ma o, taką, za to piersi dotąd, płaski brzuch i oczy, od których spojrzenia krew wrze ci w żyłach...

Wyrwałem się z jego uścisku, z bliska spojrzałem mu prosto w twarz.

- Metaxas, czy ty...

Nie potrafiłem dokończyć pytania.

- Czy spałem z Pulcheria? Nie, nie spałem. Klnę się na Boga, Jud! Mam tu wystarczająco wiele kobiet. Ale posłuchaj, kolego, teraz ty masz szansę! Mogę załatwić wam spotkanie. Jest gotowa dać się uwieść. Młoda, bezdzietna, piękna, znudzona; jej mąż zajmuje się interesami i prawie jej nie zauważa... a poza tym jest twoją praprapra... babcią!

- To ciebie podkręca, nie mnie - przypomniałem mu. - Dla mnie to raczej powód, żeby trzymać się od niej z daleka.

- Nie bądź durniem! Załatwię wszystko w jakieś dwa, najwyżej trzy dni. Zaproszenie do Dukasów, noc w apartamencie gościnnym ich miejskiego pałacu, jedno słówko wyszeptane w ucho damy do towarzystwa...

- Nie! - powiedziałem stanowczo.

- Nie?

- Nie. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

- Jud, rozczarowujesz przyjaciół. Tak trudno cię uszczęśliwić. Nie chcesz pieprzyć cesarzowej Teodory, nie chcesz wziąć do łóżka Pulcherii Dukas, nie chcesz... zaraz pewnie mi

powiesz, że Eudoksji też nie chcesz!

- Nie przeszkadza mi pieprzenie twojej przodkini - powiedziałem z uśmiechem. - Nie przeszkodziłoby mi nawet, gdyby Eudoksja urodziła moje dziecko. Jakbyś się czuł, gdyby okazało się, że jestem twoim praprapradziadem?

- Niemożliwe - orzekł Metaxas.

- A to czemu?

- Ponieważ Eudoksja pozostanie niezamężna i bezdzietna aż do 1109 roku. Poślubi Bazylego Stratociosa, w ciągu następnych piętnastu lat urodzi mu siedmiu synów i trzy córki. Jedno z jej dzieci to mój przodek. Chryste, ale będzie gruba!

- Wszystko to można zmienić.

- Za cholerę! Myślisz, że nie strzegę mego drzewa genealogicznego? Myślisz, że nie wymażę cię z historii, jeśli odkryję, że dokonujesz zmian w czasie dotyczącym jej małżeństwa? Pozostanie bezdzietna, póki Bazyli nie zabierze się do roboty, i już. Ale dziś w nocy możesz ją mieć.

No i ją miałem. Przekraczając wszystkie zapisane w annałach historii reguły gościnności,

Metaxas przysłał mi do łóżka swą prapra... i tak dalej babcię. Jej smukłe ciało było dla mnie trochę za

smukłe, jej małe twarde piersi zaledwie wypełniały mi dłonie, ale rzeczywiście okazała się tygrysią.

Była samą energią, samą pasją. Wskoczyła na mnie i sama doprowadziła się do orgazmu w dwudziestu szybkich podskokach, lecz był to zaledwie początek. Świtało, kiedy zapadaliśmy w sen.

We śnie zobaczyłem samego siebie, odprowadzanego przez Metaxasa do pałacu Dukasów i przedstawiającego mnie memu praprapra... dziadkowi Leonowi. Leon powitał mnie uprzejmie, a potem powiedział: "To moja żona, Pulcheria". We śnie wydawało mi się, że spotkałem najpiękniejszą dziewczynę na świecie.

Podczas następnej wycieczki przeżyłem pierwsze trudne chwile jako kurier. Ponieważ byłem zbyt dumny, by wezwać na pomoc Patrol, wywołałem paradoks duplikacji, a także otarłem się o paradoks przeniesienia. Sądzę jednak, że mimo wszystko wybrnąłem z kłopotów całkiem nieźle. Kiedy zdarzyły się kłopoty, byłem z dziewiątką turystów w roku 1096, obserwując przybycie do Bizancjum pierwszej wyprawy krzyżowej.

- W 1095 roku - mówiłem - papież Urban II wezwał do wyzwolenia Ziemi Świętej z rąk Saracenów. Wkrótce potem europejscy rycerze zaczęli składać ślubowanie udziału w krucjacie. Wśród tych, którzy z radością powitali perspektywę wojny z niewiernymi, był bizantyński cesarz Aleksey, który uznał ją za sposób odebrania Turkom i Arabom utraconych przez cesarstwo ziem na Bliskim Wschodzie. Przesłał wiadomość, że z radością przyjmie kilkuset wyćwiczonych rycerzy, zdolnych pomóc mu wybić niewiernych. Otrzymał jednak więcej, niż sobie życzył, co zobaczymy za chwilę, w 1096 roku.

Skoczyliśmy do pierwszego sierpnia 1096 roku.

Weszliśmy na miejskie mury. Na zewnątrz dostrzegliśmy tłum, nie zakuty w stal rycerzy jednak, lecz obdartych wieśniaków.

- To krucjata chłopska - powiedziałem. - Podczas gdy zawodowcy biedzili się nad logistyką marszu, chudy, śmierdzący, charyzmatyczny karzeł znany jako Piotr Pustelnik zgromadził wokół siebie tysiące biedaków i poprzez całą Europę poprowadził ich do Bizancjum. Po drodze mordowali, kradli i niszczyli; zniszczyli między innymi połowę zbiorów zbóż ówczesnej Europy, a także wdali się w spór z bizantyńskim administratorem i spalili Belgrad, lecz w końcu trzydziestotysięczna rzesza dotarła na miejsce.

- Który z nich to Piotr Pustelnik? - zapytała najbardziej hałaśliwa i nieokrzesa w tej wycieczce, gruba, czterdziestoparoletnia pani wolnego stanu z Des Moines nazwiskiem Marge Hefferin.

Sprawdziłem czas.

- Zobaczymy go za półtorej minuty. Aleksy wysłał kilku urzędników, by zaprosili go na cesarski dwór. Pragnie, by Piotr i jego banda pozostali w Bizancjum oczekując przybycia rycerzy i baronów, bo dostojni sojusznicy zostaliby wyrżnięci przez Turków, gdyby sami zapuścili się do Azji Mniejszej. O, patrzcie, idzie Piotr.

Dwóch wymuskanych bizantyńskich arystokratów wyłoniło się z tłumu, najwyraźniej wstrzymując oddech; sprawiali zresztą wrażenie, że najchętniej w ogóle zatkaliby nosy. Pomiedzy nimi maszerował obdarty, bosy, brudny karzeł o końskiej szczęce, z twarzą zeszeconą dziobami po ospie, ubrany w łachmany. Oczy mu płonęły.

- Piotr Pustelnik udaje się na audiencję do cesarza - wyjaśniłem.

Skoczyliśmy trzy dni z prądem. Krucjata chłopska dostała się w obręb murów miejskich i urządziła cesarskim poddanym krwawą łaźnię. Wiele budynków płonęło. Dziesięciu krzyżowców zrywało ołowiany dach z jednego z kościołów; ołów był wówczas w cenie. Kobieta, najwyraźniej wysokiego rodu, która wyszła z Hagia Sophii, na naszych oczach została odarta z szat i zgwałcona przez bandę pobożnych pielgrzymów.

- Aleksy popełnił błąd wpuszczając tę hałastrę do miasta tłumaczyłem. - Negocjuje w tej chwili pozbycie się jej, oferując darmową przeprawę promową przez Bosfor do Azji. Przeprawa odbędzie się szóstego sierpnia. Ci krzyżowcy zaczną od masakry bizantyńskiej ludności Azji Mniejszej, a potem zaatakują Turków i zostaną po prostu starci z powierzchni ziemi. Gdybyśmy mieli czas, skoczylibyśmy w rok 1097 i przez morze, obejrzeć wznoszące się po obu stronach drogi góry kości. Taki był los krucjaty chłopskiej. Tymczasem zawodowcy są już w drodze.

Opowiedziałem o czterech armiach krzyżowych: armii Rajmunda z Tuluzy, armii księcia Roberta Normńskiego, armii Boemunda i Tankreda oraz armii Godfryda z Bouillon, Eustachiusza z Bouillon i Baldwina Lotaryńskiego. Niektórzy z moich turystów czytali co nieco o krucjatach i

kiwali głowami, rozpoznając imiona rycerzy.

Skoczyliśmy z prądem do ostatniego tygodnia roku 1096.

- Aleksy nauczył się czegoś z losów krucjaty chłopskiej - powiedziałem. - Nie planuje zatrzymywania krzyżowców w Konstantynopolu. Muszą oni przejść przez Bizancjum w drodze do Ziemi Świętej, ale powinni właśnie przejść, przejść jak najszybciej. Ponadto przed wpuszczeniem do miasta rycerzy zamierza związać ich przywódców przysięgą wasalną.

Obserwowaliśmy armię Godfryda z Bouillon, rozbijającą obóz pod murami miasta.

Obserwowaliśmy poselstwa wędrujące do i od cesarza. Aleksy żądał złożenia przysięgi, Godfryd złożenia przysięgi odmawiał. Dzięki starannemu doborowi faktów, cztery miesiące zmieściłem w godzinie, ukazując przy tym, jak rodzi się nieufność między chrześcijańskimi krzyżowcami i chrześcijańskim cesarzem, z założenia współpracującymi w dziele wyzwolenia Ziemi Świętej.

Godfryd nadal odmawiał złożenia przysięgi; Aleksy już nie tylko odmawiał wpuszczenia łacińskich rycerzy do miasta, ale wręcz odciął ich obóz od świata sądząc, że głodem zmusi przeciwników do ustępstw. Baldwin Lotaryński napadał na przedmieścia, Godfryd wziął w niewolę oddział żołnierzy przeciwnika i kazał wszystkich zamordować pod miejskimi murami.

Drugiego kwietnia krzyżowcy rozpoczęli oblężenie Konstantynopola.

- Zauważcie, jak łatwo obronili się Bizantyńczycy - mówiłem. - Aleksy stracił cierpliwość i wysłał do walki swych najlepszych żołnierzy. Rycerze, nie umiejący jeszcze walczyć wspólnie, uciekli. W Wielką Niedzielę Godfryd i Baldwin ustąpili wreszcie i złożyli przysięgę. Teraz wszystko jest już dobrze. Cesarz wyda na cześć krzyżowców ucztę, a potem szybko przetransportuje ich przez Bosfor. Wie, że za kilka dni pojawi się druga armia - armia Boemunda i Tankreda.

Na dźwięk tych imion Marge Hefferin wydała z siebie chrapliwe westchnienie, które doprawdy powinno mnie ostrzec, że dzieje się coś niedobrego.

Skoczyliśmy do dziesiątego kwietnia, by obserwować drugą falę krzyżowców. Pod murami

miasta znów obozowało wielotysięczne wojsko. Rycerze przechadzali się dumnie w zbrojach i płaszczach, a kiedy zaczęli się nudzić, żartobliwie płatali się mieczami i rozwalali sobie łby maczugami.

- Który z nich to Boemund? - spytała Marge Hefferin.

Rozejrzałem się.

- Tam jest - powiedziałem, wskazując palcem.

- Ooooooch!

Rzeczywiście, Boemund robił wrażenie. Miał dobre dwa metry wzrostu; jak na swoje czasy był prawdziwym gigantem. Szerokie ramiona. Potężna pierś. Krótko przycięte włosy, przedziwnie biała cera, niedbały krok. Ponury, twardy, niebezpieczny facet.

Boemund był też sprytniejszy od wszystkich krzyżowców razem wziętych. Zamiast kłócić się z Aleksym, natychmiast złożył przysięgę. Przysięgi były dla niego tylko słowami, a po co zreć się o słowa, kiedy można mieczem wyrąbać sobie w Azji księstwo? Niemal natychmiast dostał więc pozwolenie wejścia do Konstantynopola. Zabrałem moich podopiecznych pod bramę, żeby mogli bliżej mu się przyjrzeć. I to był błąd.

Krzyżowcy wkroczyli do miasta dumnie. Szli po sześciu w rzędzie, pieszo.

Pojawił się Boemund. Marge Hefferin wyrwała się z grupy. Rozerwała tunikę, pokazując światu wielkie białe cycki. Sądzę, że uznała je za coś w rodzaju reklamy swej osoby. Ruszyła biegiem w kierunku ukochanego rycerza, wrzeszcząc piskliwie:

- Boemundzie, Boemundzie, Kocham cię! Kocham cię, zawsze cię kochałam! Weź mnie!

Uczyni mnie swą niewolnicą, Kochany mój!

Boemund gapił się na nią z niedowierzaniem. Sądzę, że po prostu niepomiernie zdumiał go widok wielkiej, gołej, wrzeszczącej baby, biegnącej w jego kierunku. Marge nie miała jednak szansy podejść do niego bliżej niż na pięć metrów. Jeden z idących przed nim rycerzy zdecydował, że to z

pewnością próba zamachu, wbił sztylet wprost pomiędzy wielkie cyce turystki, powstrzymując jej szaleńczą szarżę. Marge zatoczyła się w tył, skrzywiła. Spomiędzy jej rozwartych warg ciekła krew. Padała już, kiedy inny rycerz zamachnął się mieczem i praktycznie przeciął ją na pół. Na chodnik wylały się dymiące wnętrzności.

Zamieszanie trwało może piętnaście sekund. Nie zdążyłem nawet drgnąć. Stałem jak wmurowany w ziemię myśląc tylko o jednym - że tak oto kończy się prawdopodobnie moja kurierska kariera. Utrata turysty to najgorsza rzecz, jaka może spotkać kogoś z nas, z wyjątkiem tylko przestępstwa czasowego.

Musiałem działać szybko.

- Nie wolno wam choćby krokiem ruszyć się z tego miejsca. To rozkaz! - warknąłem.

Miałem prawo oczekiwać ich całkowitego posłuszeństwa. Moi podopieczni stali w ciasnej grupce, rozhisteryzowani. Tulili się do siebie, szlochali, rzygali i drżeli jak galareta. Szok przytrzymał ich na miejscu przez kilka minut - miałem więcej czasu, niż potrzebowałem.

Ustawiłem timer na dwie minuty pod prąd. Skoczyłem i oto stałem za samym sobą.

Zauważyłem przede wszystkim wielkie odstające uszy, ale nimi się nie zajmowałem. Patrzyłem, jak w perspektywie ulicy pojawia się Boemund. Turystów miałem po obu swych stronach; Marge, wspięta na palce, by lepiej widzieć swego idola, już rozrywała tunikę.

Przesunąłem się i stanąłem wprost za jej plecami.

Gdy tylko zrobiła krok przed siebie, wyciągnąłem ręce, lewą złapałem ją za tyłek, prawą za cycek.

- Zostań, gdzie jesteś, albo pożałujesz - szepnąłem.

Wyrywała mi się, wiała jak szalona. Wbiłem palce głęboko w jej tłusty zad i nie popuściłem.

Obróciła się, zobaczyła, że to ja zaatakowałem ją tak bezceremonialnie i - sparaliżowana zdumieniem wpatrzyła się w stojącego obok drugiego mnie. Ochota do walki odeszła jej jak ręką

odjął. Wyszeptałem jeszcze jedno ostrzeżenie, minęło kilka sekund, Boemund minął nas i już było po wszystkim.

Puściłem ją, nastawiłem timer na sześćdziesiąt sekund i skoczyłem z prądem.

Swych turystów opuściłem na mniej niż minutę. Prawdę mówiąc, spodziewałem się, że zastanę ich dławiących się i rzygających na rozplatanego trupa Marge Hefferin, ale montaż czasu udał mi się bezbłędnie. Na ulicy nie było żadnego trupa. Maszerujący żołnierze nie deptali po flakach. Marge stała z grupą, potrząsając głową jak ktoś obudzony ze snu. Machinalnie masowała sobie tyłek. Tunikę miała rozchyloną; widziałem odciski mych palców na miękkiej kuli jej prawej piersi.

Czy ktoś z nich podejrzewał, co się w ogóle stało? Nie, nie. Nie pozostał im nawet okrucieństwo pamięci po tym, co zaszło. Moi turyści nie doświadczyli paradoksu przemieszczenia, ponieważ nie wykonali skoku w skoku wraz ze mną, więc tylko ja znałem fakty, które im wywietrzały z głowy, tylko ja z całą jasnością zdawałem sobie sprawę z zajścia pewnego krwawego zdarzenia, które stało się teraz nie zdarzeniem.

- Z prądem! - wrzasnąłem. Skoczyliśmy w rok 1098.

Ulica była pusta, cicha. Krzyżowcy już dawno wynieśli się z miasta i teraz pracowiciele oblegali Antiochię. Był zmierzch upalnego letniego dnia, naszego nieoczekiwanego przybycia nie widział nikt.

Marge była jedyną poza mną osobą, która zdawała sobie sprawę, że zdarzyło się coś dziwnego. Pozostali turyści nie mieli o niczym pojęcia, ona jednak wiedziała, że za jej plecami zmaterializował się drugi Jud Elliott i przeszkodził jej w wybiegnięciu na ulicę.

- Coś ty, do cholery, zamierzała zrobić? - spytałem ją. - Miałaś właśnie wyskoczyć na ulicę i rzucić się w ramiona Boemunda, prawda?

- Nic na to nie poradzę. To był nagły odruch. Zawsze kochałam Boemunda, wiesz? Był moim

bohaterem, moim bogiem... przeczytałam wszystko, co ktokolwiek o nim napisał... i kiedy pojawił się tuż przede mną...

- Pozwól, że opowiem ci, jak to wyglądało naprawdę - zdałem jej bardzo dokładną relację, jak została zabita, a także jak zmontowałem przeszłość i jak zepchnąłem fakt jej śmierci do linii równoległej. - Chcę, żebyś wiedziała - dodałem jeszcze - że ożywiłem cię tylko po to, by nie stracić pracy. Kiepsko wygląda w aktach kuriera fakt, że nie potrafi upilnować swych ludzi. Gdyby nie to, zostałabyś tam, na ulicy, wypatroszona ze szczętem. Czy nie powtarzałem z milion razy, że nie wolno nam ujawniać się pod żadnym pozorem!?

Potem kazałem jej zapomnieć o tym, że wie, iż zmieniłem przebieg zdarzeń, by ocalić jej życie.

- Następnym razem, jeśli nie posłuchasz mojego polecenia - zakończyłem - to... - miałem zamiar powiedzieć, że wsadzę jej głowę w tyłek i zrobię z niej wstęgę Moebiusa, ale w ostatniej chwili uświadomiłem sobie, że kurier nie powinien odzywać się do klientów w ten sposób niezależnie od stopnia prowokacji - ... to unieważnię ci wycieczkę i natychmiast cofnę cię do naszej teraźniejszości, rozumiesz?

- Nigdy już nie zrobię niczego podobnego - wyszeptała Marge. - Przysięgam. Wiesz, teraz mam wrażenie, że prawie to widzę. Czuję wchodzący w ciało sztylet...

- To się nigdy nie zdarzyło.

- To się nigdy nie zdarzyło - powtórzyła potulnie.

- Z większym przekonaniem proszę. To się nigdy nie zdarzyło!

- To się nigdy nie zdarzyło! Ale mam wrażenie, że prawie się zdarzyło.

38.

Noc spędziliśmy wszyscy w gospodzie, w 1098 roku. Byłem do tego stopnia spięty i wyczerpany po tak delikatnej robocie, że gdy moi ludzie spali, zdecydowałem się skoczyć w rok

1105, by wpaść do Metaxasa. Nie wiedziałem, czy jest akurat w swojej willi, ale warto było spróbować. Musiałem, po prostu musiałem wypocząć.

Bardzo uważnie zaprogramowałem timer.

Ostatnia przerwa Metaxasa zaczęła się na początku listopada 2059 roku. Skoczył wówczas do połowy sierpnia 1105. Założyłem, że spędził tam dziesięć do dwunastu dni. Jeśli tak, to powróciłby w 2059 pod koniec listopada. Założywszy, że wziął kolejną grupę na dwutygodniową wycieczkę, wróci do willi około 15 września 1105.

Wyznawałem cnotę ostrożności, więc skoczyłem do dwudziestego września.

Trudno dać wiarę, ale w erze efektu Benchleya łatwiej przenieść się o siedem lat w czasie niż o kilkanaście kilometrów w przestrzeni bizantyńskich przedmieść. Dla mnie był to poważny problem. Nie dysponowałem rydwanem, a w XII wieku doprawdy trudno o taksówki.

Spacerek? Co za idiotyczny pomysł!

Rozważałem właśnie sensowność udania się do najbliższej gospody i pomachania sakiewką bezanów przed nosem jakiegoś niezależnego woźnicy, gotowego dowieźć mnie w okolice, w której stała willa Metaxasa. Stałem, zastanawiałem się i nie potrafiłem podjąć decyzji, kiedy usłyszałem znajomy głos wrzeszczący na całe gardło.

- Herr Kurier Elliott! Herr Kurier Elliott!

Odwrociłem się. Był to dyplomowany uczonej Speer we własnej osobie.

- Guten Tag, Herr Kurier Elliott - przywitał mnie.

- Guten... - zachłysnąłem się, przerwałem i powitałem go w nieco bardziej bizantyński sposób. Uśmiechnął się z wyższością widząc, jak bardzo pragnę dostosować się do obowiązujących reguł postępowania.

- Co za udaną wizytę miałem - pochwalił się. - Od kiedy cieszyłem się pana towarzystwem, znalazłem "Thamyrasa" Sofoklesa, a także "Melanippe" Eurypidesa oraz częściowo zachowany tekst

czegoś, co według mnie może być tylko "Archelaosem" Eurypidesa. No i jest jeszcze jakiś "Helios" Ajschylosa, o którym nigdzie nie ma wzmianek. Więc może to fałszerstwo, choć z drugiej strony możliwe, że dokonaliśmy nowego odkrycia. Zorientuję się dopiero po wnikliwej lekturze. Owocna wizyta, co?

- Bardzo - powiedziałem posłusznie.

- A teraz wracam do willi naszego przyjaciela Metaxasa, tylko przedtem muszę jeszcze dokonać niewielkiego zakupu w tym sklepie z przyprawami. Czy pójdzie pan ze mną?

- A pan co, na kółkach?

- Was meinen Sie mit "kółkach"?

- Środek transportu. Rydwan.

- Natürlich! Tam stoi. Czeka na mnie rydwan mit kierowca, od Metaxasa.

- Cudo! - powiedziałem. - Proszę zrobić zakupy, a potem razem pojedziemy do Metaxasa, dobrze?

Sklep był mroczny, mocno w nim pachniało. Towar: oliwki, orzechy, daktyle, figi, rodzynki, pistacje, sery i przyprawy różnego rodzaju, mielone i niemielone, wystawione były na sprzedaż w beczkach, baryłkach, dzbanach, flaszkiach i koszykach. Speer, najwyraźniej działając na prośbę kucharza Metaxasa, kupił to i owo, po czym zaprezentował właścicielowi sakiewkę pełną bezanów. Tymczasem na ulicy zatrzymał się ozdobny rydwan, z którego wysiadły, kierując się do sklepu, trzy osoby. Jedną z nich była niewolnica, najwyraźniej mająca nosić zakupy, drugą kobieta w dojrzałym wieku, w prostej szacie, pewnie duenna; w każdym razie sprawiała wrażenie smoka, którego każdy mąż chętnie przydzieliłby wybierającej się na zakupy żonie. Trzecią osobą była żona we własnej osobie, kobieta niewątpliwie szlchetnego rodu, która wybrała się na wycieczkę do miasta. I żona ta była nieprawdopodobnie wręcz piękna.

Od razu zorientowałem się, że ma nie więcej niż siedemnaście lat. Jej uroda była urodą

śródziemnomorskiej arystokratki: smukłe ciało, wielkie, ciemne lśniące oczy, długie rzęsy, jasnooliwkowa cera, pełne usta, wydatny nos, a wszystko to z dodatkiem aroganckiego, w pełni arystokratycznego zachowania. Szata z białego jedwabiu ujawniała raczej niż ukrywała wysokie, duże piersi oraz miękkie ciało o kuszących kształtach. Dama ta była esencją kobiecości, kobietą moich marzeń, wcieloną w formę idealną.

Zagapiłem się na nią. Bezwstydnie.

Zagapiła się na mnie. Bezwstydnie.

Nasze spojrzenia spotkały się i znieruchomiały, przemknęło między nami coś jak najczystsza energia, zadrzałem, kiedy ugodził we mnie jej cios. Dziewczyna uśmiechnęła się lekko, zaledwie kącikami ust, obnażyła dwa lśniące ząbki. Był to uśmiech zaproszenia, uśmiech pożądania.

Niemal niezauważalnie skinęła do mnie głową, a potem odwróciła się, rozkazała przynieść sobie to, to i jeszcze odrobinę tego, a ja nie mogłem przestać się na nią gapić, aż wreszcie wpadłem w

oko duennie, która patrzyła na mnie wściekle, ostrzegawczo.

- W drogę! - powiedział zniecierpliwiony Speer. - Rydwan czeka i...

- To niech poczeka!

Zmusiłem go, żeby został w sklepie, póki piękność nie zrobi zakupów. Patrzyłem za nią; nawet gdy wreszcie wyszła na dwór, nie potrafiłem wręcz spuścić wzroku z delikatnych poruszeń jej obciągniętej jedwabiem pupki. Kiedy znikła mi z oczu, odwróciłem się, skoczyłem na właściciela i złapałem go za przegub ręki.

- Jak się nazywa ta kobieta?! - warknąłem.

- Panie... to... tajemnica handlowa...

Rzuciłem na ladę złotą monetę.

- Jak się nazywa?

- Pulcheria Dukas - stęknął właściciel. - Jest żoną powszechnie znanego i szanowanego Leona

Dukasa, który...

Jęknąłem i wypadłem ze sklepu.

Rydwan Pulcherii oddalał się szybko w stronę Złotego Rogu.

Speer wybiegł za mną.

- Czy pan jest w dobrym zdrowiu, panie kurierze Elliott? spytał z troską w głosie.

- Nie - odparłem zgodnie z prawdą. - Jestem w bardzo złym zdrowiu. Pulcheria Dukas... to była Pulcheria Dukas...

- No i co z tego?

- Kocham ją, Speer. Potrafisz to w ogóle zrozumieć?

- Rydwan czeka - odparł Speer. Twarz miał kamienną.

- Niech czeka. Nie jadę z tobą. Przekaż Metaxasowi najlepsze życzenia.

Z tymi słowy pobiegłem ulicą, bezmyślnie i bez planu; głowę (i krocze) pełne miałem wyłącznie Pulcherii. Drżałem. Pot ściekał mi po ciele strugami. Szlochałem. W końcu zderzyłem się z murem któregoś z kościołów, przycisnąłem policzek do chłodnego granitu, złapałem timer i skoczyłem z powrotem do mych turystów, śpiących spokojnie w 1098 roku.

39.

Do końca wycieczki byłem bardzo kiepskim kurierem. Ponurym, milczącym, zakochanym i niepewnym, gdzie i kiedy się znajduje. Pokazałem mym ludziom wszystkie standardowe wydarzenia, zdobycie miasta przez Wenecjan w 1204, podbój turecki w 1453, ale mechanicznie, bez serca. Może nie obchodziło ich, że dostają minimum opłaconej usługi, a może w ogóle się w tym nie zorientowali? Może uważali, że wszystkiemu winna jest bezustannie sprawijająca jakieś kłopoty Marge Hefferin? Lepiej czy gorzej, ale przeprowadziłem ich wycieczkę i bezpiecznie dostarczyłem w naszą teraźniejszość 2059 roku.

Znów miałem przerwę, a w duszy płonął mi ogień pożądania.

Co mam teraz zrobić? Skoczyć w 1105? Przyjąć ofertę Metaxasa, pozwolić, by przedstawił mnie Pulcherii?

Pomyślałem o tym i aż mnie odrzuciło.

Zasady Patrolu Czasowego wyraźnie zakazują jakiegokolwiek fraternizacji między kurierami (czy też, szerzej, osobami podróżującymi w czasie) a zwykłymi, żyjącymi pod prądem ludźmi. Z ludźmi z przeszłości wolno nam nawiązywać wyłącznie niezobowiązujące, przypadkowe kontakty. Wolno nam kupić torbę oliwek, spytać o drogę do Hagia Sophii i tak dalej. Nie ma mowy o przyjaźniach, nie ma mowy o filozoficznych dyskusjach, nie ma mowy o stosunkach seksualnych z obywatelami minionych epok.

A już zwłaszcza w przypadku przodków.

Tabu kazirodztwa jako takie niezbyt mnie obchodziło; jak wszystkie inne tabu sporo straciło ostatnio na wartości i choć wahałbym się przed pójściem do łóżka z matką lub siostrą, nie widziałem żadnego racjonalnego powodu, by nie pójść do łóżka z Pulcheria. Może i powstrzymywały mnie przed tym jakieś resztki rodzinnego purytanizmu, doskonale zdawałem sobie jednak sprawę, że w momencie kiedy Pulcheria znajdzie się w zasięgu ręki, nie pozostanie po nich ani śladu.

Przed podjęciem zdecydowanych działań skutecznie powstrzymywał mnie jednak uniwersalny środek na wstrzymanie, czyli strach przed karą. Gdyby Patrol przyłapał mnie w łóżku z praprapra... babcią, z pewnością straciłbym pracę, prawdopodobnie trafiłbym do więzienia, a może zostałbym nawet zagrożony karą pierwszego stopnia za przestępstwo czasowe, na podstawie uzasadnionego domniemania, że pragnąłem zostać swym własnym przodkiem. Ta możliwość doprawdy mnie przerażała.

Jakim cudem miałyby udać się im mnie złapać? Istniały przeróżne możliwości.

1. Zdobywam zaproszenie do Pulcherii. Jakimś cudem udaje mi się zostać z nią sam na sam.

Sięgam po nią, ona krzyczy, goryle rodziny łapią mnie na gorącym uczynku i skazują na śmierć. Nie

zgłaszam się po przerwie. Patrol badający okoliczności mego zniknięcia odkrywa, co się stało, ratuje mnie, po czym wnosi skargę o dokonanie przestępstwa czasowego.

2. Zdobywam zaproszenie i tak dalej. Uwodzę Pulcherię. W momencie wspólnego orgazmu do sypialni wpada mąż z mieczem w dłoni. Reszta jak wyżej.

3. Zakochujemy się w sobie z Pulcheria do tego stopnia, że decydujemy się skoczyć w jakiś daleki punkt przeszłości, powiedzmy do roku 400 p. n. e. albo 1600, dokądkolwiek. Żyjemy sobie długo i szczęśliwie, póki nie łapie nas Patrol, nie dostarcza do odpowiedniego momentu w roku 1105 i nie wnosi oskarżenia o przestępstwo czasowe.

4...

Potrafiłem wymyślić jeszcze wiele scenariuszy, z których wszystkie kończyły się tak samo.

Oparłem się więc wszelkim pokusom spędzenia przerwy w roku 1105, w poszukiwaniu Pulcherii. W zamian za to, by zadośćuczynić memu ponuremu nastrojowi, skoczyłem w czas, w którym spełniało się każde niezdrowe pragnienie, czyli w czas czarnej śmierci.

Tylko najdziwniejsi, Najbardziej niezwykli lub najbardziej zboczeni ludzie płacili za wycieczkę w czas epidemii; innymi słowy, na taką wyprawę trzeba zapisywać się w długiej kolejce. Jako kurier mający akurat wolne wyrzuciłem jednak z kolejki kogoś płacącego żywą gotówką i załapałem się wraz z najbliższą grupą.

Obsługujemy cztery regularne trasy czarnej śmierci. Jedna zaczyna się na Krymie w 1347 roku i ukazuje postępy zarazy w Azji. Najważniejszym jej momentem jest oblężenie Kaffy, genueńskiego portu na wybrzeżu Morza Czarnego, przez Dżanibega, chana Złotej Ordy. Ludzie Dżanibega umierali na dżumę i katapultami wrzucali szerniałe zwłoki do twierdzy przeciwnika, by zarazić Genueńczyków. Ta rozrywka wymaga co najmniej rocznej rezerwacji.

Genueńczycy ponieśli zarazę dalej na zachód, w rejon Morza Śródziemnego. Druga

Wycieczka obejmuje Włochy jesienią roku 1347 i ukazuje rozprzestrzenianie się zarazy na Europę;

jej uczestnicy są między innymi świadkami palenia Żydów, których oskarżano o powodującą chorobę zatrucie studni. Trzecia ukazuje Francję roku 1348, czwarta zaś Anglię roku 1349. Biuro rezerwacji znalazło mi miejsce na czwartą z wycieczek, czyli Anglię. W południe kapsuła przetransportowała mnie do Londynu, gdzie na dwie godziny przed skokiem dołączyłem do grupy. Naszym kurierem był wysoki, wychudzony mężczyzna nazwiskiem Riley, charakteryzujący się krzaczastymi brwiami i zepsutymi zębami. Sprawiał wrażenie dziwaka, czego oczywiście należy się spodziewać po przewodnikach wycieczek w te szczególne czasy. Powitał mnie przyjaźnie, choć bynajmniej nie wesoło i zaraz załatwił mi odpowiedni kombinezon.

W zasadzie niczym nie różnił się on od kombinezonów kosmicznych, może oprócz czarnego koloru. Każdy wyposażony był w standardowy czternastodniowy wymiennik powietrza, jeść mieliśmy przez rurkę, odchody zaś wydalać w mocno kłopotliwy i żenujący sposób. Zakładano, oczywiście, że każdy z nas będzie hermetycznie odizolowany od środowiska. Turystom powtarzano, że jeśli rozepną kombinezony, choćby na dziesięć sekund, pozostawi się ich na zawsze w tej epoce i choć był to ewidentny błąd, nie znamy wypadku, by ktoś zmusił Służbę do wyłożenia kart.

Zaraza to jedna z niewielu tras operujących z i do wyznaczonego punktu. Nikt nie chce, by powracające grupy materializowały się gdzie popadnie, roznosząc bakterie i wirusy na kombinezonach, Służba Czasowa oznaczyła więc czerwoną farbą miejsce skoku w danej epoce dla każdej z czterech tras. Gotowa do powrotu grupa udaje się do właściwego jej punktu i dopiero z niego skacze z prądem. W ten sposób materializuje się zawsze wewnątrz hermetycznie zamkniętej kopuły; funkcjonariusze zabierają turystom kombinezony, po czym spryskują ich odpowiednimi środkami i dopiero potem pozwalają wrócić w szczęśliwy, zdrowy świat 2059 roku.

- Wkrótce zobaczycie coś - powiedział uroczyście Riley - co nie jest rekonstrukcją, co nie jest symulacją, co nie jest przybliżonym obrazem wydarzeń. Wkrótce zobaczycie zdarzenia prawdziwe, nie przesadzone przez scenarzystę.

Skoczyliśmy pod prąd.

40.

Odziani w czarne kombinezony, maszerowaliśmy gęsiego przez krainę śmierci.

Nikt nie zwracał na nas najmniejszej uwagi. W tych czasach nie wyglądaliśmy nawet niezwykle. Czarny kolor wydawał się więcej niż odpowiedni, a hermetyczne zamknięcia kombinezonów sprawiały wrażenie jeszcze logiczniejszych. Materiał może nie całkiem odpowiadał epoce, XIV wiekowi, ale nikogo to nie zainteresowało. W owym czasie mądrzy ludzie zamykali drzwi na skobel, ciekawość zaś poskramiano metodami dość radykalnymi.

Ci, którzy nas widzieli, zakładali zapewne, że jesteśmy kapłanami na modlitewnej pielgrzymce. Nasze ponure stroje, fakt, że szliśmy gęsiego przez tereny, na których czarna śmierć objawiała się w najbardziej okrutnej postaci - wszystko to naznaczało nas piętnem ludu Bożego lub może piętnem szatana, w każdym razie nikt nie ośmielił się wejść nam w drogę.

Dzwony grały swą ponurą muzykę, nieprzerwanie dzwoniły za dnia i przez część nocy. Świat był jednym wielkim pogrzebem. Londyn otaczała czarna poświata, przez cały czas naszego pobytu niebo pozostawało niezmiennie, szare niczym popiół. Nie to, by natura wspierała ponure wrażenie umierającej cywilizacji, to tylko stary, żaloszny banał, nie - w Anglii płonęły ognie, w których palono ubrania, domostwa i ciała zarażonych.

Widzieliśmy ofiary zarazy we wszystkich jej stadiach: począwszy od tych, które zataczając się wędrowały ulicami, a skończywszy na tych, które trzęsły się w konwulsjach, drżały, opływały potem.

- Początkowe objawy choroby - pouczył nas Riley, spokojnie i trzeźwo - to stwardnienie i puchnięcie gruczołów pod pachą i w pachwinach. Opuchlizna rośnie raptownie do rozmiarów jajka, w niektórych wypadkach jabłka. Spójrzycie proszę na tę kobietę... - wskazał młodą, obdartą, przerażoną biedaczkę. Obejmując opuchlizny obiema dłońmi, przemknęła obok nas i znikła w

perspektywie zasnutej mgłą uliczki. - Jako następne - kontynuował wykład Riley - pojawiają się ciemne plamy, najpierw na ramionach i udach, potem na całym ciele. Potem wrzody, których przecięcie nie przynosi ulgi. Do kolejnych objawów choroby należy zaliczyć delirium i szaleństwo. Śmierć następuje zawsze trzeciego dnia po pojawieniu się obrzęku. Popatrzcie proszę... - pokazał nam ofiarę ostatniego stadium, tarzającą się po ulicy, samotną - ... i tu... - rząd bladych twarzy, wpatrzonych w nas z okna - ... i tu... - stos ciał przed wrotami stajni.

Zamknięte domy. Zabarykadowane sklepy. Na ulicach widzieliśmy wyłącznie chorych, biegających szaleńczo tu i tam, szukających lekarza, księdza, cudotwórcy...

Z dala dobiegła nas chaotyczna, straszliwa muzyka: trąby, bębny, wiole, lutnie, całe średniowieczne instrumentarium, grające jednak nie miłą dla ucha średniowieczną melodię, lecz po prostu skrzypiące i wyjące. Riley sprawiał wrażenie szczerze zadowolonego.

- Zbliża się procesja biczowników - oznajmił zachwycony. Za mną, proszę. Czegoś takiego po prostu nie wolno przeoczyć.

Biczownicy zbliżali się, szli krętymi uliczkami, kobiety i mężczyźni obnażeni do pasa, brudni, okrwawieni, niektórzy grający na różnych instrumentach, większość uzbrojona w baty z zawiązanymi na rzemieniach supłami, biczujący, biczujący, niezmordowanie biczujący nagie plecy i ramiona, piersi, policzki, twarze. Śpiewali bezdźwięczne hymny, jęczeli w męce, zataczali się i parli przed siebie. Niektórzy biczujący i część biczowanych zdradzali już objawy zarazy, lecz ani jedni, ani drudzy nie zaszczycili nas nawet spojrzeniem, tylko szli, szli przed siebie aleją potępienia prowadzącą do opuszczonego przez wszystkich kościoła.

My zaś, szczęśliwi i zadowoleni z życia czasowi turyści, lawirując wśród zmarłych i umierających, też ruszyliśmy przed siebie, nasz kurier bowiem życzył sobie, byśmy nasycili się nieszczęściem.

Widzieliśmy zwłoki ofiar zarazy, czerniejące na stosach, otwierające się, widzieliśmy

wylewające się wnętrzości...

Widzieliśmy stosy trupów gnijące na polach, gdzie je porzucono...

Widzieliśmy upiory, grzebiące wśród zwłok w poszukiwaniu czegokolwiek wartościowego...

Widzieliśmy chorego mężczyznę atakującego kobietę w ostatnim stadium dżumy, przewracającego ją, rozwierającego jej uda w ostatnim rozpaczliwym akcie pożądania...

Widzieliśmy księży uciekających konno przed parafianami błagającymi o zmiłowanie niebios...

Weszliśmy do któregoś z zamków, by obserwować, jak przerażeni chirurdzy puszczają krew swemu umierającemu księciu...

Widzieliśmy procesję dziwnych, na czarno ubranych istot przecinających pod kątem trasę naszej wędrówki, istoty te twarze ukryte miały pod odbijającymi światło kaskami; zadrżeliśmy wobec groteskowość! tych koszmarnych pielgrzymów, demonów bez oblicza. Nie od razu zdaliśmy sobie sprawę, że nasza trasa przecięła się z trasą jakiejś innej grupy...

Riley gotów był z beznamiętną statystyką.

- Śmiertelność w trakcie epidemii czarnej śmierci - okazała się - wynosiła od jednej ósmej do dwóch trzecich populacji danego regionu. Jeśli chodzi o Europę, z naszych obliczeń wynika, że zmarła czwarta część jej populacji. Obliczając według kryteriów ówczesnego świata, śmiertelność sięgnęła trzydziestu trzech procent. Można powiedzieć, że gdyby taka plaga padła na nasz dzisiejszy świat, jej ofiarą stałyby się przeszło dwa miliardy ludzi.

Widzieliśmy, jak z sielskiego, krytego strzechą domu wychodzi kobieta, układając w rzędzie, na ulicy, ciała pięciorga dzieci. Wydział Oczyszczania Miasta dzięki niej będzie miał mniej roboty.

- Arystokracja znikła z powierzchni ziemi, pozostawiając po sobie próżnię w prawie spadkowym - oświecał nas Riley. - W kulturze śmierć malarzy jednej szczególnej szkoły, poetów, uczonych mnichów, pozostawiła próżnię nie do zapełnienia. Najważniejszy był jednak długotrwały

efekt psychologiczny; przez pokolenia przetrwała wiara, według której w połowie XIV stulecia uczyniono coś, co ściągnęło na ludzi gniew Boży. Wierzono, że w każdej chwili Bóg znów może okazać gniew.

Byliśmy właśnie publicznością masowego pogrzebu, podczas którego dwóch młodych, przerażonych kapłanów wymamrotało modlitwy nad setką wzdętych, szerniałych ciał, zadzwoniło w maleńkie dzwonki, pokropiło zgromadzonych wodą święconą i nakazało kościelnym rozpać stos.

- Dopiero w XVI wieku populacja osiągnęła poziom sprzed roku 1348 - uświadomił nas Riley.

Nie potrafię powiedzieć, jaki wpływ na resztę grupy miał ten koszmar; w końcu okrywały nas kombinezony. Turyści byli prawdopodobnie podminowani, zafascynowani. Mówiono mi, że prawdziwy fan czarnej zarazy wykupuje wszystkie cztery wycieczki we właściwej kolejności, poczynając od Krymu; wielu z nich przeszło te czasy pięć albo i sześć razy. Jeśli chodzi o mnie, przeżyłem coś w rodzaju pomniejszego szoku. Jakoś tak dopasowałem się do wszechobecnej potworności śmierci. Mam wrażenie, że prowadząc wycieczkę po raz któryś tam, byłbym równie zrównoważony i flegmatyczny jak Riley, nasza fontanna mądrości i danych statystycznych.

Pod koniec podróży po piekle dotarliśmy do Westminsteru. Na chodniku przed pałacem Służba Czasowa wyznaczyła czerwony krąg o promieniu pięciu metrów. Stąd mieliśmy skoczyć. Zebraliśmy się w jego środku. Pomogłem Rileyowi ustawić timery - na tego typu wycieczkach nosi się je na ubraniu. Dał sygnał i skoczyliśmy.

Kilka ofiar zarazy, zgromadzonych wokół pałacu, było świadkami naszego skoku. Wątpię, czy zrobiło im to jakąś różnicę. Gdy cały świat ulega zagładzie, kogo obchodzić mógł widok dziesięciu czarnych, rozpływających się w powietrzu demonów.

41.

Pojawiliśmy się pod lśniącą kopułą. Oddaliśmy funkcjonariuszom nasze skażone

kombinezony i wyłonił się na świat oczyszczeni i uszlachetnieni tym, co widzieliśmy. Nadal jednak nosiłem pod powiekami obraz Pulcherii. Niespokojny, zmęczony, próbowałem walczyć z pokusą.

Skoczyć z powrotem w rok 1105? Pozwolić Metaxasowi na zawarcie układu, który wprowadzi mnie do domostwa Dukasów?

Przespać się z Pulcheria, co niewątpliwie przyniosłoby mi wielką ulgę?

Nie! Nie, nie, nie!

Walcz z pokusą. Skieruj ją gdzie indziej. Zamiast Pulcherii, wypieprz cesarzową!

Pospiesznie wróciłem do Stambułu i skoczyłem pod prąd do roku 537. Poszedłem do Hagia Sophii, by wyłapać Metaxasa na ceremonii konsekracji.

Metaxasów mi nie brakowało; byli w tłumie wszędzie. Zauważyłem ich przynajmniej dziesięciu. (Dostrzegłem także trzech Judów Elliottów, a przecież na nich w ogóle nie zwracałem uwagi). Przy dwóch pierwszych wpadłem jednak w paradoks nieciągłości; żaden mnie nie znał.

Jeden zmarszczył się, skrzywił, drugi powiedział po prostu: Jeszcze się nie poznaliśmy. Spadaj!". Za trzecim razem trafiłem jednak na Metaxasa, który mnie rozpoznał; umówiliśmy się na ten wieczór w gospodzie, gdzie nocował wraz ze swą grupą. Był akurat pod prądem, w roku 610; miał zamiar pokazać swym podopiecznym koronację cesarza Herakliusza.

- Dobra - powiedział. - A z jakiego czasu właściwie jesteś?

- Początek grudnia, 2059.

- No to cię wyprzedziłem - stwierdził ten Metaxas. - Ja bazuję na lutym 2060. Rozbiegliśmy się w czasie.

To mnie mocno przeraziło. Ten człowiek znał dwa i pół miesiąca z mej przyszłości. Reguły przyzwoitości wymagały, by zachował tę wiedzę dla siebie, w końcu było możliwe, że umarłem w styczniu roku 2060, lecz choćby ten Metaxas znał wszystkie szczegóły, nie wolno mu było nawet o

nich wspomnieć. Niemniej jednak różnica w czasie wydała mi się przerażająca.

Niewątpliwie ten Metaxas zdawał sobie z tego sprawę.

- Chcesz się cofnąć i znaleźć innego? - spytał.

- Nie. Wszystko w porządku. Sądzę, że jakoś sobie z tym poradzimy.

Twarz miał niczym kamienna maska. Grał zgodnie z regułami gry; ani słowem, ani miną nie miał zamiaru zareagować na coś, cokolwiek powiem, a co mogło doprowadzić do ujawnienia mej przyszłości.

- Powiedziałeś kiedyś, że mogę mieć cesarzową Teodorę przypomniałem mu.

- Pamiętam to, owszem.

- Wtedy odmówiłem. Teraz chciałbym spróbować.

- Nie ma sprawy - orzekł Metaxas. - Skoczmy do 535, dobra? Justynian będzie zajęty budową Hagia Sophii. Z Teodora nie powinno być problemów.

- Jakich problemów?

- Żadnych - powiedział pewnie.

Skoczyliśmy. Pewnego chłodnego, wiosennego dnia 535 poszedłem z Metaxasem do

Wielkiego Pałacu. Mój przewodnik znalazł tłustego, nieco eunuchowatego faceta imieniem

Anastazy, a potem wdał się z nim w gwałtowną na pozór dyskusję. Anastazy był najwyraźniej

głównym dostawcą dla cesarzowej w tym roku na jego barkach spoczywała odpowiedzialność za

znalezienie jej od jednego do dziesięciu młodych ludzi na noc. Metaxas i Anastazy rozmawiali

dyskretnie, cicho, od czasu do czasu wybuchając wściekłością; o ile dobrze zrozumiałem, Anastazy

gotów był dać mi godzinę, a mój mentor nalegał na noc. Nieco mnie to zaniepokoiło. Nic mi nie

brakuje, oczywiście, ale czy dam radę zabawić jedną z najstynniejszych w historii nimfomanek od

zmiernych do świtu? Gestami starałem się dać do zrozumienia Metaxasowi, by zawarł układ na nieco

mniej... hm, wymagających warunkach, Metaxas jednak naciskał dalej i w końcu Anastazy przystał

na cztery godziny z cesarzową.

- Jeśli się zakwalifikuje - zastrzegł na koniec.

Test zdałem pod okiem energicznej dziwki imieniem Feocja, jednej z cesarskich dam do towarzystwa. Anastazy obserwował nas przez cały czas, natomiast Metaxas wykazał się dobrym wychowaniem i wyszedł. Sądzę, że Anastazy nie mógł nic więcej, tylko patrzeć.

Feocja miała ciemne włosy, cienkie usta, duży biust i nienasycony apetyt. Widzieliście może kiedyś, jak rozgwiazda pożera ostrygę? Nie? W każdym razie spróbujcie to sobie wyobrazić. Ta dziewczyna była rozgwiazdą seksu. Ssała jak nie wiem co. Zostałem w niej, walczyłem z nią i wreszcie ją pokonałem, doprowadziłem do ekstazy. Przy okazji, jak przypuszczam, zdałem egzamin z wynikiem co najmniej powyżej średniej, Anastazy bowiem zakwalifikował mnie na spotkanie z cesarzową.

Miałem dla siebie cztery godziny.

Podziękowałem Metaxasowi. Mógł już wracać do swej grupy, pozostawionej w 610 roku.

Anastazy zajął się wszystkimi szczegółami. Wykąpano mnie, wyczesano, domyto, a także zmuszono do przełknięcia tłustej, gorzkiej substancji - podobo afrodyzjaku. Na godzinę przed północą wepchnięty wreszcie zostałem do sypialni cesarzowej Teodory.

Kleopatra... Dalila... Harlow... Lukrecja Borgia... Teodora...

Czy któraś z nich w ogóle istniała? Czy ich legendarne kobiece sztuczki miały odpowiednik w rzeczywistości? Czy to ja, Judson Daniel Elliott III, stoję obok łoża cesarzowej Bizancjum?

Znałem ją oczywiście z relacji Prokopa. Orgie na przyjęciach rangi państwowej.

Ekshibicjonistyczne występy w teatrze. Powtarzane do znudzenia opowieści o ciąży cesarzowej i corocznych, regularnych aborcjach. Przyjaciele i kochankowie zdradzeni i torturowani. Odcięte uszy, nosy, wargi, jądra i przeróżne członki tych, którzy ją rozczarowali. Ofiary na ołtarzu Afrodyty, składane w każdy otwór jej ciała. Jeśli choćby jedna opowieść na dziesięć była prawdziwa, jej zła nie

przewyższyło żadne zło w historii.

Była blada, cerę miała jasną, wielki biust, smukłą talię; wydała mi się zdumiewająco niska, czubkiem głowy zaledwie sięgała mi piersi. Zlewała się perfumami, niemniej wyczułem niedbale pod nimi ukryty nieomylny kobiecy zapach. Patrzyła na mnie trzeźwo, surowo zimnymi, ciemnymi, nieco wylupiastymi oczami - oczami nimfomanki.

Nie spytała mnie o imię. Kazała mi się rozebrać, obejrzała mnie uważnie i tylko skinęła głową. Niewolnica przyniosła nam ciężkie, oleiste wino w ogromnej amforze. Wypiliśmy jego większą część, a resztą Teodora natarła swe ciało.

- Zliź to - rozkazała.

Usłuchałem rozkazu. Usłuchałem także innych rozkazów. Gusta miała imponująco różnorodne; w ciągu dostępnych mi czterech godzin dostosowałem się do większości z nich. Nie były to może najbardziej przewrotne z czterech spędzonych przeze mnie z jakąś kobietą godzin, ale z pewnością plasowały się w czołówce. Jej pirotechnika mroziła mnie jednak. Było coś pustego, mechanicznego w sposobie, w jaki Teodora prezentowała mi się raz tak, raz inaczej, stawiając mnie przed problemami, które musiałem jakoś rozwiązać. Wyglądało to trochę, jakby wypracowała sobie scenariusz, zrealizowany już parę milionów razy.

W jakiś męczący sposób było to nawet interesujące, lecz bynajmniej nie fascynujące. Chodzi mi o to, że więcej spodziewałem się po tej nocy, spędzonej w łóżku jednej z najszlachetniejszych grzesznic w historii. Kiedy miałem czternaście lat, pewien starzec, od którego wiele dowiedziałem się o życiu, powiedział: "Wiesz, synu, jak przeleciałeś jedną, to przeleciałeś wszystkie".

Wówczas zaledwie zdążyłem pożegnać się z dziewictwem, ośmieliłem się jednak wyrazić swój sprzeciw. W pewien sposób nadal się z nim nie zgadzam, ale z roku na rok jesteśmy sobie coraz bliżsi. Kobiety znacznie się między sobą różnią, mają różne figury, różne temperamenty, różne techniki, różnie podchodzą do mężczyzn. Zwróćcie jednak uwagę na to, że miałem cesarzową

Bizancjum, samą Teodorę i po Teodorze jestem skłonny zgodzić się ze starcem. Jeśli przeleciało się jedną, to przeleciało się wszystkie.

42.

Wróciłem do Stambułu. Zgłosiłem się do pracy. Wziąłem dwutygodniową wycieczkę, w skład której wchodziło osiem osób.

Ani czarna śmierć, ani Teodora nie wypaliły we mnie pożądaną Pulcherii Dukas. Miałem nadzieję, że otrząsnę się z tej niebezpiecznej obsesji ciężko pracując.

W mojej grupie znaleźli się:

J. Frederick Gostaman z Biloxi w Missisipi, handlarz detaliczny artykułami medycznymi i organami do przeszczepów, wraz ze swoją żoną, Louise, szesnastoletnią córką Palmyrą i czternastoletnim synem Bilbo.

Conrad Sauerabend z St. Louis w Missouri, makler giełdowy, podróżujący samotnie.

Panna Hester Pistil z Brooklynu, Nowy Jork, młoda nauczycielka.

Leopold Haggins z St. Petersburga na Florydzie, emerytowany wytwórca rdzeni zasilających, i jego żona Chrystal.

Czyli jak zwykle - grupa przepłaczanych i niedouczonej leni. Podczas pierwszej z sesji orientacyjnych Sauerabend, ponury tłuszcioch z policzkami buldoga, zniechęcił Gostamana, wesołego tłuszciocha z policzkami buldoga, ponieważ Gostaman zażartował sobie twierdząc, że próbuje on zajrzeć za dekolt jego córce. W każdym razie moim zdaniem żartował, ale Sauerabend zarumienił się i wkurzył, Palmyrą zaś, która, choć szesnastoletnia, ciało miała najwyżej chudej trzynastolatki, uciekła z sali we łzach. Udało mi się jakoś połączyć ich wzajemne stosunki, ale Sauerabend nadal patrzył na Gostamana co najmniej niechętnie. Panna Pistil, nauczycielka, blondynka o pustych oczach, powiększonych piersiach i twarzy jednocześnie napiętej i jakby obwisłej, na pierwszym spotkaniu dała mi do zrozumienia, że należy do tych, co podróżują w czasie,

by przespać się z kurierami; nawet gdybym nie był zajęty Pulcheria, zapewne bym z niej nie skorzystał, a w obecnej sytuacji nie zamierzałem skorzystać z niej na pewno. Inaczej miała się jednak rzecz z młodym Bilbo Gostamanem, chłopcem modnym do tego stopnia, że nosił pumpki ze wzmocnionym sączkiem (jeśli dało się ożywić modę na kreteńskie kubraczki, to dlaczego nie na szesnastowieczne sączki?) i włożył pannie Pistil rękę pod sukienkę już na drugim spotkaniu. Sądził zapewne, że robi to niedostrzegalnie, ale zauważyłem go ja, stary Gostaman, który rozpromienił się ojcowską dumą, a także pani Chrystal Haggins, która doznała szoku i popadła w katalepsję. Panna Pistil była za to zachwycona, wierciła się nawet, żeby ułatwić Bilbowi dostęp do tego, do czego dostępu pragnął. Pan Haggins, osiemdziesięcioletni, mocno wysuszony staruszek mrugał tymczasem znacząco do spokojnej, godnej niczym rzymska matrona pani Louise Gostaman. Jak się okazało, podczas całej wycieczki musiała cierpliwie bronić się przed wpadnięciem w jego drżące ręce.

Wiecie, jak to jest.

Mieliśmy spędzić w przeszłości szczęśliwe dwa tygodnie.

Skoczyliśmy pod prąd.

I znów byłem podrzędnym kurierem. Opuściła mnie iskra Boża. Pokazałem im wszystko, co powinni zobaczyć, ale nic więcej, nie skakaliśmy po historii, nie czyniliśmy nagłych zwrotów, nie stosowałem tych i innych, charyzmatycznych chwytów a la Metaxas, które obiecałem sobie stosować podczas każdej podróży.

Przynajmniej częściowo winna była temu nieokreślona sytuacja z Pulcheria. Miałem ją przed oczami przez prawie całe dni, myślałem zaś o niej ciągle. Wyobrażałem sobie, jak skaczę w okolice 1105 roku i zaczynam nad nią pracować; z pewnością zapamiętała mnie ze sklepu z przyprawami i z pewnością przekazała mi tam otwarte zaproszenie.

Za moją kurierską słabość winę ponosiło też to, że Bizancjum po prostu mi spowszedniało.

Pracowałem z wycieczkami tam już niemal pół roku, zacząłem się powoli przyzwyczajać.

Utalentowany kurier, taki jak Metaxas, po raz tysięczny obserwuje tę samą koronację z entuzjazmem, z jakim obserwował ją po raz trzeci, i przekazuje ten entuzjazm ludziom. Może brak mi po prostu było tego naturalnego talentu. Nudziły mnie już poświęcenia Hagia Sophii, nudziły chrzty Teodozjusza II, podobnie jak operatora stymu, w którym dają pornografię, muszą w pewnym momencie znudzić puszczone orgie.

Wreszcie przeszkadzała mi obecność w grupie Conrada Sauerabenda. Ten gruby, wiecznie spocony, niechlujny mężczyzna doprowadzał mnie do mdłości za każdym razem, kiedy otwierał usta.

Nie był bynajmniej głupi, tylko szorstki, bezmyślny, obrzydliwy. Był nędznym kpiarzem, urodzonym gapiem, oślizgłym żartownisiem. Jeśli chodzi o wygłoszenie najniestosowniejszego komentarza w najmniej po temu stosownej chwili, można było liczyć na niego w każdej sytuacji.

W Augusteum gwizdnął z podziwem i stwierdził: "Fajny tu mają parking!".

W Hagia Sophii klepnął w ramię starego białobrodego mnicha ze słowami: "Niczego sobie kościółek, księżulku".

Podczas odwiedzin w czasach Leona Izauryjskiego - czyli czasach ikonoklazmu - kiedy jako pogańskie idole niszczone największe arcydzieła bizantyńskiej sztuki, przerwał pewnemu oszalałemu fanatykowi słowami: "Odpuść sobie, głupi kutasie. Wiesz, jak to wpłynie na wasze dochody z turystyki?".

Sauerabend napastował także młode dziewczyny i, co więcej, był z tego dumny.

- Nic na to nie poradzę - zwierzył mi się. - Taką już mam obsesję. Psychiatrzy nazywają to kompleksem Lolity. Lubię je, kiedy mają dwanaście, trzynaście lat. Wiesz, takie już krwawiące, mające nawet pierwsze włoski, ale jeszcze niedojrzałe. Mój ideał to brać je, nim dostaną cyczków. Nie

znoszę w kobiecie całego tego kolebiącego się miecha. Chory ze mnie facet, nie?

Rzeczywiście, chory był z niego facet. A także cholernie irytujący, ponieważ mieliśmy w naszym gronie Palmyrę Gostaman. Sauerabend nie mógł przestać się na nią gapić. Noclegi podczas wycieczki w przeszłość nie zawsze oferują turystom odpowiednią dawkę prywatności, co facet wykorzystywał doprowadzając małą do hysterii. Bezustannie się nią zachwycał, zmuszając ją do rozbierania się i ubierania pod kocem, jakbyśmy żyli w XIX czy XX wieku, a kiedy ojca nie było w pobliżu, kładł swe tłuste łapska na jej tyłeczku albo na zaczątkach cycków i szeptał w ucho lubieżne propozycje. Musiałem go jakoś powstrzymać; zagroziłem w końcu, że jeśli nie zacznie nad sobą panować, wywalę go z grupy. Na parę dni poskutkowało. A przy okazji, ojciec dziewczyny uważał to za przedni dowcip.

- Pewnie mała potrzebuje tylko, żeby ją przyzwoicie wyobrazić - powiedział do mnie. - Od czegoś takiego krew szybciej krąży w żyłach, nie?

Papa Gostaman cieszył się także z postępów syna. Bilba przygoda z panną Pistil stała się niemal równie męcząca jak postęпки Sauerabenda; zwłaszcza że traciliśmy mnóstwo czasu czekając, aż skończą rozpoczętą w najbardziej niewłaściwym po temu czasie kopulację. Powiedzmy, że wprowadzam właśnie moich ludzi w to, co dziś zobaczą, Bilbo stoi za panną Pistil i nagle twarz panny Pistil tężeje w wyrazie zachwytu, a my wszyscy wiemy, że to znów, że mały podniósł jej spódnicę i - bum! Bilbo przez praktycznie cały czas sprawiał wrażenie zachwyconego - rozsądnie z jego strony, w końcu był czternastolatkiem wprowadzanym w rozkosze seksu przez kobietę o dziesięć lat od niego starszą. Panna Pistil natomiast cierpiała z powodu kompleksu winy. Obolałe sumienie nie przeszkadzało jej jednak rozchyłać dla niego nóg trzy, a nawet cztery razy dziennie. Wszystko to nie stwarzało warunków stymulujących nawet najbardziej twórczego kuriera. Były także pomniejsze problemy. Stary pan Haggins równie nieskutecznie, co bezlitośnie podrywał niemrawą panią Gostaman. Sauerabenda nie dało się też powstrzymać od grzebania przy timerze.

- Wiesz - zwierzał mi się - mogę się założyć, że rozpracuję to cudo tak, by móc je regulować samemu. Nim wziąłem się za akcje, byłem inżynierem.

Kazałem mu zostawić timer w spokoju, ale kiedy nie patrzyłem, nadal przy nim majstrował.

No i wreszcie o ból głowy przyprawiał mnie Capistrano, którego spotkałem przypadkiem w 1097 roku, kiedy obserwowaliśmy wchodzącą do miasta armię Boemunda. Pojawił się akurat wtedy, kiedy skoncentrowałem się na scenie z Marge Hefferin. Chciałem sprawdzić, jak permanentna jest dokonana przeze mnie korekta historii.

Tym razem ustawiłem mych ludzi po przeciwnej stronie ulicy. No tak - niemal natychmiast zauważyłem samego siebie i Marge, niecierpliwą, napaloną na Boemunda, stojącą wraz z resztą grupy. Krzyżowcy szli w naszym kierunku, a mnie zakręciło się w głowie ze zdenerwowania. Czy zobaczę na własne oczy, jak ocaliłem Marge Hefferin? Czy może zobaczę, jak Marge rzuca się na Boemunda i zostaje przecięta na pół? Czy też może będę świadkiem czegoś, o czym na razie nie mam nawet pojęcia? Płynność, zmienność prądów czasu była tym, co w owej chwili niepokoiło mnie najbardziej.

Boemund się zbliżał. Marge rozrywała sobie tunikę na piersiach, dostrzegłem jej jasne wielkie cyce. Zesztywniała - już gotowa była do szarży przez ulicę, gdy nagle za jej plecami, znikąd, zmaterializował się drugi Jud Elliott. Dostrzegłem wyraz niebotycznego zdumienia na twarzy Marge - to moje stalowe palce zacisnęły się na jej tyłku. Widziałem swą dłoń o szeroko rozstawionych palcach chwytającą jej pierś, widziałem, jak Marge Hefferin odwraca się, jak próbuje mi się wyrwać,

jak zamiera po przejściu Boemunda, i widziałem, jak znikam pozostawiając tylko dwóch siebie, jednego po jednej, drugiego po drugiej stronie ulicy.

Ulga była tak wielka, że omal się nie przewróciłem. A jednak czułem także niepokój, bo na własne oczy widziałem samego siebie montującego przeszłość, a więc teoretycznie każdy mógł to zobaczyć. Włącznie z jakimś zabłąkanym patrolowcem, który zupełnie przypadkiem mógł dostrzec

krótkie zdublowanie się kuriera i zainteresować się, o co w tym wszystkim chodzi. W każdej chwili w ciągu miliona następnych millenniów jakiś patrolowiec może dostrzec tę scenę i wtedy, niezależnie od tego, że wszystko uszło mi na sucho do roku, powiedzmy, 8 000 000 000 008, i tak odpowiem za korektę przeszłości. W każdej chwili mogę poczuć na ramieniu ciężką dłoń, usłyszeć głos wypowiadający me imię...

Poczułem na ramieniu ciężką dłoń. Usłyszałem głos wypowiadający me imię.

Odwróciłem się.

- Capistrano... !

- Jasne, to ja, Capistrano. A co, spodziewałeś się kogoś?

- Ja... nie... zaskoczyłeś mnie po prostu.

Drżałem. Kolana uginały się pode mną. Byłem tak zdenerwowany, że dopiero po jakimś czasie zauważyłem, jak strasznie Capistrano wygląda. Niemal słał się na nogach, był obdarty, a jego niegdyś lśniące, teraz siwe włosy wisiały w strąkach. Stracił na wadze, sprawiał wrażenie o dwadzieścia lat starszego od człowieka, którego dobrze znałem. Wyczułem nieciągłość i zaniepokoiłem się, jak zawsze w towarzystwie kogoś przybywającego z mej własnej przyszłości.

- W czym problem? - spytałem.

- Rozpadam się. Załamanie. Popatrz... widzisz, to moi turyści.

- Wskazał grupę ludzi, z napięciem wpatrujących się w krzyżowców. - Nie mogę z nimi zostać. Doprowadzają mnie do mdłości. Wszystko doprowadza mnie do mdłości. To już koniec, Elliott, dla mnie to już koniec.

- Dlaczego? Co się stało?

- Nie mogę teraz o tym mówić. Gdzie dziś nocujecie?

- Właśnie tu, w 1097 roku. W gospodzie koło Złotego Rogu.

- Do zobaczenia o północy. - Capistrano na moment położył mi rękę na ramieniu. - To już

koniec, Elliott - powiedział. - Prawdziwy koniec. Niech Bóg zmiłuje się nad mą duszą.

43.

Capistrano pojawił się w gospodzie tuż przed północą. Pod płaszczem ukrywał butelkę.

Odkorkował ją i wręczył mi.

- Koniak - powiedział. - Z 1825, butelkowany w 1775. Dopiero co byłem po niego z prądem.

Napiłem się koniaku, a tymczasem Capistrano opadł na ławę. Wyglądał gorzej niż

kiedykolwiek - wyczerpany, stary, wypalony. Odebrał mi butelkę, pociągnął z niej potężnie.

- Nim powiesz cokolwiek - poprosiłem - chcę wiedzieć, z jakiego czasu pochodzisz.

Nieciągłości mnie denerwują.

- Nie ma żadnej nieciągłości.

- Nie!?

- Moim czasem podstawowym jest grudzień 2059. Podobnie jak twoim.

- Niemożliwe!

- Niemożliwe? Dlaczego tak sądzisz?

- Kiedy widziałem cię ostatnim razem, nie miałeś jeszcze czterdziestki. Teraz z pewnością przekroczyłeś pięćdziesiątkę. Nie rób ze mnie głupca, człowieku! Twój czas bazowy to jakieś 2070, prawda? A jeśli tak, błagam, nie mów, co spotka mnie przez te lata.

- Mój czas bazowy to 2059 - powtórzył Capistrano ochrypłym głosem. Z jego brzmienia wywnioskowałem, że butelka koniaku, którą ze sobą przyniósł, dziś z pewnością nie była jego pierwszą. Nie jestem ani o dzień starszy, niż powinienem dla ciebie być. Problem w tym, że jestem martwy.

- Nie rozumiem.

- W zeszłym miesiącu powiedziałem ci o mej prababce, Turczyńce, prawda?

- Owszem.

- Dziś rano skoczyłem z prądem do Stambułu 1955 roku. Prababka miała wówczas siedemnaście lat i nie była jeszcze mężatką. W chwili szaleństwa udusiłem ją, a ciało wrzuciłem do Bosforu. Była noc, padało; nikt nas nie zauważył. Jestem martwy, Elliott. Jestem martwy.

- Boże, nie!

- Dawno, dawno temu powiedziałem ci, że kiedy nadejdzie właściwy czas, odejdę ze świata w ten właśnie sposób. Ta turecka dziwka... zmusiła mego prapradziadka do tak strasznego mezaliansu... już jej nie ma. I nie ma mnie. W momencie powrotu do swej teraźniejszości przestanę kiedykolwiek istnieć. Co powinienem zrobić, Elliott? Decyzja należy do ciebie. Czy powinienem skoczyć z prądem i skończyć z tą komedią?

Oblałem się zimnym potem. Wypiłem wielki łyk koniaku.

- Podaj mi dokładną datę w 1955 - powiedziałem. - Zaraz skoczę z prądem i nie pozwolę ci jej skrzywdzić.

- Nie skoczysz.

- Więc sam to zrób. Skocz we właściwy czas i ocal ją, dobrze?

Spojrzał na mnie smutno.

- Po co? - spytał. - Prędzej czy później znowu ją zabiję. Muszę. To moje przeznaczenie. Mam zamiar skoczyć z prądem. Zajmiesz się moimi ludźmi?

- Przecież prowadzę grupę - przypomniałem mu.

- Słusznie. Słusznie. Z większą liczbą sobie nie poradzisz. Dopilnuj tylko, żeby moi tu nie zostali. Muszę lecieć... muszę lecieć...

Rękę trzymał już na timerze.

- Capis...

Skoczył i jeszcze, cholera, zabrał ze sobą koniak!

Znikł. Był i nie ma. Popełnił samobójstwo przez przestępstwo czasowe. Wymazał się z kart

historii. Nie miałem pojęcia, co zrobić z tym fantem. Założmy, że skoczę do roku 1955 i powstrzymam go przed zabójstwem praprababci. W swej terażniejszości jest już nikim; czy można retroaktywnie przywrócić mu życie? Jak paradoks przeniesienia funkcjonuje "od tyłu"? O czymś takim nam nie mówiono. Chciałem uratować Capistrano, a miałem jeszcze na głowie jego turystów. Zastanawiałem się nad tym wszystkim przez przeszło godzinę, po czym doszedłem do bardzo nieromantycznego wniosku, że to po prostu nie moja sprawa. Postanowiłem wezwać Patrol. Niechętnie, ale jednak dotknąłem przycisku alarmu na timerze. Sygnał alarmu przywoływał Patrol natychmiast, przynajmniej teoretycznie. I rzeczywiście, patrolowiec zmaterializował się natychmiast - był nim Dave Van Dam, jasnowłosy specjalista od bekania, ten cham, którego spotkałem pierwszego dnia służby.

- I co? - spytał.

- Samobójstwo przez przestępstwo czasowe - wyjaśniłem. Capistrano właśnie zamordował praprababcię i skoczył w terażniejszość.

- Jezu, dlaczego musimy użerać się z wariatami? Cholerny turecki sukinsyn. Matkojebca!

Uznałem, że nie ma sensu oświecać go co do nietaktownego w zaistniałej sytuacji - doboru wyzwisk.

- Zostawił tu grupę turystów - powiedziałem tylko. - Dlatego was wezwałem.

- Cholerny sukinsyn - powtórzył Dave, spluwając artystycznie. - Dobra, mam obraz sytuacji.

Wyskoczył z mojego pokoju.

Byłem dosłownie chory z żalu. Oto utraciliśmy cenne życie.

Wspominałem wdzięk Capistrano, jego urok i wrażliwość, zmarnowane, bo w pijanym widzie gość postanowił wykończyć się przez przestępstwo czasowe. Nie płakałem, ale miałem ochotę kopać meble, co też uczyniłem z entuzjazmem. Hałas obudził pannę Pistil.

- Ktoś nas atakuje? - zapytała półprzytomnie.

- Ciebie, owszem - odparłem i by ulżyć gniewowi i żalowi, rzuciłem się na nią. Zaskoczyłem ją, przyznaję, ale szybko zorientowała się w sytuacji i postanowiła współpracować. Skończyłem w pół minuty i zostawiłem ją, rozgrzaną, do wykończenia przez Bilbo Gostamana. Nadal przepełniony goryczą obudziłem następnie karczmarza, kazałem podać sobie najlepsze wino i upiłem się prawie do nieprzytomności.

Znacznie później dowiedziałem się, że całe to dramatyzowanie było najzupełniej zbędne. Cholerny, oślizgły Capistrano w ostatniej chwili zmienił zdanie; zamiast skakać w swą terażniejszość i zniknąć, postanowił skryć się pod ochroną paradoksu przemieszczenia i został pod prądem, w roku 1600. Poślubił córkę tureckiego paszy; miał z nią troje dzieci. Patrol wytropił go dopiero w roku 1607, aresztował za wielokrotne przestępstwo czasowe, przeniósł do 2060 roku, osadził i skazał na zniknięcie. Tak więc mój przyjaciel ostatecznie osiągnął swój cel, choć w niezbyt bohaterski sposób. Patrol musiał także odmordować jego zamordowaną praprababcie, odzienie go z córką paszy i odpłodzić trójkę dzieciaków oraz znaleźć zastępstwo dla porzuconych turystów; wszyscy mieli więc mnóstwo zbędnej roboty.

- Jak ktoś chce się zabić - stwierdził Dave Van Dam - to niech, cholera, wypije cykutę w terażniejszości, a nie utrudnia życia innym.

Nie mogłem się z nim nie zgodzić. Pierwszy i ostatni raz między mną i Patrolem doszło do pełnego porozumienia i zgodności poglądów.

44.

Ta wstrętna sprawa z Capistrano oraz generalne obrzydzenie do turystów tego typu, który właśnie mi się trafił, spowodowały, że wpadłem w otchłań rozpacz.

Niespiesznie skakaliśmy z epoki w epokę, ale me serce znajdowało się zupełnie kiedy indziej.

W połowie drugiego tygodnia, kiedy dotarliśmy do 1204 roku, wiedziałem już, że zrobię coś, co mnie zniszczy.

Jakając się wygłosiłem zwyczajową pogadankę.

- Odradza się duch dawnych krzyżowców - mówiłem, krzywiąc się na Bilba, który znów pieścił pannę Pistil, i krzywiąc się na Sauerabenda, który najwyraźniej śnił na jawie o niemal nie istniejących piersiach Palmyry Gostaman. - Jerozolima, którą krzyżowcy zdobyli przed wiekiem, znów jest w rękach Saracenów, różne ła cińskie dynastie nadal jednak kontrolują większość wybrzeża Ziemi Świętej. Arabowie walczą obecnie między sobą. Papież Innocenty III od 1199 wzywa do zorganizowania nowej krucjaty.

Opowiedziałem, jak różnie różni baroni zareagowali na wezwanie papieża.

Opowiedziałem, jak krzyżowcy nie chcieli już używać tradycyjnej drogi lądowej przez całą Europę i przez Azję Mniejszą do Syrii. Opowiedziałem, jak wybrali podróż trasą morską do jednego z palestyńskich portów.

Opowiedziałem, jak w roku 1202 zwrócili się do Wenecji, największej potęgi morskiej ówczesnej Europy, z prośbą o dostarczenie środków transportu.

Podąłem im warunki, na jakich ówczesny doża wenecki, stary cwaniak Enrico Dandolo, zgodził się dostarczyć im statki.

- Dandolo - mówiłem - zawarł z krzyżowcami umowę na transport czterech tysięcy pięciuset rycerzy wraz z ich końmi, dziewięciu tysięcy giermków i dwudziestu tysięcy piechoty wraz z zapasami na dziewięć miesięcy. Zaoferował również eskortę konwoju: pięćdziesiąt uzbrojonych galer. Cenę wyznaczył na osiemdziesiąt pięć tysięcy srebrnych marek, czyli na nasze pieniądze około dwudziestu milionów dolarów. Zażądał także połowy terytoriów lub łupów zdobytych przez krzyżowców w walce.

Opowiedziałem im, jak krzyżowcy przystali na te ciężkie warunki pewni, że bez problemu oszukają ślepego starca.

Opowiedziałem im, jak to ślepy starzec, mając krzyżowców w Wenecji, skąd nie mieli gdzie

się ruszyć, złapał ich za gardło i wydusił zapłatę co do grosza.

Opowiedziałem im, jak ten godny najwyższego podziwu szatan przejął kontrolę nad krucjatą i w Wielki Poniedziałek roku wyruszył na czele floty krzyżowców... floty, której celem nie była Ziemia Święta, lecz Konstantynopol.

- Bizancjum - wyjaśniłem - było wielkim konkurentem Wenecji w handlu morskim. Dandolo nie dałby złamanego grosza za Jerozolimę, ale bardzo pragnie kontrolować Konstantynopol.

Następnie wyjaśniłem istniejącą wówczas w cesarstwie sytuację dynastyczną. Dynastia Komnenów kiepsko skończyła. Gdy w roku 1180 zmarł Manuel I, na tron wstąpił jego młody syn Aleksey II, zamordowany wkrótce przez niemoralnego kuzyna swego ojca, Andronika. Równie wyrafinowany, co zdeprawowany Andronik zamordowany został z kolei, w szczególnie nieprzyjemny sposób, przez tłum, po kilku zaledwie latach okrutnych rządów i w roku kolejnym cesarzem został Izaak Angelos, starszy, niezdarny wnuk Aleksego I z żeńskiej linii. Izaak rządził, niekompetentnie i chaotycznie, przez lat dziesięć, kiedy to zdetronizował go, oślepił i wtrącił do więzienia jego własny brat, który przybrał imię Aleksego III.

- Aleksey III rządzi nadal - ciągnąłem - a Izaak Angelos nadal siedzi w więzieniu. Syn Izaaka jednak, również Aleksey, zbiegł z miasta i na miejsce wygnania wybrał sobie Wenecję. Obiecał Dandoloowi ogromne pieniądze za przywrócenie ojca na tron. Tak więc Dandolo udaje się do Konstantynopola, by obalić Aleksego III i zastąpić go marionetką w swych dłoniach, Izaakiem. Nie pojmowali nic z tego skomplikowanego dynastycznego wywodu. Nie szkodzi.

Zrozumieją, kiedy zobaczą wszystko na własne oczy.

Pokazałem im czwartą krucjatę przybywającą do Konstantynopola pod koniec kwietnia 1203 roku. Obejrzeni Dandola, kierującego zdobyciem Scutari, przedmieścia po azjatyckiej stronie Bosforu. Widzieli też przygotowania do obrony portu: nie tylko stojącą u wejścia do niego wielką wieżę, nie tylko zagradzający je słynny żelazny łańcuch, lecz także dwadzieścia bizantyńskich galer.

Specjalnie zwróciłem uwagę turystów na atak weneckich żeglarzy, którzy zdobyli bizantyńskie galery abordażem, podczas gdy jeden ze statków Dandola, wyposażony w ogromne stalowe nożyce, przeciął łańcuch, otwierając Złoty Róg atakującym. Widzieli, jak ten dziewięćdziesięcioletni starzec prowadzi atak na szaniec Konstantynopola.

- Nigdy dotąd atakujący nie dostali się za mury - wyjaśniłem.

Stojąc z dala, jako część wiwatującego tłumu obserwowaliśmy Dandola wyprowadzającego z lochów Izaaka Angelosa i koronującego go na cesarza Bizancjum wraz z synem, w stylu przysługującym Aleksemu IV.

- Aleksey IV - powiedziałem - zaprosił krzyżowców do spędzenia zimy w Konstantynopolu na jego koszt. W tym czasie miano przygotować plan ataku na Ziemię Świętą. Oferta złożona została zbyt pośpiesznie i stała się gwoździem do trumny cesarza.

Skoczyliśmy z prądem do wiosny 1204 roku.

- Aleksey IV - rozpocząłem - właśnie odkrył, że utrzymanie tysięcy krzyżowców rujnuje finanse cesarstwa. Powiedział Dandolowi, że nie ma już pieniędzy i nie jest w stanie dłużej pokrywać

wydatków wyprawy. Doprowadziło to do gwałtownej kłótni, w trakcie której w mieście rozpoczęły się pożary. Nikt nie wie, kto je wzniecił, ale Aleksey podejrzewa Wenecjan. Rozkazał podpalić sześć starych okrętów, dryfujących teraz na wenecką flotę.

Widzieliśmy płonące statki. Widzieliśmy, jak Wenecjanie długimi hakami odepchnęli je od swych statków, i widzieliśmy, jak w mieście wybucha bunt, jak jego obywatele oskarżają Aleksego IV, że jest marionetką w ręku Wenecjan, i skazują go na śmierć.

- Stary Izaak Angelos umiera w kilka dni później - powiedziałem. - Bizantyńczycy odnajdują zięcia wygnanego cesarza Aleksego III i wynoszą go na tron jako Aleksego V. Zięć ów należy do słynnej rodziny Dukasów. Dandolo utracił obu swych marionetkowych cesarzy. Jest wściekły.

Wenecjanie wraz z krzyżowcami decydują się na podbój Konstantynopola. Postanawiają rządzić nim

bezpośrednio.

Kolejna grupa turystów miała teraz szansę obejrzeć walki, które wybuchły ósmego kwietnia.

Płomienie, rzeź, gwałty, Aleksy V ucieka, napastnicy plądrują miasto. Trzynasty kwietnia, Hagia

Sophia: krzyżowcy demolują chór z jego słynnymi dwunastoma srebrnymi kolumnami, rozbierają

ołtarz, kradną czterdzieści kielichów i dziesiątki srebrnych kandelabrow. Kradną także Ewangelię,

krzyże i tkaninę ołtarzową oraz czterdzieści szczerozłotych kadzielnic. Bonifacy z Montferrat,

przywódca krucjaty, zdobywa cesarski pałac. Dandolo rozkazuje zdjąć z niego cztery konie z brązu,

które cesarz Konstantyn przywiózł z Egiptu dziewięćset lat wcześniej; przetransportuje je do

Wenecji i umieści nad wejściem do katedry Świętego Marka, gdzie pozostają po dziś dzień.

Towarzyszący krzyżowcom księża gorączkowo szukają relikwii. Znajdują dwa kawałki Świętego

Krzyża, ostrze Świętej Włóczni, gwoździe, którymi przebito ciało Chrystusa, i wiele innych,

podobnych obiektów, które Bizantyńczycy otaczali najwyższą czcią.

Skoczyliśmy do połowy maja, pozostawiając za sobą sceny gwałtu i rabunku.

- Zostanie wybrany nowy cesarz Bizancjum - opowiadałem. Nie będzie nim jednak

Bizantyńczyk, lecz Frank, łacinnik. Zwycięzcy wybierają księcia Baldwina Flandryjskiego.

Zobaczymy procesję koronacyjną.

Czekaliśmy przed Hagia Sophia. W środku Baldwin Flandryjski zakładał płaszcz pokryty

klejnotami, haftowany w orły, wziął berło i złote jabłko, ukląkł przed ołtarzem, został

pobłogosławiony, objął tron.

- Wychodzi - powiedziałem.

Na białym koniu, w stroju lśniącym jakby stanął w płomieniach, cesarz Baldwin Bizantyński

przejechał z katedry do pałacu. Obywatele pod przymusem, cicho i niechętnie witali swego nowego,

całkowicie im obcego władcę.

- Większość bizantyńskiej arystokracji uciekła - mówiłem moim podopiecznym, którym już

spieszno było do nowych pożarów, mordów, rabunków. - Schronienie znalazła w Azji Mniejszej, w Albanii, Bułgarii i Grecji. Łacinnicy będą rządzili w mieście przez pięćdziesiąt siedem lat, choć rządy samego Baldwina okażą się krótkie. Za dziesięć miesięcy ruszy do bitwy z bizantyńskimi buntownikami, zostanie przez nich pojmany i nie powróci z niewoli.

- A kiedy krzyżowcy ruszą na Jerozolimę? - zainteresowała się Chrystal Haggins.

- Ci? Nigdy. Nie chciało się im. Część pozostała, rządząc państewkami wyszarpanymi z terenów byłego Cesarstwa Bizantyńskiego. Reszta wróciła z łupami zrabowanymi w podbitym mieście.

- Jakie to fascynujące! - zachwyciła się pani Haggins.

Wróciliśmy na kwaterę. Byłem śmiertelnie wręcz zmęczony.

Wykonałem swą pracę, pokazałem im podbój Bizancjum przez łacinników, dokładnie tak, jak obiecywała broszurka reklamowa, i nagle poczułem, że dłużej tych gęb nie znoję. Zjedliśmy kolację, oni poszli spać - a przynajmniej do łóżek - ja zaś siedziałem przez chwilę w ciemności, słuchając namiętych jęków panny Pistil i energicznych prychnięć Bilba Gostamana, słuchałem protestów Palmyry, którą, korzystając z ciemności, Conrad Sauerabend gładził po udach, i połykałem łzy wściekłości. Nie miałem wyboru. Poddałem się pokusie, nastawiłem timer i skoczyłem pod prąd. W rok 1105. Do Pulcherii Dukas.

45.

Metaxas gotów był pomóc mi natychmiast. Lubił pomagać.

- Pewnie potrwa to parę dni - uprzedził mnie jednak. - Informacje przekazuje się tu raczej powoli, przez podróżujących tam i sam posłańców.

- Mogę poczekać u ciebie?

- A po co w ogóle czekać? Masz timer. Skocz trzy dni z prądem; do tej pory może uda mi się wszystko załatwić.

Skoczyłem trzy dni z prądem.

- Wszystko załatwione - oznajmił mi Metaxas.

Udało mu się załatwić zaproszenie na bal w pałacu Dukasów. Mieli być na nim obecni wszyscy ważni ludzie, od cesarza Aleksego Komnena w dół. W charakterze alibi miałem twierdzić, że jestem kuzynem Metaxasa z prowincji, z Epiru.

- Mów z akcentem dziczy - poradził mi Metaxas. - Lej wino na tunikę i mlaskaj jedząc.

Nazywasz się... niech pomyślę... Nicetas Hyrtacenos.

- Nie - potrząsnąłem głową. - To zbyt wymyślne imię. Nie pasuje do mnie.

- Dobra, niech będzie Grzegorz Hyrtacenos.

- Wolę już Grzegorz Markezinis - stwierdziłem.

- Brzmi zbyt dwudziestowiecznie.

- Dla nich będzie brzmiało prowincjonalnie - powiedziałem i udałem się na ucztę jako Grzegorz Markezinis.

Pod lśniącymi marmurem ścianami pałacu Dukasów spacerowało dwóch potężnych wartowników - Waregów. Obecność tych jasnobrodych norweskich barbarzyńców, stanowiących jądro straży cesarskiej, świadczyła, że Aleksey jest już w środku. Weszliśmy. Metaxasowi towarzyszyła jego namiętna prapra... babcia, Eudoksja.

Rozmach, z jakim przygotowano ucztę, wręcz oszałamiał. Iluż tu było muzyków, iluż niewolników, ileż stołów zastawionych jedzeniem! Wino. Wspaniale ustrojoni mężczyźni i kobiety. Cudowne mozaiki w podłodze, cudowne arras na ścianach; ciężkie, złotem tkane materie. Srebrne dzwoneczki dyskretnego śmiechu, zmysłowy szelest przezroczystego jedwabiu ocierającego się o kobiece ciało.

Pulcherię dostrzegłem niemal natychmiast.

Pulcheria niemal natychmiast dostrzegła mnie.

Nasze oczy spotkały się tak, jak raz już spotkały się w sklepie ze słodyczami i przyprawami.

Rozpoznała mnie, uśmiechnęła się tajemniczo i znów pomiędzy nami przeskoczyła iskra. W którejś z późniejszych epok przesłałaby mi sygnał wachlarzem, tu zdjęła po prostu jedwabne rękawiczki i uderzyła się nimi po przegubie lewej ręki. Czyżby próbowała w ten sposób dodać mi odwagi? Na wysokim gładkim czole miała złoty diadem. Usta pomalowała na czerwono.

- Po lewej stoi jej mąż - szepnął mi w ucho Metaxas. - Chodź, przedstawię cię.

Przyjrzałem się Leonowi Dukasowi, mojemu praprapra... dziadkowi. Dumę, którą czułem, od kiedy dowiedziałem się, jakich to mam wspaniałych przodków, przyćmiła zazdrość o tego człowieka, którego dłonie co noc pieściły piersi Pulcherii. Z mych genealogicznych studiów wiedziałem, że ma lat trzydzieści pięć, jest więc dwukrotnie starszy od żony. Był człowiekiem słusznego wzrostu, o skroniach przyprószonych siwizną, bardzo niebizantyńskich niebieskich oczach, równo przystrzyżonej krótkiej bródce i prostym wąskim greckim nosie. Wargi miał cienkie, mocno zaciśnięte. Sprawiał wrażenie surowego, zamkniętego w sobie i bardzo, ale to bardzo arystokratycznego. Wyglądał imponująco; w jego wspaniale skrojonej tunice nie było nic surowego, podobnie jak w biżuterii: spinkach, pierścieniach, wisiorach.

Był gospodarzem pewnym siebie, spokojnym; zachowywał się w każdym calu jak jeden z najwyższych arystokratów wielkiego cesarstwa, głowa wspaniałego rodu Dukasów. Lecz oczywiście nie miał potomka i, być może, stąd cień rozpaczy, który - być może tylko oczami wyobraźni - dostrzegłem na jego przystojnej twarzy. Kiedy z Metaxasem zbliżaliśmy się do niego, podchwyciłem strzępy rozmów:

- ... nie ma dzieci. Co za szkoda biorąc pod uwagę, że jego bracia mają ich tyle. A on jest pośród nich najstarszy!

- Przecież Pulcheria jest jeszcze taka młoda. Wygląda, jakby miała rodzić i rodzić...

- Pod warunkiem że kiedyś zacznie. Boże, ma już prawie osiemnaście lat... !

Bardzo pragnąłem pocieszyć Leona, powiedzieć mu, że potomkowie z jego nasienia dotrwią do XXI wieku, oznajmić mu, że już za rok Pulcheria da mu syna, Nicetasa, a po nim Symeona, Jana, Aleksandra i jeszcze kilku innych, i że Nicetas spłodzi sześcioro dzieci, wśród nich księcia Nicefora, którego spotkałem po siedemdziesięciu latach, i że syn Nicefora wraz ze swym wodzem uda się na wygnanie do Albanii, a potem... a potem...

- Wasza Wysokość - powiedział Metaxas - oto trzeci syn mojej matki, Grzegorz Markezinis z Epiru. Jest moim gościem na czas żniw.

- Przybyłeś do nas z daleka - zauważył Leon Dukas. - Czy byłeś już kiedyś w Konstantynopolu?

- Nigdy - odparłem. - Jakież wspaniałe jest miasto. Te kościoły! I pałace! I łaźnie! Jedzenie, wino, stroje! I kobiety, piękne kobiety!

Pulcheria rozpromieniła się, uśmiechnęła tym jakże dla niej charakterystycznym krzywym uśmiechem, wymierzonym tak, by nie mógł go dojrzeć mąż. Doleciał mnie jej słodki zapach. Poczulem przemożne pragnienie.

- Oczywiście znacie, panie, cesarza - powiedział Leon.

Wszechogarniającym ruchem ramienia wskazał mi cesarza Aleksego, przyjmującego hołdy po przeciwnej stronie sali.

Aleksego widziałem już wcześniej kilkakrotnie. Był niski, tęgi, nosił się z godnością. Otaczał go krąg arystokratów i arystokratek. Sprawiał wrażenie człowieka inteligentnego, pełnego wdzięku, spokojnego, pewnego swego miejsca w świecie; prawdziwy był z niego dziedzic cesarów, obrońca cywilizacji przed mrocznymi siłami zła, wśród których przyszło mu żyć. Leon nalegał, by mnie mu przedstawić. Cesarz pozdrowił mnie ciepło, oznajmiając donośnym głosem, że kuzyn Metaxasa jest mu bliski jak sam Metaxas. Rozmawialiśmy przez chwilę, wielki człowiek i ja; denerwowałem się nieco, ale zachowywałem spokojnie, godnie. Leon nawet skomentował moje zachowanie:

- Rozmawiasz z cesarzami, jakbyś znał ich wielu, młody człowieku.

Uśmiechnąłem się tylko. Nie uznałem za stosowne wyjaśnić mu, że kilkakrotnie widziałem Justyniana, że byłem świadkiem chrztu Teodozjusza II, Konstantyna V, nie narodzonego jeszcze Manuela Komnena i wielu innych, że klęczałem niemal u boku Konstantyna XI w ostatnią noc Bizancjum, że widziałem Leona Izauryjskiego kierującego ikonoklazmem. Nie powiedziałem mu też, że - jako jeden z bardzo wielu mężczyzn różnych stanów - pięć wieków temu miałem przyjemność zatkać, choć na krótko, wiecznie otwartą dziurkę Teodory. Wstydliwie spuściłem wzrok i płoniąc się skromnie powiedziałem:

- Dziękuję, Wasza Miłość.

46.

Bizantyńskie uczyty nie mogły obejść się bez muzyki, tańców niewolnic, odrobiny jedzenia i wielkiej ilości wina. Noc dobiegała kresu, świece dopalały się już, obecni notable z trudem utrzymywali równowagę. W zapadającym mroku bez trudu przyszło mi wtopić się w tło wielkich rodów. Komnenów, Fokasów, Sklerosów, Dalassenów, Diogenesów, Botanidesów, Cymiscesów i Dukasów. Prowadziłem dworskie rozmowy, zachwycony własną zręcznością. Obserwowałem nawiązujące się za plecami pijanych mężów nici małżeńskiej zdrady; nici cienkie, delikatne, lecz niewystarczająco delikatne. Pożegnałem cesarza Aleksego, odbierając przy okazji zaproszenie do Blachernai ("to zaledwie trzy kroki stąd, przy tej samej ulicy"), udało mi się nawet uniknąć jakoś Eudoksji, która wypła za wiele i marzyła o szybkim numerku w sąsiednim pokoju (wybrała sobie w końcu niejakiego Bazylego Diogenesa, mającego najmarniej siedemdziesiątkę), odpowiedziałem wymijająco na co najmniej milion pytań dotyczących mojego "kuzyna" Metaxasa, którego wprawdzie znali wszyscy, lecz o którym nikt tak naprawdę nic nie wiedział, I wreszcie - po trzech godzinach - mogłem także porozmawiać z Pulcheria.

Staliśmy w kącie sali balowej; światła dostarczały nam migające świece. Pulcheria była

zarumieniona, sprawiała wrażenie ożywionej, nawet podnieczonej, pierś jej falowała, nad górną wargą dostrzegłem kropelki potu. Jeszcze nigdy nie stałem wobec tak oszałamiającej piękności.

- No i popatrz - westchnęła. - Leon zasnął. Kocha wino nade wszystko... prawie.

- Musi kochać piękno - odparłem. - Przecież się nim otoczył.

- Pochlebca!

- Nie. Próbuję oddać sprawiedliwość prawdzie.

- Zapewne nieczęsto ci się to udaje. Kim jesteś?

- Nazywam się Markezinis. Pochodzę z Epiru.

- Niewiele mi to mówi. Wolałabym wiedzieć, czego szukasz w Konstantynopolu.

Wziąłem głęboki oddech.

- Tu ma się spełnić me przeznaczenie - powiedziałem. - Tu spotkam kogoś, kogo kocham.

To nią wstrząsnęło. Siedemnastoletnie dziewczęta łatwo łapią się na czule, namiętne słówka, nawet Bizantynki, wczesnie dojrzewające i wychodzące za mąż w wieku dwunastu lat. Mówcie mi Heathcliff.

Pulcheria westchnęła. Skromnie skrzyżowała ramiona na wzgórzach swych piersi. Zadrżała.

Może się mylę, ale miałem wrażenie, że nawet zmrużyła oczy.

- To niemożliwe - uprzedziła.

- Nie ma nic niemożliwego!

- Mój mąż...

- Śpi twardo. Tej nocy... i pod tym dachem...

- Nie, nie.

- Walczysz z przeznaczeniem, Pulcherio.

- Grzesiu!

- Łączy nas tajemna moc... moc rozciągająca się przez stulecia...

- Tak, Grzesiu?

Spokojnie, spokojnie, praprapra... wnuczku. Uważaj, co mówisz. Chłapanie jęzorem o pochodzeniu z przyszłości to najgłupsze ze wszystkich przestępstw czasowych.

- Tracimy czas. Przeznaczeniu nie sposób się oprzeć - powiedziałem tylko.

- Tak, och, tak! Grzesiu!

- Tej nocy.

- Tej nocy.

- Pod tym dachem.

- Pod tym dachem - powtórzyła Pulcheria.

- Wkrótce.

- Kiedy wyjdą ostatni goście. Kiedy położymy Leona do łóżka. Ukryję cię w bezpiecznym pokoju... przyjdę do ciebie...

- Wiedziałaś, że to nastąpi - stwierdziłem. - Wiedziałaś o tym tego dnia, kiedy spotkaliśmy się w sklepie.

- Tak. Wiedziałam. Wystarczyło jedno spojrzenie. Czyżbyś z czarował mnie, czyżby twoja magia...

- Nie, Pulcherio. Połączyła nas magia, którą dysponujemy oboje. Magia przyciągnęła nas ku sobie, magia ukształtowała ten moment w czasie, magia tkła nici przyszłości, magia ruszyła z posad królestwo samego Chronosa...

- Tak dziwnie mówisz, Grzesiu. I tak pięknie. Z pewnością jesteś poetą!

- Być może.

- Za dwie godziny będziesz mój.

- A ty będziesz moja.

- Na zawsze!

Zadrzałem. Patrol wisiał nade mną jak miecz Damoklesa.

- Na zawsze, Pulcherio - powiedziałem.

47.

Pulcheria porozmawiała ze służbą. Powiedziała, że pewien młody człowiek z Epiru wypił zbyt wiele i chciałby położyć się w którymś z gościnnych pokoi. Z powodzeniem udałem pijanego. Metaxas znalazł się nagle przy mym boku. Życzył mi wszystkiego najlepszego. Przy świetle świecy odbyłem pielgrzymkę przez labirynt pałacu Dukasów, docierając wreszcie do niewielkiej, zwykłej sypialni, położonej gdzieś przy jego krańcu. Jedynym znajdującym się tu meblem było niskie łóżko, za jedyną dekorację służyła mozaika podłogi. Jedno niewielkie okno wpuszczało do środka promień księżycowego światła. Służący przyniósł mi miskę wody, życzył dobrej nocy i odszedł.

Czekałem miliard lat.

Z dala dobiegały mnie odgłosy zabawy. Pulcherii nie było.

To tylko żart, powtarzałem sobie. Zakpiono ze mnie. Młoda, lecz nad wiek wyrafinowana pani domu postanowiła poigrać sobie z ubogim kuzynem z Epiru. Pozostawi mnie, bym do rana siedział tu wyłamując sobie palce, a wtedy przyśle służącego, który wskaże mi drzwi. A może za kilka godzin w mym pokoju pojawi się niewolnica, mająca udawać Pulcherię? Albo bezzębna starucha, a goście będą nas obserwować przez znajdujące się w ścianie otwory. Albo...

Po raz tysięczny rozważałem, czy nie powinienem po prostu uciec. W końcu wystarczyło dotknąć timera, by skoczyć z prądem do 1204 roku, do mych śpiących kamieni u szyi: Conrada Sauerabenda, Palmyry Gostaman, państwa Haggins...

Więc mam się stąd wynieść? Teraz? Kiedy wszystko poszło tak szybko i tak łatwo? Co powie Metaxas, gdy dowie się, że stchórzyłem i...

Nagle przypomniałem sobie Sama, mego guru, pytającego: "Gdyby ktoś dał ci szansę spełnienia pragnienia twego serca, sięgnąłbyś po nią?".

Pulcheria była pragnieniem mego serca. Co do tego nie miałem najmniejszych wątpliwości.

Przypomniałem sobie jeszcze, jak Sam, mój guru, mówił: "Jesteś nałogowym pechowcem.

Nałogowi pechowcy zawsze wybierają najgorsze wyjście".

Dobra, wiej, praprapra... wnuczku. Wynoś się z teraz, nim skorzystasz z ofiary ciemnego, wonnego łona swej antycznej antenatki.

Wspomniałem też Emily, dziewczynę z salonu genspirali, dziewczynę obdarzoną darem proroczym, krzyczącą piskliwie: "Strzeż się! Strzeż się miłości w Bizancjum. Strzeż się, strzeż!".

A ja się zakochałem. W Bizancjum.

Wstałem. Przemierzyłem pokój po raz tysięczny. Przystanąłem przy drzwiach, wsłuchując się w daleki śmiech, w niemal niesłyszalne dźwięki pieśni. Rozebrałem się, porządnie składając każdą część garderoby i układając z nich schludny stosik obok łóżka. Stałem nagi, jeśli nie liczyć timera, i zastanawiałem się, czy przypadkiem jego też nie powinienem usunąć. Co powie Pulcheria widząc na mym ciele czerwonobrazowy pas? Jak mam wyjaśnić jej jego obecność?

Zdjąłem więc i timer, żegnając się z nim po raz pierwszy w trakcie pobytu w czasie. Zalała mnie fala prawdziwego przerażenia, czułem się bardziej niż nagi, czułem się obdarty z ciała aż do kości. Bez zawiązanego na biodrach timera byłem niewolnikiem czasu, jak ci nieszczęśni, otaczający mnie ludzie. Bez timera nie mogłem uciec z terażniejszej terażniejszości. Gdyby Pulcheria planowała jakiś okrutny żart, gdyby złapano mnie bez timera w zasięgu ręki, byłbym skazany.

Jak najszybciej potrafiłem, z powrotem przypasałem timer.

A potem się umyłem. Umyłem się dokładnie, wszędzie; myłem się dla Pulcherii. I stanąłem przy łóżku, czekając kolejny miliard lat. I tęsknie wyobrażałem sobie ciemne, twarde sutki dużych piersi Pulcherii, i miękką skórę jej ud. I moja męskość obudziła się do życia, wzrastając w stopniu, który jednocześnie uradował mnie i zawstydził.

Nie pragnąłem, by Pulcheria zastała mnie w takim stanie - stojącego obok łóżka z erekcją

niczym dąb. Wyglądałem z nią, jakbym wyhodował sobie trzecią nogę; powitać tak Pulcherię byłoby nieprzyzwoitą wręcz bezpośredniością. Ubrałem się szybko, czując się jak idiota. I znów czekałem miliard lat. I dostrzegłem, jak w okienku ze srebrnymi promieniami księżyca mieszają się złote promienie wstającego słońca.

Drzwi się otworzyły. Pulcheria weszła, zamknęła je za sobą i zarygłowała.

Zmyła makijaż. Zdjęła całą biżuterię - z wyjątkiem ciężkiego złotego wisiora na piersi.

Ceremonialny strój zastąpiła prostą jedwabną szatą. Nawet w słabym świetle dopalających się świec widziałem, że jest pod nią naga. Jej nagość rozpałała mnie do szaleństwa.

Podeszła do mnie, jakby płynęła w powietrzu.

Wziąłem ją w ramiona i próbowałem pocałować. Nie wiedziała, co to pocałunek. Pozycja, którą trzeba przyjąć, by zetknęły się usta, była jej całkowicie obca. Musiałem ją sobie ustawić.

Przechyliłem jej głowę. Uśmiechnęła się zdziwiona, lecz nie protestowałaś

Nasze wargi zetknęły się wreszcie. Wysunąłem język. Pulcheria zadrżała i mocno się do mnie przytuliła. Teorię pocałunku opanowała błyskawicznie.

Przesunąłem dłońmi po jej ramionach i plecach. Rozchyliłem otulającą ją szatę. Drżała, kiedy ją rozbierałem.

Dotknąłem jej nagich piersi. Dwie... to by się zgadzało, prawda? Jasnoróżowe sutki.

Opuściłem dłonie na pośladki. Rozmiar idealny. Przesunąłem opuszkami palców po udach. Udom nic nie można było zarzucić.

Jakie słodkie są te dwa małe dołeczki tuż nad pośladkami!

Pulcheria była jednocześnie wstydliva i namiętna - idealna kombinacja.

Kiedy się rozebrałem, dotknęła timera, przesunęła po nim palcem, ale nie pytała o nic i niemal natychmiast jej dłonie powędrowały niżej.

Padliśmy na łóżko.

Wiecie, seks to doprawdy śmieszna rzecz. To znaczy, chodzi mi o sam akt fizyczny. O to, co w powieściach z XX wieku nazywają "uprawianiem miłości", to, o czym mówiło się "spać ze sobą". To znaczy, proszę tylko pomyśleć, jak wysilali się pisarze, żeby pięknie opisać pieprzenie się. A właściwie o co tu tak naprawdę chodzi?

Bierze się ten sztywny kawałek ciała i wkłada w wilgotny otwór.

Porusza się nim w otworze, aż nagromadzi się tego tyle, żeby mogło dojść do wydalenia.

Zupełnie jak rozpalanie ognia przez pocieranie dwóch patyczków. I o czym tu mówić? Wtykasz odcinek A w otwór B, posuwasz nim w otworze, póki nie skończysz.

Wystarczy przyjrzeć się temu aktowi, żeby dostrzec, jaki jest śmieszny. Pośladki podskakują w górę i w dół, te wymachujące nogi, zduszone stęknienia, ruchy to szybkie, to znów wolniejsze - czy można wyobrazić sobie coś idiotyczniejszego niż ten akt, determinujący wszystkie zachowania ludzkości?

Oczywiście, nie można. A jednak ten właśnie akt, dopełniony z Pulcheria, był dla mnie najważniejszy w świecie, a dla niej - być może - nawet ważny.

Mam teorię. Mianowicie - znaczenie seksu, dobrego seksu, jest przede wszystkim symboliczne. Fakt, że rzucasz się, wysilasz i masz z tego odrobinę przyjemności, wcale nie jest taki ważny. Tę samą przyjemność można mieć nie szukając sobie partnera, a jednak to nie całkiem to samo, prawda?

Nie, seks to znacznie więcej niż tylko swędzenie w kroczu. To sposób na uczczenie duchowego zjednoczenia, aktu absolutnego zaufania. W łóżku tak naprawdę zawieramy układ - ja mówię: "Widzisz, dam ci siebie spodziewając się od ciebie przyjemności i sam zrobię wszystko, by dać przyjemność tobie". Nazwijmy to umową społeczną. Urokiem seksu jest umowa, a nie będąca jej skutkiem przyjemność.

Swemu partnerowi mówisz także: "Proszę, oto moje nagie ciało ze wszystkimi jego

słabościami; ufam, że ich nie wyśmiejesz". I mówisz mu jeszcze coś innego: . Akceptuję najintymniejszy możliwy kontakt z tobą ufając, że nie zarazisz mnie obrzydliwą chorobą. Jestem gotów zaryzykować, bo ty to ty". Jeśli zaś chodzi o kobietę, to do końca XIX lub nawet początku XX wieku mówiła ona mężczyźnie: "Otwierani się przed tobą, choć nie chciane konsekwencje tego aktu mogą objawić się za dziewięć miesięcy".

Wszystko to jest znacznie ważniejsze niż krótkotrwała ulga. I dlatego mechaniczne masturbatory jak dotąd nie wyparły seksu... i nigdy go nie wyprą. I dlatego godziny spędzone z Pulcheria Dukas tego ranka roku 1105 były dla mnie znacznie ważniejsze niż godziny spędzone z cesarzową Teodora pięćset lat wcześniej, niż to, co zdarzyło się między mną i całkiem sporą liczbą dziewcząt tysiąc lat później. W Teodorę, w Pulcherię i w owe dziewczęta wpuściłem mniej więcej tę samą objętość gęstego płynu, ale z Pulcheria było zupełnie inaczej. Z Pulcheria orgazm był wyłącznie symbolicznym przypieczętowaniem czegoś znacznie ważniejszego. Stanowiła dla mnie wcielenie piękna i wdzięku, a to, że oddała mi się tak łatwo, uczyniło ze mnie władcę potężniejszego niż Aleksy. Fakt, że wystrzeliła ze mnie sperma, i fakt, że Pulcheria wówczas zadrżała, nie znaczył nic wobec faktu, że zaufaliśmy sobie nawzajem, że w siebie uwierzyliśmy, że połączyło nas nie tylko pożądanie, lecz... tak, miłość. Oto jądro mej filozofii. Obnażyłem się przed tobą, czytelniku, jako niepoprawny romantyk. Głębia tych rozważań rodziła się ze wszystkich mych doświadczeń i oto ją masz: seks z miłością jest lepszy niż seks bez miłości. Q. e. d. Jeśli chcesz, czytelniku, udowodnię ci jeszcze kilka równie głębokich prawd: lepiej być zdrowym niż chorym, lepiej mieć kupę forsy, niż żyć w ubóstwie... i tak dalej. Dysponuję nieograniczonymi wręcz zdolnościami abstrakcyjnego myślenia.

48.

Mimo że bez problemu udało nam się udowodnić to, co chcieliśmy udowodnić, w pół godziny po przeprowadzeniu dowodu przeprowadziliśmy analogiczny dowód po raz drugi.

Redundancja to klucz do zrozumienia człowieka i świata.

Po przeprowadzeniu drugiego dowodu leżeliśmy w łóżku nieruchomo, błyszczący od potu.

Nadeszła właściwa chwila, by oferować partnerce zielsko i dzielić z nią wspólnotę innego rodzaju, lecz tu oczywiście nie było to możliwe.

Muszę przyznać, że tego akurat mi brakowało.

- Czy tam, skąd pochodzisz, jest inaczej? - spytała Pulcheria. Chodzi mi o ludzi, jak się ubierają, jak rozmawiają...

- Jest zupełnie inaczej - odparłem.

- Wyczuwam w tobie ogromną obcość. Czulałam ją nawet w łóżku. Nie to, żebym jakoś doskonale się na tym znała, zrozumiem, nie w tym rzecz. Ty i Leon to jedyni mężczyźni, jakich kiedykolwiek miałam.

- Naprawdę? - zdziwiłem się.

Oczy jej zabłysły.

- Bierzesz mnie za kobietę lekką?!

- Nie... nie, oczywiście, że nie... - niezbyt przekonywająco to wyszło. Nagle stwierdziłem, że brakuje mi słów. - W moim kraju powiedziałem z rozpaczą w sercu - dziewczyna może mieć przed ślubem wielu mężczyzn. Nikomu to nie przeszkadza. Taki zwyczaj.

- Tu jest inaczej. Tu kobiet się pilnuje. Wychodząc za mąż miałam dwanaście lat. Zabrakło mi czasu, żeby nacieszyć się życiem. - Zmarszczyła brwi, usiadła i pochyliła się nade mną. Spojrzała mi w oczy. Jej piersi podniecająco wisały mi nad ustami. - Czy w twoim kraju kobietom rzeczywiście tyle wolno?

- Prawdę mówiąc, Pulcherio, nawet więcej.

- Przecież jesteście Bizantyńczykami, nie jakimiś barbarzyńcami z północy! Jak można pozwolić, by kobieta miała tylu mężczyzn?

- Takie mamy zwyczaje - wyjaśniłem niepewnie.

- A więc może tak naprawdę wcale nie pochodzisz z Epiru? Może urodziłeś się gdzieś znacznie dalej? Powtarzam ci raz jeszcze, wydajesz mi się bardzo dziwnym człowiekiem, Grzegorzu.

Zdobyłem się na śmiałość.

- Nie nazywaj mnie Grzegorzem. Mów mi Jud.

- Jud?

- Tak, Jud.

- Dlaczego mam nazywać cię Jud?

- To moje sekretne imię. Prawdziwe. Grzegorz to tylko imię... którego używam.

- Jud. Jud... Takiego imienia nigdy nie słyszałam. Doprawdy, jesteś z dalekiego kraju. Od razu wiedziałam!

Uśmiechnąłem się do niej uśmiechem sfinksa.

- Kocham cię - wyznałem i zacząłem ssać jej sutki, żeby zmienić temat.

- Jesteś taki dziwny - powiedziała. - Taki inny. A jednak od razu poczułam, jak coś mnie do ciebie przyciąga. Bo wiesz, od dawna chciałam być taka, właśnie zła, ale nigdy się nie ośmieliłam. Och, oczywiście miałam propozycje, dziesiątki propozycji, ale ja kość żadna z nich nie wydała mi się warta wszystkich tych kłopotów. A potem zobaczyłam ciebie i poczułam ten płomień... to pragnienie. Dlaczego? Wytlumacz mi dlaczego! Nie jesteś ani przystojniejszy, ani brzydszy od wielu mężczyzn, którym mogłam się oddać, wybrałam jednak tylko ciebie. Dlaczego?

- To przeznaczenie. Przecież mówiłem, że to przeznaczenie. Przeznaczenie połączyło nas poprzez...

"... wieki..." - miałem na końcu języka.

- ... poprzez morze - zakończyłem niezręcznie.

- Przyjdiesz do mnie jeszcze? - spytała.

- Nie raz i nie dwa.

- Znajdę jakiś sposób, żebyśmy mogli się widywać. Leon nigdy się nie dowie. Tyle czasu spędza w banku... wiesz, jest jednym z jego właścicieli... i w ogóle interesy tak go pochłaniają, że prawie wcale nie zwraca na mnie uwagi. Jestem dla niego ładniutką zabawką. Będziemy się spotykać, Jud, często spotykać, i damy sobie wiele radości i... - jej czarne oczy nagłe rozbłysły - ... i może dasz mi dziecko!

Niebo się nade mną otworzyło, a z tego nieba piorun strzelił, jakby celował wprost we mnie.

- Pięć lat małżeństwa i nie mam dziecka - mówiła dalej Pulcheria. - Nie rozumiem. Może najpierw byłam za młoda - kiedy wyszłam za mąż byłam taka młoda! - ale i teraz nic. Daj mi dziecko, Jud. Leon tylko ci za to podziękuje... to znaczy, będzie szczęśliwy, będzie myślał, że to jego... w tobie jest nawet coś z Dukasów, może te oczy... więc nie będzie żadnych kłopotów. Jak myślisz, czy dziś zrobiliśmy dziecko?

- Nie!

- Nie? Jak możesz być tego taki pewny?

- Mam swoje sposoby - powiedziałem. Pogładziłem jej jedwabistą skórę. Jeszcze dwadzieścia dni bez pigułki, pomyślałem sobie, i będziesz miała ze mną tyle dzieci, ile tylko zechcesz, Pulcherio. Splączę tym nici czasu tak, że nikt ich już nie rozplącze. Czyżbym był własnym praprapra... dziadkiem? Czy jestem nasieniem swego nasienia? Czy czas zapętle się sam w sobie, by mnie wyprodukować? Nie. To nigdy nie ujdzie mi na sucho. Mogę obdarzyć Pulcherię uczuciem, ale nie mogę obdarzyć jej dzieckiem.

- Świta już - szepnąłem.

- Lepiej odejść. Dokąd mogę przesyłać ci wiadomości?

- Do Metaxasa.

- Świetnie. Więc spotkamy się za dwa dni? Wszystko załatwię.

- Jestem twój, kiedykolwiek mnie zechcesz, Pulcherio.

- Dwa dni. A teraz idź. Odprowadzę cię do wyjścia.

- To zbyt ryzykowne. Służba pewnie już się budzi. Wracaj do swojego pokoju, Pulcherio.

Sam potrafię się stąd wydostać.

- Ale... to przecież niemożliwe...

- Znam drogę.

- Znasz drogę?

- Przysięgam ci, znani drogę.

Wymagało to starań, ale w końcu jakoś zdołałem jej wytłumaczyć, że wcale nie musi wyprowadzać mnie z pałacu. Pocałowaliśmy się jeszcze raz, Pulcheria narzuciła na siebie szatę, ja złapałem ją za ramię, przytuliłem i puściłem. Wyszła. Odliczyłem sześćdziesiąt sekund, ustawiłem timer i skoczyłem sześć godzin pod prąd. Zabawa trwała w najlepsze. Przeszedłem przez budynek, unikając tylko sali, w której moje wcześniejsze ja, nie zaznajomione jeszcze z rozkoszami ciała Pulcherii, gawędziło swobodnie z cesarzem Aleksym. Nie zauważony wyszedłem z pałacu Dukasów. W ciemności, stojąc przy falochronie otaczającym Złoty Róg, znów ustawiłem timer i skoczyłem z prądem do 1204 roku. Natychmiast pospieszyłem do gospody, w której zostawiłem moich śpiących turystów. Zajęło mi to niespełna trzy minuty, na miejsce dotarłem w mniej niż trzy minuty licząc od chwili skoku do ery Pulcherii, choć wydawało się, że od tego czasu upłynęły dni. Wszystko w porządku. Przeżyłem noc nieopanowanej namiętności, oczyściłem duszę z paralizującej ją tęsknoty, no i wróciłem do zawodu. Tyle dokonałem, a nikt w niczym się nie zorientował.

Sprawdziłem łóżka.

Państwo Haggins. Na miejscu.

Państwo Gostaman. Na miejscu.

Panna Pistil i Bilbo. Na miejscu.

Palmyra Gostaman. Na miejscu.

Conrad Sauerabend. Na miejscu... nie!

Conrad Sauerabend...

Jaki Conrad Sauerabend? Conrada Sauerabenda nie było na miejscu. Conrada Sauerabenda nie było w łóżku. Jego łóżko było puste. Wystarczyły trzy minuty, by Conrad Sauerabend mi uciekł.

Dokąd uciekł?

Poczułem pierwsze ukłucia paniki.

49.

Spokojnie. Tylko spokojnie. Nie wolno ci się denerwować. Facet poszedł sobie do pissoir.

Zaraz wróci.

Punkt pierwszy. Kurier musi znać miejsce pobytu wszystkich swych turystów w każdej chwili. Kara za złamanie tego przepisu...

Zapaliłem pochodnię w tłącym się jeszcze kominku. Pobiegnę korytarzem.

Sauerabend? Sauerabend!

Nie sika. Nie zszedł na dół, by znaleźć sobie coś do jedzenia. Nie bada zawartości piwniczki na wino.

Sauerabend!

Gdzieś ty się podział, świniu?!

Na wargach nadal czułem smak ust Pulcherii. Na ciele, wraz z moim potem, wysychał też jej pot. Na podbrzuszu nadal czułem wilgoć jej łona. Słodkie, zakazane radości transtemporalnego kazirodztwa nadal grały mi w duszy liryczną symfonię.

Za to, co się stało, Patrol Czasowy bez dyskusji mnie załatwi. Powiem im: "Zginął mi

człowiek", a oni zapytają: Jak to się stało?". "Na trzy minuty wyszedłem z pokoju, a on znikł". "Trzy minuty, co? Przecież nie wolno ci...", a ja będę tłumaczył: "To były zaledwie trzy minuty. Chryste, nie spodziewacie się chyba, że będę pilnować ich dwadzieścia cztery godziny na dobę!". Potraktują to ze zrozumieniem, niemniej jednak będą chcieli wszystko sprawdzić, ze sprawdzenia zaś im wyjdzie, że pozwoliłem sobie skoczyć do jakiegoś innego punktu w czasie, więc wysilą się trochę i sprawdzą, że byłem w roku 1105, gdzie znajdą mnie w objęciach Pulcherii. Ukarzą mnie nie tylko za niedopilnowanie turysty, lecz także za kazirodztwo z własną praprapra...

Uspokój się. Uspokój.

Sprawdziłem ulicę. Poświeciłem pochodnią. Sauerabend? Sauerabend?

Na ulicy nie było żadnego Sauerabenda.

Gdybym był Sauerabendem, dokąd bym się udał? Do domu jakiejś dwunastoletniej

Bizantynki? A jak niby miał taką znaleźć? Jak się do niej dostać? Nie, nie, to nie leżało w granicach jego możliwości. Więc gdzie jest? Spaceruje po mieście? Wyszedł zaczerpnąć świeżego powietrza?

Powinien spać. Chrapać. Nie. Nagle zdałem sobie sprawę, że kiedy skoczyłem do 1105, nie spał i nie

chrapał, tylko napastował Palmyrę Gostaman.

Pospiesznie wróciłem do gospody. Bieganie ciemnymi uliczkami Konstantynopola nie miało żadnego sensu.

Coraz bardziej zdenerwowany i wściekły obudziłem Palmyrę. Usiadła, potarła oczy, zaczęła się skarżyć. Światło pochodni padło na jej płaską białą pierś.

- Gdzie jest Sauerabend? - syknąłem.

- Powiedziałaś mu, żeby się ode mnie odczepił. Powiedziałaś mu, że jeśli się nie odczepi, to mu odgryzę fiutka. Wsadził rękę o, tu i...

- Dobra, dobra, ale gdzie on jest?

- Nie mam pojęcia. Po prostu poszedł sobie. Było ciemno. Zasnęłam może ze dwie minuty

temu. Dlaczego mnie pan obudził?

- Też mi pomoc - warknąłem. - Idź spać.

Uspokój się, Judson. Uspokój. Całą sprawę można załatwić całkiem prosto. Gdybyś się tak nie trząsał, już dawno domyśliłbyś się, że możesz wmontować Sauerabenda do tego pokoju, tak jak wmontowałeś Marge Hefferin do życia. Coś takiego jest oczywiście nielegalne. Kurierom nie zezwala się na dokonywanie korekt przeszłości. To zadanie dla Patrolu. Ale korekta będzie przecież niewielka. Potrafisz dokonać jej szybko, nikt się nigdy o niczym nie dowie. Z Hefferin ci się udało, prawda? Prawda? Prawda, Jud. To twoja ostatnia szansa, Jud.

Usiadłem na łóżku i wziąłem się za planowanie całej akcji. Noc z Pulcheria nieco przytępiła mi intelekt. Myśl, Jud. Myśl, jak jeszcze nigdy nie myślałeś.

Myślałem z ogromnym wysiłkiem.

O której godzinie skoczyłeś w 1105 rok?

Czternaście minut przed północą.

O której godzinie wróciłeś pod prąd, w 1204 rok?

Jedenaście minut przed północą.

Która jest teraz godzina?

Minuta przed północą.

Więc kiedy Sauerabendowi udało się wymknąć z pokoju?

Między za czternaście i za jedenaście dwunasta.

Dobrze, świetnie. Teraz musisz skoczyć pod prąd. Ile musisz skoczyć, żeby dorwać faceta?

Mniej więcej trzynaście minut.

Zdajesz sobie sprawę z tego, że jeśli skoczysz więcej niż te trzynaście minut, spotkasz swe poprzednie ja, przygotowujące się do skoku w 1105 rok? To się nazywa paradoks duplikacji.

Muszę ryzykować. Już mam problemy znacznie większe niż wywołanie paradoksu

duplikacji.

Więc lepiej skacz i załatw sprawę.

Dobra. Do roboty!

Ustawiłem timer z perfekcyjną doskonałością - trzynaście minut minus kilka sekund. Z przyjemnością zauważyłem, że moje poprzednie ja zdążyło już skoczyć, Sauerabend natomiast nie.

Wstrętny grubas siedział na łóżku, obrócony plecami do mnie. Powstrzymanie go to chyba najprostsza rzecz pod słońcem. Zakażę mu po prostu opuszczania pokoju. Przez trzy minuty; to powinno załatwić sprawę. W chwili gdy pojawi się tu me poprzednie ja - jedenaście minut przed północą, skoczę dziesięć minut pod prąd, zajmując właściwe miejsce w strumieniu czasu. Sauerabend będzie więc pod opieką kuriera (w tym lub innym jego wcieleniu) przez cały niebezpieczny odcinek czasu, od za czternaście dwunasta. Nastąpi co prawda duplikacja, lecz tylko na najkrótszą chwilę, spotkam się bowiem z mym powracającym ja, ale zniknę z tego poziomu czasowego tak szybko, że facet po prostu nic nie zauważy. Wreszcie wszystko będzie tak, jak być powinno.

Dobrze. Doskonale.

Ruszyłem przez pokój w jego stronę, zamierzając zablokować mu drogę ucieczki.

Sauerabend odwrócił się nie wstając z łóżka. Dostrzegł mnie.

- Wróciłeś? - zdziwił się.

- Owszem. Nie mam zamiaru...

Położył dłoń na timerze i znikł.

- Czeka! - wrzasnąłem, budząc wszystkich w zasięgu głosu. - Nie możesz... to niemożliwe...

timery turystów są zablokowane...

Głos mi się załamał i mogłem już tylko bełkotać. Sauerabend znikł, dokonał skoku na moich oczach! Wrzeszczenie na puste miejsce, miejsce, w którym już go nie było, to marny sposób, żeby

sprowadzić go z powrotem. Co za cholernie sprytna, perfidna świnia! Bawił się timerem. Głosił wszem wobec, że potrafi go uruchomić, i rzeczywiście, jakoś odpieczętował kontrolki i uruchomił timer.

Teraz znalazłem się w sytuacji najgorszej z możliwych. Oto jeden z moich turystów szaleje sobie w czasie, dysponując działającym timerem. Może dotrzeć, gdzie tylko chce... co za burdel! Po prostu wpadłem w rozpacz. Patrol dorwie go oczywiście, i to z pewnością jeszcze przed popełnieniem serii poważnych przestępstw czasowych, ale ponad wszelką wątpliwość oberwę za to, że udało mu się wyrwać na wolność.

Chyba że go złapię, nim zdoła wyrwać się na wolność.

Od chwili kiedy znalazłem się tu, by powstrzymać Sauerabenda, minęło pięćdziesiąt sześć sekund.

Nie zastanawiałem się długo nad tym, co powinienem zrobić. Nastawiłem timer na sześćdziesiąt sekund i skoczyłem. I znów zobaczyłem Sauerabenda siedzącego na łóżku. Z drugiego końca pokoju patrzyło na niego moje drugie ja. Reszta turystów spała, mój krzyk jeszcze ich nie obudził.

Świetnie. Mamy przewagę liczebną. Załatwimy sukinsyna.

Rzuciłem się na niego mając zamiar przytrzymać mu rękę, uniemożliwić skok. Drgnął i niemal nim zdążyłem się poruszyć, z diabelską szybkością opuścił dłoń na timer. Skoczył! Znikł!

Leżałem na jego pustym łóżku sparaliżowany szokiem.

Drugi Jud spojrzał na mnie nieprzychylnie.

- Skąd się tu wzięłeś, u diabła? - spytał.

- Jestem pięćdziesiąt sześć sekund przed tobą. Już raz próbowałem go dorwać. Teraz skoczyłem, żeby spróbować po raz drugi.

- I znów spudłowałeś.

- Nie da się ukryć.

- Za to udało ci się nas zduplikować.

- Przynajmniej temu można zaradzić bez kłopotu - stwierdziłem i sprawdziłem czas. - Za trzydzieści sekund skoczysz w tył sześćdziesiąt sekund, włączając się w prądy czasu.

- Za cholere - stwierdził Jud B.

- Jak to?

- Po co mam skakać? Sauerabenda dalej nie będzie, to znaczy będzie w drodze. Nie dorwę go, prawda?

- Przecież musisz skoczyć - powiedziałem.

- A to czemu?

- Ponieważ ja to zrobiłem w tym momencie.

- Ale ty miałeś powód. Właśnie chybiłeś Sauerabenda; chciałeś skoczyć minutę w tył i go dorwać. Ja jednak nie miałem nawet szansy, żeby go chybić. A poza tym czemu mamy martwić się prądami czasu? Prądy czasu już się zmieniły.

Miał rację, niech go diabli. Minęło te pięćdziesiąt sześć sekund. Byliśmy teraz w momencie, w którym ja po raz pierwszy spróbowałem zapobiec ucieczce Sauerabenda, lecz Jud B, który najprawdopodobniej żył teraz w tej minucie, w której ja żyłem tuż przed pierwszym zniknięciem Sauerabenda, przeżył tę minutę zupełnie inaczej niż ja. Wszystko się pomieszało. Spłodziłem duplikata, który nie chciał i nie miał dokąd pójść. Było już za trzynaście dwunasta; północ zbliżała się nieuchronnie. Jeszcze dwie minuty i dołączy do nas trzeci Jud - ten, który wskoczył w ten czas wyskoczywszy przed chwilą z ramion Pulcherii i który miał dopiero odkryć pierwsze zniknięcie Sauerabenda. On też miał swe przeznaczenie - dziesięć minut w panice próbował zdecydować, co robić, a potem skoczył z za minutę północ do za czternaście minut północ, rozpoczynając proces, który nas właśnie powołał do życia.

- Musimy się stąd wynosić - powiedział Jud B.
- Nim on się pojawi - dokończyłem za niego.
- Właśnie. Jeśli nas zobaczy, może nie zdecydować się na ten skok do za czternaście północ, a to...
- ... a to może wyeliminować z życia ciebie i mnie.
- To dokąd skaczymy? - spytał on.
- Możemy skoczyć te trzy, cztery minuty wstecz i spróbować razem złapać Sauerabenda.
- Nie możemy. Nałożymy się na tego trzeciego, który właśnie wybiera się do Pulcherii.
- No to co? Zmusimy go, by szedł swoją drogą, kiedy tylko przyskrzynimy tego gościa.
- Powtarzam, że nie możemy. Bo jeśli nie przyskrzynimy Sauerabenda, spowodujemy kolejną zmianę w prądach czasu i, być może, przywołamy trzeciego z nas. Wywołamy efekt lustrzanego odbicia, będziemy się duplikować, aż zrobi się nas milion. Z tym timerem facet jest dla nas za szybki.
- Masz rację. - Żałowałem, że Jud B nie wrócił na swoje miejsce, kiedy jeszcze był na to czas. Dwanaście minut do północy.
- Mamy sześćdziesiąt sekund na podjęcie decyzji. To dokąd?
- Nie wracamy po Sauerabenda. Za nic!
- Zgoda.
- Ale musimy jakoś go zlokalizować.
- Tak.
- A on może być wszędzie?
- Tak.
- Więc nas dwóch to za mało. Musimy znaleźć pomoc.
- Metaxas.

- Tak. A może i Sam.

- Tak. I może Capistrano?

- To Capistrano jest?

- Kto wie? Zawsze można spróbować. Potrzebny nam on, Buonocore, Jeff Monroe. Przecież to sytuacja kryzysowa!

- Słusznie. Słuchaj, mamy jeszcze tylko dziesięć sekund. Chodź ze mną.

Wybiegliśmy z pokoju. Zbiegliśmy na dół, do kuchni, mijając się o sekundy z Judem z za jedenaście dwunasta. Przycupnęliśmy w ciemnej wnęce pod kuchennymi schodami myśląc o Judzie, którego tylko te schody dzieliły od odkrycia, że Sauerabend znikł.

- Musimy pracować jak zgrana drużyna - powiedziałem. - Ty skoczysz pod prąd do 1105, znajdziesz Metaxasa i wyjaśnisz mu, co się stało. Niech wezwie posiłki. Wszyscy macie zająć się tropieniem linii czasowej Sauerabenda.

- A co z tobą?

- Mam zamiar zostać tutaj. Do za minutę dwunasta. Za minutę dwunasta ten my z góry skoczy pod prąd mniej niż trzynaście minut, żeby znaleźć Sauerabenda...

- ... pozostawiając turystów bez opieki...

- ... właśnie, a ktoś musi przecież z nimi zostać, więc kiedy tylko zniknie, pójdę na górę i odegram rolę Juda Elliotta, kuriera. Będę tu cały czas, dopóki nie dostanę od ciebie jakichś informacji. Zgoda?

- Zgoda.

- No to znikaj.

Znikł posłusznie, a ja skuliłem się w ciasny kłębek, drżąc ze strachu. Wszystko nagle zważyło mi się na głowę. Sauerabend znikł, ja zaś spłodziłem alter ego przez paradoks duplikacji - w ciągu jednego wieczora popełniłem kilka przestępstw czasowych, z których paru nie umiałem nawet

nazwać, i...

Chciało mi się płakać.

A przecież nie zdawałem sobie nawet sprawy z tego, że to dopiero początek.

50.

Za minutę dwunasta pozbierałem się jakoś i poszedłem na górę udając, że jestem jedynym prawdziwym Judem Elliottem. Wchodząc do sali pozwoliłem sobie na chwilę głupiej nadziei, że Sauerabend będzie zwyczajnie leżał w łóżku. Niech tylko wszystko da się naprawić retroaktywnie, modliłem się.

Sauerabenda jednak nie było.

Czy oznacza to, że wcale nie został znaleziony?

Niekoniecznie. Być może, chcąc uniknąć kolejnych problemów, pojawi się nieco z prądem, powiedzmy nad ranem, może nawet tuż przed świtem. Albo może wróci w moment, w którym skoczył - mniej więcej trzynaście minut przed północą, a ja po prostu nie będę świadom jego powrotu

z powodu jakiejś tajemniczej funkcji paradoksu przemieszczenia, przez którą znalazłem się na zewnątrz systemu.

Nie wiedziałem. I nawet wcale nie chciałem wiedzieć. Chciałem tylko, żeby Conrad Sauerabend został zlokalizowany, a następnie przeniesiony w swą właściwą pozycję w prądzie czasu, nim Patrol uświadomi sobie, że coś tu jest nie tak i wyciągnie z tego konsekwencje.

O spaniu nie było nawet mowy. Nieszczęśliwy siedziałem na brzegu łóżka, wstając od czasu do czasu, by sprawdzić, co tam u tu rystów. Gostamanowie spali. Hagginsowie spali. Palmyra, Bilbo i panna Pistil spali smacznie jak dzieci.

O wpół do trzeciej nad ranem ktoś lekko zapukał do drzwi. Podskoczyłem, otworzyłem je szarpnięciem i dostrzegłem stojącego na progu Juda Elliotta.

- Którym jesteś? - spytałem go ponuro.

- Tym samym, który był tu przedtem. Tym, który poszedł wezwać pomoc. Nie ma nas już więcej, co?

- Chyba nie ma - powiedziałem. Wyszliśmy razem na korytarz. - No i co? - spytałem niecierpliwie. - Co się właściwie dzieje?

- Nie było mnie tydzień - poinformował Jud B, mocno zniechęcony i nie ogolony. - Szukaliśmy, gdzie się dało, z prądem i pod prąd.

- My, to znaczy kto?

- No więc najpierw skoczyłem do Metaxasa, w 1105, tak jak mi poradziłeś. Bardzo go zaniepokoiła ta sytuacja, martwi się o nas. Od razu pchnął służbę, każąc sprawdzić, czy ktoś odpowiadający opisowi Sauerabenda nie pojawił się w okolicy 1105 roku.

- Cóż, nadmiar ostrożności nie zaszkodzi.

- Z pewnością. Warto chwytać się i brzytwy - zgodził się mój bliźniak. - Potem Metaxas skoczył z prądem do naszej terażniejszości i wydzwonił Sama, który jak na skrzydłach przyleciał z Nowego Orleanu, zabierając ze sobą Sida Buonocore. Kolettis, Gompers, Plastiras, Pappas - wszyscy

bizantyńscy kurierzy - też poinformowani zostali o sytuacji. Z powodu problemu nieciągłości nie alarmujemy nikogo żyjącego w innej terażniejszości, wcześniejszej niż grudzień 2059, ale i tak mamy z czego wybierać. No więc teraz postępujemy tak: od tygodnia przeczesujemy przeszłość rok po roku, zasięgamy języka na targu, szukamy jakiegoś tropu. Pracowałem osiemnaście, dwadzieścia godzin na dobę. Wszyscy inni też. Ich lojalność jest wspaniała.

- Nie wątpię. Jakie są szanse, że go znajdziemy?

- Cóż... zakładamy, że nie opuścił terenu Konstantynopola, chociaż nikt nie zabroni mu skoczyć w naszą terażniejszość, prze nieść się do Wiednia czy Moskwy i znów zniknąć pod prądem. My możemy tylko cierpliwie robić to, co robiliśmy do tej pory. Jeśli nie znajdziemy go w Bizancjum, przebadamy Turcję, potem cofniemy się do ery przedbizantyńskiej, a potem powiemy słówko

kurierom w naszej teraźniejszości, żeby mieli na niego oko podczas swoich wycieczek i...

Przerwał. Był wyraźnie wyczerpany.

- Słuchaj - powiedziałem mu - musisz odpocząć. Może wrócisz do 1105 i posiedzisz parę dni u Metaxasa? Kiedy poczujesz się lepiej, skocz tutaj, a ja dołączę do poszukiwań. Możemy się tak zmieniać w nieskończoność. Tę noc w 1204 potraktujemy jako punkt odniesienia, dobrze? Ilekroć będziesz chciał się ze mną spotkać, skacz tutaj; w ten sposób nie stracimy ze sobą kontaktu. Może to nam zająć więcej niż jedno życie, nawet dużo więcej, ale znajdziemy Sauerabenda i przyprowadzimy do grupy jeszcze przed świtem.

- Dobra.

- A więc wszystko jasne? Odpocznij u Metaxasa i wróć do mnie... powiedzmy za pół godziny. Potem cię zastąpię.

- Jasne - powiedział Jud B i wyszedł na ulicę, żeby wykonać skok.

Kontynuowałem melancholijne czuwanie. O trzeciej nad ranem Jud B powrócił, wyglądając jak nowy. Ogolił się, wykąpał co najmniej raz, a prawdopodobnie więcej niż raz, włożył nowe ubranie. Sprawiał wrażenie wyspanego i wypoczętego.

- Trzy dni wypoczynku u Metaxasa - oznajmił. - Magnifique!

- Dobrze wyglądasz. Aż za dobrze. Czyś ty przypadkiem nie wyrwał się pofiglować z Pulcheria?

- W głowie mi to nie powstało, ale gdyby nawet, to co? Ty sukinsynu, czyżbyś ostrzegał mnie, żebym trzymał się od niej z daleka?

- Nie masz najmniejszego prawa... !

- Zapomniałeś, że jestem tobą, przyjacielu? Nie możesz być zazdrosny o samego siebie!

- Zapomniałem - przyznałem ze skruchą. - Głupio z mojej strony, nie?

- Z mojej jeszcze głupiej. Rzeczywiście, powinienem ją odwiedzić. Zmarnowałem okazję.

- W każdym razie teraz moja kolej. Zabawię się w poszukiwania, a potem odsapnę sobie i może spędzę kilka chwil z naszą ukochaną. Nie masz nic przeciwko temu, prawda?

- Nie, nie mam - westchnął Jud B. - Muszę przyznać, że jest tak samo twoja, jak i moja.

- Słusznie prawisz. Jak już wszystko załatwię, wrócę do ciebie o, powiedzmy, trzeciej piętnaście. Rozumiesz?

Zsynchronizowaliśmy jeszcze prądy czasu nas obu w odniesieniu do 1105 roku, żeby uniknąć nieciągłości. Nie chciałem dotrzeć do Metaxasa, kiedy był u niego mój bliźniak lub, co jeszcze gorzej, nim zdążył się tam pojawić. Potem wyszedłem z gospody i skoczyłem pod prąd. W 1105 natychmiast wynająłem rydwan i pięknego jesiennego dnia dotarłem do willi Metaxasa.

Metaxas oczy miał podkrążone, na twarzy kilkuniedniowy zarost. Powitał mnie na progu słowami:

- Który jesteś, A czy B?

- A - odparłem. - B zastąpił mnie w gospodzie, w 1204. Jak tam poszukiwania?

- Kiepsko. Ale nie tracimy nadziei. Popieramy cię wszyscy, Jud, na sto procent. Wejdziesz, spotkasz paru starych przyjaciół.

51.

- Strasznie przepraszam za to, że sprawiłem wam takie kłopoty powiedziałem wchodząc do salonu.

Mężczyźni, których szanowałem najbardziej w świecie, uśmiechali się tylko, śmiali, spluwali i powtarzali: "Co tam, chłopie, nie ma sprawy".

Wszyscy byli ponurzy i zmęczeni. Wszyscy pracowali dla mnie ciężko i - jak na razie - bez rezultatów, czego nawet nie próbowali ukryć. Pragnąłem ich przycisnąć do serca. Czarnego Sambo, Jeffa Monroe o sztywnej i bladej, niczym plastikowej twarzy, Sida Buonocore o rozbieganych oczach, Kolettisa, Pappasa, Plastirasa. Przygotowali tablicę, by zaznaczać na niej miejsca, w których

nie znaleźli Sauerabenda. Sporo już było tych miejsc.

- Nie martw się, chłopcze - powiedział mi Sam. - Wytropimy go.

- Fatalnie się czuję. Pracujecie dla mnie w wolnym czasie i...

- Coś takiego mogło się zdarzyć każdemu z nas. To nie twoja wina.

- Nie moja?

- Sauerabend bawił się timerem bez twojej wiedzy, prawda? Jak mogłeś temu zapobiec? -

Sam uśmiechnął się szeroko. - Musimy cię z tego wyciągnąć, mały. Każdy z nas w każdej chwili może znaleźć się w podobnej sytuacji.

- Jeden za wszystkich - poparł go Madison Jefferson Monroe. - Wszyscy za jednego.

- Myślisz, że jesteś pierwszym kurierem, któremu nawiał turysta? - zdziwił się Buonocore. -

Nie graj głąba! Te timery przestawi na ręczne sterowanie każdy, kto ma jakie takie pojęcie o teorii efektu Benchleya.

- Nikt mi nic nie mówił...

- Bo czegoś takiego się nie reklamuje. Co nie znaczy, że to niemożliwe. Pięć, sześć razy w roku komuś udaje się wybrać na prywatną wycieczkę w czasie bez wiedzy kuriera.

- A czym to grozi kurierowi? - zainteresowałem się.

- Jeśli Patrol go dorwie? Traci pracę - wyjaśnił beznamiętnie Buonocore. - My zaś próbujemy

kryć się nawzajem i rozwiązać problem, nim dowie się o nim Patrol. Cholerna to robota, ale zrobić ją

trzeba. No bo jeśli nie pomożemy jednemu z naszych, kiedy ma kłopoty, to kto nam pomoże, do cholery?

- A poza tym - dodał Sam - możemy uważać się za bohaterów.

Przyjrzałem się przygotowanej przez nich tablicy. Nieźle przebadali wczesny okres

cesarstwa - od Konstantyna do drugiego Teodozjusza - oraz, równie starannie, ostatnie dwa wieki.

Pomiędzy początkiem i kresem Bizancjum prowadzili tylko wyrywkowe poszukiwania. Sam,

Buonocore i Monroe schodzili ze służby na odpoczynek, Kolettis, Plastiras i Pappas przygotowywali się do startu i zajęci byli opracowywaniem strategii poszukiwań.

Podczas gdy omawialiśmy sposoby dorwania Sauerabenda, wszyscy byli dla mnie bardzo mili. Czulem niemal bijące od nich ciepłe fale sympatii. Miałem przyjaciół w potrzebie, towarzyszy broni. Byliśmy Muszkieterami Czasu. Ciężar, który dźwigałem na sercu, zmalał wyraźnie.

Wygłosiłem krótkie przemówienie dziękując im za pomoc. Sprawiali wrażenie zawstydzonych; jeszcze raz zapewnili mnie, że to przyjacielska przysługa i że przyjacielskie przysługi to zasada w tym towarzystwie.

Służba otworzyła drzwi. Pojawił się w nich jakiś brudny od pyłu człowiek w ciemnych, zupełnie nie pasujących do epoki okularach. Najeeb Dajani, mój nauczyciel, opadł na krzesło i niecierpliwym gestem, nie skierowanym do nikogo w szczególności, zażądał wina.

Kolettis wręczył mu puchar. Dajani wylał sobie trochę wina na ręce i przemył zapylone okulary. Resztę wypił.

- Panie Dajani! - krzyknąłem uradowany. - Nie wiedziałem, że i pana zawiadomiono. Niech pan posłucha, chciałem bardzo podziękować panu za...

- Ty głupi kutasie - powiedział spokojnie Dajani. - Jakim cudem wydano ci w ogóle licencję kuriera?

52.

Dajani powrócił właśnie z poszukiwań w mieście, w latach 630-650. Sukcesu nie odniósł, był zmęczony i poirytowany; najwyraźniej nie sprawiało mu najmniejszej przyjemności spędzanie przerwy na bezsensownych poszukiwaniach.

Jego szczerłość zdmuchnęła powiew miłego ciepła, które czulem na sercu jeszcze przed chwilą. Próbowałem sprzedać mu przemowę o wdzięczności, ale przerwał mi niemal natychmiast.

- I jeszcze będzie się nam podlizywał! - stwierdził kwaśno. Robię to, co robię, bo jako

instruktor wyszedłbym na idiotę, gdyby Patrol odkrył, że wypuściłem małpę z licencją kuriera.

Chronię swą skórę, nie twoją.

Zapadła nieprzyjemna cisza, przerywana tylko szuraniem przesuwających się pod stołem stóp i pokasywaniem zgromadzonych.

- Niezbyt miło mi to słyszeć - powiedziałem Dajaniemu.

- Nie daj mu się zdenerwować, mały - pocieszył mnie Sid Buonocore. - Jest tak, jak ci mówiłem: każdy turysta może zerwać zabezpieczenia timera i...

- Nie chodzi mi o to, że zgubił turystę - stwierdził Dajani jadowitym tonem. - Chodzi mi o to, że ten idiota zdołał się zduplikować próbując przemontować czas. - Obrzucił mnie wściekłym spojrzeniem. - Pierwszą pomyłkę mógłbym mu wybaczyć, druga jest niewybaczalna!

- Duplikacja to rzeczywiście głupota - przyznał Buonocore.

- To bardzo poważna sprawa - dodał Kolettis.

- Zła karma - zawtórował im Sam. - Nie wiem, jak zdołamy poradzić sobie z tą sprawą.

- Nie pamiętam podobnego przypadku - oznajmił Pappas.

- Beznadziejnie głupia pomyłka - zakończył Plastiras.

- Słuchajcie - próbowałem się bronić. - Duplikacja trafiła mi się przypadkiem. Tak się przejąłem szukaniem Sauerabenda, że nie przemyślałem do końca prawdopodobnych konsekwencji i...

- Błąd naturalny u zdenerwowanego człowieka - zawtórował mi Jeff Monroe.

- Każdemu mogło się zdarzyć - mruknął miłosiernie Buonocore.

- Ale szkoda. Cholerna szkoda - zmartwił się Pappas.

Nie czułem się już ważnym członkiem ekskluzywnego bractwa, lecz raczej kuzynem półgłówkiem, nad którym wszyscy się litują, bo gdzie się ruszy, pozostawia po sobie kałuże.

Wujkowie półgłówka właśnie próbowali sprzątnąć po nim już nie tylko kolejne siki, lecz sporą kupę,

a jednocześnie pocieszali go, bo nie sposób przewidzieć, co z nerwów by zmajstrował.

Kiedy zorientowałem się, co ci ludzie rzeczywiście o mnie myślą, poczułem nieprzepartą ochotę, by samemu wezwać Patrol Czasowy, wyznać grzechy i ochotniczo poddać się wymazaniu.

Dusza uciekła mi w pięty, męskość się skurczyła. Ja, który miałem cesarzowe, zdobyłem tajemniczą arystokratkę, rozmawiałem z władcami, ja - ostatni z Dukasów, ja, który bez strachu kroczyłem przez stulecia, jak błyskotliwy kurier w stylu Metaxasa, ja... byłem dla tych ludzi tylko pewną nędną, nieapetyczną ożywioną substancją. Byłem faex na dwóch nogach. Faex to liczba pojedyncza od faeces. Niedokształconym wyjaśniam, że chodzi o gówno.

53.

Metaxas, który nie odezwał się ani razu przez ostatnie piętnaście minut, powiedział w końcu:

- Jeśli ci, którzy mają ruszać na poszukiwania, są gotowi do drogi, przygotuję rydwan, żeby zabrał was do miasta.

- Nie przydzieliliśmy jeszcze czasów - odparł Kolettis potrząsając głową. - Ale to potrwa najwyżej minutkę.

Rozpoczęła się ożywiona dyskusja nad tablicą. Zdecydowano, że Kolettis weźmie lata 700-725, Plastiras lata 1150-1175, a ja 725-745. Pappas przywiózł ze sobą kombinezon, więc miał sprawdzić lata zarazy, 745-747, na wypadek gdyby Sauerabend się w nich zaplątał.

Wydało mi się dziwne, że ludzie ci - przy tym, co o mnie sądzili - pozwolili mi na samodzielny skok w czasie; no, ale prawdopodobnie byli zdania, że gorszych szkód spowodować nie sposób. Pojechaliśmy do miasta jednym z rydwanów Metaxasa. Każdy z nas miał mały, lecz niezwykle wierny portret Sauerabenda; namalował go na werniksowanym drzewie współczesny bizantyński artysta na jęty przez naszego gospodarza. Malarz pracował z holofotografii ciekawe, co sobie przy tym myślał!

Kiedy znaleźliśmy się w mieście, rozdzieliliśmy się i jeden po drugim skoczyliśmy w czasy,

które mieliśmy przeszukać. Ja zmaterializowałem się w 725 roku i dopiero wówczas zdałem sobie sprawę z tego, jaki spłatanio mi figiel.

Były to bowiem początki ikonoklazmu. Cesarz Leon III odrzucił właśnie kult świętych wizerunków. Większość Bizantyńczyków była jeszcze wówczas iconodules- bałwochwalcami. Rozprawę z ikonami cesarz rozpoczął od atakowania ich kultu w mowach i kazaniach, a potem zniszczył ikonę Chrystusa w kaplicy Chalke, czyli Spiżowego Domu, stojącego naprzeciwko Wielkiego Pałacu. Potem miał już z góry. Wyroki sypały się i na wizerunki, i na ich twórców, syn Leona wydał nawet proklamację głoszącą: "Z Kościoła chrześcijańskiego odrzuca się, oddala i wyklina wszystko, co przez szatańską sztukę zrobione jest na podobieństwo wszelkiego stworzenia Bożego, w każdym materiale".

I w tej właśnie epoce miałem łączyć po mieście z portrecikiem Conrada Sauerabenda pytając ludzi: "Przepraszam, czy ktoś widział może tego mężczyznę?".

Mój obrazek nie był, ściśle rzecz biorąc, ikoną. Nikt, kto choćby raz rzucił nań okiem, nie pomyliłby Sauerabenda ze świętym. Mimo wszystko przysporzył mi sporo kłopotów.

- Przepraszani, czy ktoś widział może tego mężczyznę? - wypytywałem, wyciągając zza pazuchy portrecik.

Pytałem na rynku.

Pytałem w łaźniach.

Pytałem na stopniach Hagia Sophii.

Pytałem przed Wielkim Pałacem.

- Przepraszam, czy ktoś widział może tego mężczyznę? - pytałem przed Hipodromem, podczas meczu polo.

I na dorocznym rozdawaniu biednym chleba i ryb, mającym miejsce zawsze jedenastego maja, w rocznicę założenia miasta.

I przed kościołem Świętych Sergiusza i Bakchusa.

- Szukam pewnego mężczyzny. Oto jego portret.

Przeważnie nie zdążyłem nawet go wyjąć. Ludzie widzieli, jak wyciągam na światło dzienne ikonę, i uciekali wrzeszcząc: Ikonodule! Bałwochwalczy pies! Modli się do wizerunków!".

- Ależ to nie... ja tylko szukam... proszę nie mylić tego z... czy mógłby pan tu wrócić?

Popychano mnie, potrącano, opluwano. Gwardia nie wahała się mnie bić, mnisi-ikonokłaści miotali przekleństwa. Parę razy otrzymałem zaproszenie na tajemne spotkania ikonodulos.

Fajnie, tyle że nie dowiedziałem się niczego o Conradzie Sauerabendzie.

Mimo wszystko jednak zawsze znajdowało się parę osób, gotowych przyjrzeć się jego portretowi. Żadna nie rozpoznała Sauerabenda, choć parę twierdziło, że może widziało kogoś podobnego. Dwa dni zmarnowałem tropiąc kogoś rzekomo podobnego do mojego turysty, a kiedy go już wytropiłem, nie znalazłem najmniejszego podobieństwa.

Nie poddawałem się jednak. Skakałem z roku w rok. Trzymałem się blisko grup turystów oczekując, że może Sauerabend zatęsknił za ludźmi ze swojego czasu.

Nic. Jedno wielkie okrągłe zero.

W końcu, zmęczony i obolały, wróciłem w rok 1105. W willi Metaxasa zastałem tylko Pappasa, sprawiającego wrażenie jeszcze bardziej zmordowanego i zniechęconego ode mnie.

- Przecież to bez sensu - westchnąłem ciężko. - Nigdy go nie znajdziemy. Szukamy...
szukamy...

- Igły w stogu czasu - odpowiedział mi ochoczo Pappas.

54.

Zarobiłem sobie na krótki odpoczynek przed powrotem w tę długą noc 1204 roku i zwolnieniem na poszukiwania mego dublera. Wykąpałem się, przespałem, parę razy wziąłem do łóżka pachnącą czosnkiem niewolnicę i pogрузyłem się w ponurych rozmyślaniach. Wrócił Kolettis -

nic. Wrócił Plastiras - to samo. Obaj skoczyli pod prąd, bo mieli przecież swe zawodowe obowiązki.

Ich miejsce zajęli Gompers, Herschel i Melamed, którym właśnie zaczęła się przerwa - wszyscy trzej natychmiast zabrali się za poszukiwanie Sauerabenda. Im więcej kurierów pomagało mi w potrzebie, tym gorzej się czułem.

Postanowiłem jak najprędzej pocieszyć się w ramionach Pulcherii.

To znaczy, chodzi o to, że jak długo przebywałem w odpowiedniej epoce i jak długo Jud B się z nią nie spotkał, wydawało mi się to właściwe. W końcu przecież umówiliśmy się na randkę.

Właściwie to nawet ostatniej nocy Pulcheria powiedziała mi przecież: "Spotkamy się za dwa dni? Wszystko załatwię".

Jak dawno mi to powiedziała?

Co najmniej dwa tygodnie temu czasu lokalnego. Może nawet trzy?

Miała wysłać mi liścik na adres Metaxasa, informując mnie o terminie i miejscu następnego spotkania. Zajęty Sauerabendem całkiem o tym zapomniałem i teraz rozpocząłem szalony bieg po willi, wypytujac lokai oraz majordomusa, czy przypadkiem z miasta nie dostarczono dla mnie żadnej wiadomości.

- Nie - odpowiedziała mi zgodnie służba. - Nie było dla pana żadnej wiadomości.

- Przypomnijcie sobie, błagam. Oczekuję ważnego listu z pałacu Dukasów. Od Pulcherii Dukas.

- Kogo?

- Pulcherii Dukas.

- Nie mamy żadnych informacji.

Ubrałem się w najbardziej odświętny ze wszystkich mych strojów. Pojechałem do

Konstantynopola konno. Czy ośmielę się stawić w pałacu Dukasów bez formalnego zaproszenia?

Ha! Byłem już tam jako kuzynek z prowincji; to powinno rozwiązać problem możliwego naruszenia

dworskiej etykiety.

U wrót rodowej siedziby zadzwoniłem na służbę. Pojawił się stary sługa - ów sługa, który pamiętnej nocy wskazał mi drogę do mej sypialni. Uśmiechnąłem się do niego przyjacielsko, on jednak odpowiedział mi nic nie pojmującym spojrzeniem. Pewnie zapomniał.

- Proszę przekazać pozdrowienia czcigodnemu Leonowi i jego małżonce, Pulcherii - powiedziałem. - Czy możesz poinformować ich, że chciałby się z nimi spotkać Grzegorz Markezinis z Epiru?

- Czcigodnemu Leonowi i... - powtórzył sługa.

- Czcigodnej Pulcherii - oświeciłem go. - Z pewnością mnie pamiętają. Jestem kuzynem

Temistoklesa Metaxasa i... - zawahałem się. Głupio było tak tłumaczyć się przed sługą, nawet starym. Wezwij majordomusa - warknąłem.

Sługa znikł, zamykając za sobą bramę.

Mijał czas. Minęło go całkiem sporo, nim stanąłem w obliczu wielce dostojnie

wyglądającego indywiduum w bizantyńskim odpowiedniku liberii, które to indywiduum przyjrzało mi się nieufnie.

- Tak?

- Proszę przekazać wyrazy szacunku szanownemu Leonowi i jego małżonce Pulcherii.

Łaskawie proszę też przekazać im...

- Szanownej co?

- Szanownej Pulcherii, żonie Leona Dukasa. Jestem Grzegorz Markezinis z Epiru, kuzyn

Temistoklesa Metaxasa, i zaledwie kilka tygodni temu byłem gościem uczy, na której...

- Żona Leona Dukasa ma na imię Euprepia - stwierdził majordomus lodowatym tonem.

- Euprepia?

- Euprepia Dukas jest panią tego domu. Czego sobie życzysz? Jeśli pijany nawiedziłeś to

domostwo pośrodku dnia, by zakłócić spoczynek szacownego Leona Dukasa, osobiście...

- Zaczekaj - przerwałem mu. - Euprepia? Nie Pulcheria? W mej dłoni znikąd pojawił się złoty bezan i szybko znikł w oczekującej go dłoni majordomusa. - Nie jestem pijany, a to sprawa wagi państwowej. Kiedy Leon poślubił tę... tę Euprepię?

- Cztery lata temu.

- Cztery... cztery lata temu? Nie, to przecież niemożliwe! Pięć lat temu poślubił Pulcherię, która...

- Popełniasz błąd, cudzoziemcze. Szacowny Leon ma tylko jedną żonę, Euprepię Makrembolitissa, matkę jego syna Bazylego i córki Zoe...

W wyciągniętą dłoń opuściłem kolejnego bezana.

- Jego najstarszym synem - wyszeptalem, oszołomiony - jest Nicetas, który jeszcze nawet się nie urodził, Leon w ogóle nie będzie miał syna imieniem Bazyli i... mój Boże, żartujecie sobie ze mnie, prawda?

- Na Chrystusa Pantokratora, nie wypowiedziałem słowa, które nie byłoby słowem prawdy! - przysiągł majordomus dźwięcznym głosem.

Zrozpaczony, poklepałem sakiewkę bezanów.

- Czy mógłbym uzyskać audiencję u szacownej Euprepii? spytałem.

- Być może, być może. Niestety, pani jest nieobecna. Od trzech miesięcy wypoczywa w pałacu Dukasów na wybrzeżu Trebizonu, oczekując przyjścia na świat kolejnego dziecka.

- Trzech miesięcy? A więc żadna uczta nie odbyła się tu przed kilku zaledwie tygodniami?

- Nie, panie.

- I cesarz Aleksy nie uświetnił jej swą obecnością? Ani Temistokles Metaxas? Ani Grzegorz Markezinis z Epiru? Ani...

- Żaden z nich, panie. Czy mogę jeszcze w czymś pomóc?

- Nie... nie sędzę - odparłem. Zataczając się odszedłem od bram pałacu jak człowiek, w którego uderzył piorun zesłany nań przez mściwych bogów.

55.

Zmiażdżony, z opuszczoną głową, szedłem na południowy wschód brzegiem Złotego Rogu, aż dotarłem do labiryntu sklepików, stoisk i gospod niedaleko miejsca, gdzie w przyszłości stanąć miał most Galata i gdzie dziś nadal znajduje się labirynt sklepików, stoisk i gospod. Szedłem wąskimi, krętymi, krzyżującymi się alejkami jak żywy trup nie wiedzący, dokąd idzie i po co. Nie widziałem nic i nic nie myślałem, stawiałem po prostu nogę za nogą, aż wczesnym popołudniem kismet znów złapał mnie za jaja.

Wtoczyłem się do jakiejś zupełnie przypadkowej gospody, piętrowego budynku z surowych desek. Kilku kupców popijało w niej pierwszy tego dnia kielich wina. Opadłem ciężko przy pokrzywionym, chwiejnym stole w pustyni kącie sali. Siedziałem, gapiąc się tępo w ścianę, rozmyślając o Leonie Dukasie i jego ciężarnej żonie, Euprepii.

Przed stolikiem pojawiła się interesująca, nawet z daleka, posługaczka.

- Wina? - spytała.

- Owszem. Im mocniejsze, tym lepiej.

- To może trochę pieczonej baraniny?

- Nie jestem głodny.

- Mamy tu doskonałą baraninę.

- Nie jestem głodny - powtórzyłem, z rosnącym zainteresowaniem przyglądając się jej

kostkom. Niezłe były. Podniosłem wzrok na łydki; dalej nie widziałem nic oprócz zwojów prostej, wręcz prostackiej tkaniny. Dziewczyna odeszła, po czym powróciła z winem. Stawiając je przede mną pochyliła się, suknia rozsunała się pod jej szyją i oto miałem przed oczami dwie jasne, duże, śliczne, chwiejące się swobodnie piersi o różnych sutkach.

Dopiero teraz spojrziałem jej w twarz.

Dziewczyna mogłaby być siostrą bliźniaczką mojej Pulcherii.

Te same ciemne wesołe oczy. Ta sama cudowna oliwkowa cera. Te same pełne usta i ten sam cienki, orli nos. Ten sam wiek, około siedemnastu lat. Różnica między tą dziewczyną a mą Pulcheria była różnicą stroju, postawy, wyrazu. Ta ubrana była prostacko, brakowało jej arystokratycznej elegancji i swobody, sprawiała za to wrażenie wiecznie urażonej, jakby żyła poniżej swego stanu i winiła za to los.

- Mogłabyś być Pulcheria - wyrwało mi się.

- Co za nonsens! - roześmiała się ochryple.

- Znałem dziewczynę, bardzo do ciebie podobną... miała na imię Pulcheria...

- Jesteś szalony czy tylko pijany? Ja mam na imię Pulcheria.

Nie podobają mi się twe żarty, panie nieznajomy.

- Ty... Pulcheria...

- Ależ oczywiście.

- Pulcheria Dukas?

Roześmiała mi się w twarz.

- Mówisz: Dukas? Teraz wiem, że jesteś szaleńcem. Nazywam się Pulcheria Fotis, jestem żoną Herakliusza Fotisa, karczmarza.

- Pulcheria... Fotis... - powtórzyłem, nie bardzo zdając sobie sprawę z tego, co mówię. -

Pulcheria Fotis... żona Herakliusza Fotisa...

Pochyliła się, po raz drugi podsuwając mi pod nos swe piękne piersi. Już nie kpiąca, lecz raczej przestraszona, powiedziała szeptem:

- Po twym stroju poznać można, że jesteś kimś ważnym. Czego tu chcesz? Czy Herakliusz popełnił jakieś przestępstwo?

- Przyszedłem napić się wina - uspokoiłem ją. - Ale posłuchaj, chcę wiedzieć tylko jedno - czy jesteś tą Pulcheria, która urodziła się jako Pulcheria Botanides?

Spojrzała na mnie, oniemiała ze zdumienia.

- Skąd wiecie, panie?

- A więc tak?

- Tak - przytaknęła ma umiłowana Pulcheria, opadając ciężko na ławę przy moim stole.

-Ale... ale już nie jestem Botanides. Już nie... od pięciu lat... od czasu gdy Herakliusz... ten obrzydliwy Herakliusz... - tak się wzruszyła, że aż wypila wino z mojego kielicha. - Kim jesteś, obcy człowieku? - spytała nagle.

- Nazywam się Grzegorz Markezinis. Pochodzę z Epiru.

To imię nic jej nie powiedziało.

- Jestem kuzynem Temistoklesa Metaxasa - dodałem.

Aż się zachłysnęła.

- Wiedziała, że musisz być kimś ważnym! - wydyszała. - Czego ode mnie chcesz?

Obecni w gospodzie zaczęli się nam przyglądać, nie ukrywając zainteresowania.

- Czy możemy porozmawiać na osobności? - spytałem wobec tego.

Spojrzała na mnie chłodno, taksujące.

- Momencik - rzuciła i wyszła z gospody. Usłyszałem, jak krzyczy na kogoś, właściwie wrzeszczy niczym uliczna przekupka. Po chwili zobaczyłem wchodzącą na salę obdartą, może piętnastoletnią dziewczynę.

- Zajmij się wszystkim, Anno - poinstruowała ją ma umiłowana. - Ja będę teraz zajęta. - Do mnie zaś powiedziała: - Możemy iść na górę.

Poprowadziła mnie do sypialni na piętrze. Bardzo uważnie zarygłowała za nami drzwi.

- Mój mąż - poinformowała - pojechał do Galary po mięso. Nie wróci wcześniej niż za dwie

godziny. A gdy tej obrzydliwej świni nie ma w domu, chętnie dorobię sobie bezana lub dwa.

Zwłaszcza gdy mężczyzna jest tajemniczy i przystojny.

Szata upadła na, deski podłogi. Pulcheria stała przede mną bezwstydnie naga. Uśmiechała się wyzywająco i ten uśmiech powiedział mi, że jej dawne ja pozostało nienaruszone, choć otaczający tę dziewczynę świat upokarzał ją na każdym kroku. W oczach płonęło jej namiętne pożądanie.

Ja tymczasem stałem oniemiały, wpatrując się w piękne piersi, których sutki twardniały na moich oczach, w płaski brzuch przy ozdobiony trójkątem ciemnego futerka, w smukłe muskularne uda, w wyciągnięte ku mnie zapraszającym gestem ramiona.

Pulcheria padła na przykrywającą łóżko szorstką tkaninę. Podciągnęła kolana, rozłożyła nogi.

- Dwa bezany - odpowiedziała mi.

Moja bogini, moja ukochana, miłość mojego serca stała się dziwką!

- Na co czekasz? - spytała. - Chodź, panie. Na pokład, marynarzu, niech ta tłusta świni

Herakliusz dorobi się kolejnej pary rogów. O co ci chodzi? Czyżbyś uważał mnie za szpetną?

- Pulcherio... Pulcherio... kocham cię, Pulcherio...

Zachichotała piskliwie, tak się jej to podobało. Pomachała uniesionymi stopami.

- No to chodź! - zachęciła mnie.

- Byłaś żoną Leona Dukasa - wybełkotałem. - Mieszkałaś w marmurowym pałacu, nosiłaś

jedwabne szaty, spacerowałaś po mieście pod opieką duenny. Na wydanej przez was ucztę był

cesarz, przyszedł do mnie tuż przed świtem, oddałaś mi cię cała i był to tylko sen, był to tylko sen, czyż nie tak, Pulcherio?

- Jesteś szaleńcem, ale przystojnym szaleńcem. Pragnę poczuć cię między nogami, pragnę także twoich bezanów. Podejdź bliżej. Wstydzisz się? Połóż rękę o, tu, zobacz, jaka gorąca jest dla ciebie Pulcheria, jak cię pragnie, aż do bólu...

Byłem sztywny z pożądania, lecz nie zdobyłem się na to, by jej dotknąć. Nawet palcem nie chciałem tknąć tej Pulcherii, prymitywnej, bezwstydnej, wyuzdanej dziwki, tej wspaniałej kobiety, która wiała się i podrzucała biodrami na szorstkiej tkaninie łóżka. Wyciągnąłem sakiewkę i obsypałem ją - pępek, łono, piersi - deszczem złotych bezanów. Pulcheria krzyknęła ze zdumienia. Usiadła łapiąc pieniądze, pełzała za nimi na czworakach, oczy jej błyszczały, piersi kołysały się kusząco...

Uciekłem.

56.

Wróciłem do willi, znalazłem Metaxasa i spytałem:

- Nie wiesz przypadkiem, jak ma na imię żona Leona Dukasa?

- Pulcheria.

- A kiedy widziałeś ją po raz ostatni?

- Trzy tygodnie temu. Przecież razem byliśmy na tej wieczery.

- Nie, kochany - oznajmiłem mu. - Padłeś ofiarą paradoksu przemieszczenia... i ja także. Żoną Leona Dukasa jest niejaka Euprepia. Leon ma z nią dwójkę dzieci, trzecie w drodze. Pulcheria jest żoną karczmarza nazwiskiem Herakliusz Fotis.

- Odbiło ci?

- Przeszłość została zmieniona. Nie wiem, jak to się stało, ale nastąpiła zmiana, i to dokładnie w mej linii. Nie rozumiesz? Pulcheria nie jest już moim przodkiem, jeden Bóg wie, czy w ogóle istnieje! Jeśli nie jestem potomkiem Pulcherii i Leona, to czyim jestem potomkiem i...

- Kiedyś się zorientował?

- Przed chwilą. Skoczyłem poszukać Pulcherii... Chryste, człowieku, co ja mam teraz zrobić?

- Może nastąpiło jakieś nieporozumienie - stwierdził spokojnie Metaxas.

- Nie. Nie nastąpiło żadne nieporozumienie. Spytaj własną służbę. Oni nie podlegają

paradokswi przemieszczenia. Spytaj ich, czy kiedykolwiek słyszeli o Pulcherii Dukas. Nie słyszeli.

Spytaj, jak ma na imię żona Leona Dukasa. Jedź do miasta i sam się przekonaj. Nastąpiła zmiana w przeszłości, nie pojmujesz? Przeszłość się zmieniła, Chryste. Jezu Chryste, człowieku... !

Metaxas złapał mnie za rękę.

- Jud, opowiedz mi wszystko od początku - powiedział bardzo spokojnie.

Nie miałem jednak szansy opowiedzieć mu wszystkiego od początku. Nim zacząłem, do pokoju wpadł czarny Sam.

- Znaleźliśmy go! Znaleźliśmy! - wrzeszczał, podskakując z radości.

- Kogo? - spytał Metaxas.

- Kogo? - zapytałem w tej samej chwili.

- Kogo? - zdumiał się Sam. - A twoim zdaniem kogo, do cholery, szukaliśmy? Sauerabenda przecież. Conrada EX. Sauerabenda.

- Znaleźliście go! - Usiadłem ciężko. Nogi miałem jak z waty.

Co za ulga! - Jak? Kiedy? Gdzie?

- Normalnie. Dziś rano. Jest tu, w 1105 roku. Z Melamedem poszedłem na targowisko, tak tylko sprawdzić co w trawie piszczy, pomachaliśmy portretem i, niech to diabli, jeden z handlarzy świńską golonką go rozpoznał. Sauerabend mieszka w Konstantynopolu od jakichś pięciu lat. Ma karczmę nad Złotym Rogiem. Używa nazwiska Herakliusz Fotis...

- Nie! - wrzasnąłem. - Nie, nie, nie! Łżesz, ty wielki czarny sukinsynu!

Rzuciłem się na Sama w ślepej furii. Uderzyłem go w brzuch; zatoczył się i ciężko walnął w ścianę. Oderwał się od niej, przyjrzał mi się dziwnie, złapał mnie za klapy, podniósł, upuścił, podniósł, upuścił, podniósł... i - na prośbę Metaxasa - łagodnie postawił na podłodze.

- Oczywiście - powiedział cicho. - To prawda, jestem wielkim czarnym sukinsynem, ale czy trzeba od razu głosić tę prawdę całemu światu?

- Niech mu ktoś da wina. Facet najwyraźniej zwariował. - Metaxas miał na myśli, oczywiście, mnie.

Jakimś cudem udało mi się odzyskać panowanie nad sobą.

- Sam, przepraszam, że zwymyślałem cię tak niestosownie, ale po prostu nie potrafię uwierzyć, że Conrad Sauerabend mieszka w Konstantynopolu jako Harakliusz Fotis.

- A to dlaczego?

- Bo... bo...

- Widziałem go na własne oczy - oznajmił Sam. - Niespełna pięć godzin temu piłem wino w jego gospodzie. Facet wielki, tłusty, czerwony na gębie i ma o sobie wielkie mniemanie. Jego żoneczka to gorąca szesnastolatka, pracująca jako karczmarka. Pokazuje klientom cycki i z całą pewnością sprzedaje tyłek w sypialni na górze.

- Dobra - powiedziałem głosem, jakim mógłby przemawiać trup. - Wygrałeś. Jego żona ma na imię Pulcheria.

Metaxas charknął, jakby się zadławił.

- Nie pytałem jej o imię - zdziwił się Sam.

- Ma siedemnaście lat, nie szesnaście. Pochodzi z rodu Botanidesów - mówiłem, nie zwracając na nich uwagi. - To jedna z najważniejszych rodzin w historii Bizancjum. Jeden Budda wie, jakim cudem zdobył ją za żonę Herakliusz Fotis, czyli Conrad Sauerabend. Przeszłość została zmieniona, Sam, ponieważ zaledwie parę tygodni temu względem mojej terażniejszości Pulcheria była żoną Leona Dukasa, mieszkała w pałacu leżącym niedaleko pałacu cesarskiego i tak się przypadkiem złożyło, że miałem z nią romans, a żeby było jeszcze śmieszniej, przed zmianą przeszłości Leon Dukas i ona byli moimi praprapra... dziadkami, więc zdarzył się niesłychany przypadek, co mi śmierdzi pod niebiosa, i nic nie rozumiem z wyjątkiem tego, że stałem się prawdopodobnie nikim, bo w tej terażniejszości Pulcheria Dukas już nie istnieje. Panowie, jeśli nie

macie nic przeciwko temu, znajdę teraz jakiś spokojny kąt w tym domu i poderżnę sobie gardło.

- Przecież to się nie mogło zdarzyć - stwierdził trzeźwo Sam. - To jakiś koszmar.

57.

Lecz, oczywiście, nie był to żaden koszmar, tylko wydarzenie tak samo rzeczywiste jak wszystkie w naszym płynnym, zmiennym wszechświecie.

We trzech wypiliśmy straszną ilość wina. Przy winie Sam przekazał mi więcej szczegółów.

Opowiedział, jak rozpytywał się w okolicy o Sauerabenda/Fotisa. Powiedziano mu, że człowiek ten pojawił się w tajemniczych okolicznościach około roku 1099. Że prawdopodobnie przybył z daleka. Że goście nie lubili go, a do karczmy przychodzili ze względu na jego piękną żonę. Ogólnie podejrzewano, że zaangażowany jest w jakąś nielegalną działalność.

- Przeprosił gości - mówił Sam - i powiedział, że musi jechać po towar do Galaty. Kolettis poszedł za nim. Facet wcale nie miał zamiaru robić zakupów. Wszedł do jakiegoś magazynu w Galacie i najwyraźniej znikł. Kolettis szukał go na miejscu i nie znalazł. Jego zdaniem Sauerabend po prostu skoczył. Pojawił się znikąd jakieś pół godziny później i spokojnie wrócił promem do Konstantynopola.

- Przepiękne przestępstwo czasowe - stwierdził natychmiast Metaxas. Przemyt.

- Jestem tego samego zdania - oznajmił Sam. - Używa początku XII wieku jako bazy wypadowej, kryjąc się pod nazwiskiem Fotisa. Przemycza dzieła sztuki, może złote monety albo coś, pod prąd, do współczesności.

- Ale jak wpadł na dziewczynę? - nie pojmował Metaxas.

Sam tylko wzruszył ramionami.

- Ta część jego przygód pozostaje niejasna. Teraz jednak, kiedy Sauerabenda już znaleźliśmy, możemy zacząć go śledzić pod prąd, aż dotrzemy do punktu w czasie, kiedy się pojawił. Będziemy wiedzieli, co robił.

- A my? - jęknąłem. - Jakim cudem uda się nam przywrócić właściwe następstwo zdarzeń?

- Musimy wyłapać moment, w którym skoczył tu z twojej wycieczki - wyjaśnił Metaxas. -

Ustawimy się tam i złapiemy go podczas materializacji. Zabierzemy przerobiony timer i wyślemy faceta z powrotem w 1204. Będzie wykluczony z upływu czasu w chwili, w której miał w ten czas wkroczyć, i ograniczony do tej twojej wycieczki, w której i tak uczestniczył.

- W twoich ustach brzmi to prosto - powiedziałem. - Ale w rzeczywistości wcale nie jest proste. Co ze zmianami, które już dokonały się w przeszłości? Z jego pięcioletnim małżeństwem z Pulcheria Botanides...

- Przechodzą w sferę niezdarzeń - wyjaśnił mi Sam. - Jak tylko dorwiemy Sauerabenda w 1099 czy którym tam i wyślemy go z powrotem do 1204, jego małżeństwo z Pulcheria wymazuje się automatycznie, prawda? Zmiany zostają anulowane, Pulcheria poślubia, kogo miała poślubić...

- Leona Dukasa - wtrąciłem. - Mojego przodka.

- Dobrze, niech będzie Dukasa - zgodził się Sam. - Dla mieszkańców Bizancjum cały epizod z Herakliuszem Fotisem po prostu przestanie istnieć. Tylko my będziemy o nim wiedzieli, ponieważ jesteśmy poddani działaniu paradoksu przemieszczenia.

- A co z tym, cokolwiek Sauerabend szmuglował do naszej teraźniejszości?

- Nie istnieje - tłumaczył mi cierpliwie Sam. - Przecież nic nigdy nie zostanie przeszmurowane. Jego paserzy w naszym czasie nie będą nawet świadomi tego, że kiedykolwiek coś od niego dostali. Prąd czasu wróci do stadium wyjściowego, Patrol o niczym się nie dowie i...

- Zapomniałeś o pewnym drobiazgu - wtrąciłem.

- A mianowicie?

- W całym tym bałaganie udało mi się stworzyć drugiego Juda Elliotta. Gdzie on ma się podziąć?

- Chryste! - krzyknął Sam. - Rzeczywiście, zapomniałem.

W 1105 i okolicach przebywałem już od jakiegoś czasu, więc uznałem, że pora wrócić do 1204 i poinformować mojego bliźniaka o tym, co się właściwie dzieje. Skoczyłem więc z prądem i dotarłem do gospody kwadrans po trzeciej tej samej długiej nocy, podczas której Conrad Sauerabend zdecydował się nas opuścić. Moje drugie ja leżało na łóżku na wznak, z ponurą miną, studiując podpierające sufit belki.

- No i co? - spytał. - Jak idą poszukiwania?

- Katastrofa. Wyjdź na korytarz, dobrze?

- Co się stało?

- Przygotuj się na najgorsze - uprzedziłem. - Udało się nam w końcu dopaść Sauerabenda.

Skoczył do 1099, po czym przyjął tożsamość oberżysty. W rok później poślubił Pulcherię.

Patrzyłem, jak moje drugie ja rozsypuje się w proch i pył.

- Przeszłość została zmieniona - mówiłem dalej. - Leon Dukas poślubił kogoś innego, jakąś

Euprepię; ma z nią dwoje i pół dziecka. Pulcheria tymczasem usługuje w knajpie. Rozmawiałem z nią. Nie miała pojęcia, kim jestem, ale chciała oddać mi się za dwa bezany. Sauerabend prowadzi przemyt pod prąd i...

- Nie chcę już nic wiedzieć! - oburzył się mój bliźniak. - Ani słowa więcej!

- Może posłuchałbyś i dobrych wieści?

- A są jakieś dobre wieści?

- Takie mianowicie, że uda się nam odwydarzyć to wszystko. Sam, Metaxas i ty wytropicie Sauerabenda z 1105 do momentu jego pojawienia się w 1099, odpojawicie go i wyślecie z powrotem,

do tu i teraz. To skasuje całą sprawę.

- A co z nami? - zainteresował się mój bliźniak.

- Rozmawialiśmy na ten temat, ale dość pobieżnie - odparłem, nie chcąc wdawać się w

szczególności. - Najwyraźniej obu nas chroni paradoks przemieszczenia, a więc będziemy istnieć, nawet jeśli uda się nam włączyć Sauerabenda we właściwy prąd czasu.

- Dobra, ale w takim razie skąd się wzięliśmy? Przecież nie z niczego. Prawo zachowania masy...

- Jeden z nas był tu przez cały czas - przypomniałem mu. Prawdę mówiąc, ja byłem tu przez cały czas. Przywołałem cię na świat skacząc pięćdziesiąt sześć sekund pod prąd, w twój prąd czasu.

- Bzdura! - usłyszałem w odpowiedzi. - Cały czas tkwiłem w prądzie czasu, robiąc to, co powinienem był robić. Ty pojawiłeś się u mnie pętlą, znikąd. Ty jesteś jakimś cholernym paradoksem, przyjacielu.

- W czasie absolutnym żyłem pięćdziesiąt sześć sekund dłużej od ciebie. A więc musiałem zostać stworzony pierwszy!

- Obaj stworzeni zostaliśmy w tej samej chwili! - usłyszałem w odpowiedzi. - Jedenastego października 2035 roku. Fakt, że nasze linie czasu splątały się, ponieważ w pewnym momencie podjąłeś błędną decyzję, nie ma nic wspólnego z tym, który z nas jest mniej, a który bardziej rzeczywisty. Problem nie w tym, który z nas jest prawdziwym Judem Elliotem, lecz w tym, co powinniśmy zrobić, żeby w przyszłości nie wchodzić sobie w drogę.

- Opracujemy bardzo dokładny plan - stwierdziłem. - Jeden z nas będzie pracował jako kurier, drugi krył się pod prądem. Nie możemy pojawić się w tej samej chwili, ani u góry, ani u dołu.

- Rozumiem. Ustalimy sobie naszą terażniejszość na rok 1105, jak Metaxas, tylko że dla nas będzie ona ciągła. Jeden z nas zawsze będzie przywiązany do tej terażniejszości, będzie żył na początku XII wieku jako Grzegorz Markezinis, gość Metaxasa. Drugi będzie pracował jako kurier, będzie żył w rytmie wycieczka odpoczynek...

- ... odpoczywając w każdej epoce wyjąwszy rok 1105...

- Oczywiście. Po zakończeniu cyklu wróci do willi, przyjmie tożsamość Grzegorza

Markezinisa, a drugi skoczy z prądem i zgłosi się jako kurier...

- Aha. Jeśli to dobrze skoordynujemy, nie ma powodu, by Patrol kiedykolwiek się nami zainteresował.

- Wspaniale!

- Ten z nas zaś, który będzie Markezinisem - zakończyłem może życie z Pulcheria. Pulcheria nigdy się nie dowie, że się nią wymieniamy.

- Najpierw musi jednak, znów stać się sobą.

- Najpierw jednak musi znów stać się sobą.

Ta myśl okradła nas z radosnego entuzjazmu. Szalony plan alternatywnego życia nie miał żadnego oparcia w rzeczywistości... póki nie naprawimy tego, co popsuł Sauerabend.

Sprawdziłem czas.

- Skacz do 1105 - powiedziałem. - Pomóż Samowi i Metaxasowi. I wróć o wpół do czwartej, dobrze?

- Dobrze - powiedział mój bliźniak i znikł.

59.

Wrócił o czasie, sprawiając wrażenie do głębi zbrzydzonego.

- Czekamy na ciebie dziewiątego sierpnia 1100, przy wale na tyłach Blachernai, jakieś sto metrów na prawo od pierwszej bramy.

- O co ci chodzi?

- Leć i zobacz na własne oczy. Mdli mnie od samego myślenia o czymś tak obrzydliwym.

Leć, zrób, co trzeba zrobić, i może wreszcie skończy się to całe szaleństwo. No, leć. Skocz, dołącz do

nas.

- O której godzinie? - spytałem jeszcze.

Jud B zastanawiał się przez chwilę.

- Powiedziałbym, że jakieś dwadzieścia po dwunastej - odparł w końcu.

Wyszedłem z gospody, przespacerowałem się do wału, bardzo dokładnie ustawiłem timer i skoczyłem. Przejście z nocnych ciemności w jaskrawe światło dnia oślepiło mnie na moment. Kiedy wreszcie przestałem mrugać i wytarłem łzy, stwierdziłem, że stoję przed bardzo ponurą trójcą składającą się z Sama, Metaxasa i... mnie samego.

- Jezu! - Aż się zachłysnąłem. - Nie mówicie mi, że doprowadziłem do kolejnej duplikacji!

- Tym razem mamy do czynienia wyłącznie z paradoksem akumulacji czasowej - uspokoił mnie mój kolejny bliźniak. - To nic poważnego.

Byłem zbyt skołowany, by choćby spróbować jakoś sobie to wszystko zracjonalizować.

- Ale jeśli obaj jesteśmy tu - zainteresowałem się tylko - to kto pilnuje naszych turystów w 1204?

- Idiota! - wkurzył się trzeci ja. - Myśl czterowymiarowo! Nie możesz przecież być aż taki głupi, skoro niczym się ode mnie nie różnisz! Zrozum, ja skoczyłem tutaj z jednego momentu tej nocy w 1204, ty z innego, odległego o piętnaście minut. Kiedy będziemy wracać, każdy z nas w kolejności wróci do swego własnego czasu, we właściwym jego następstwie. Ja powinienem wrócić do wpół do czwartej, ty nie powinieneś wrócić aż do za piętnaście czwarta, ale nie oznacza to przecież wcale, że żaden z nas nie jest tu i w tej chwili. Albo i wszyscy inni my.

Rozejrzałem się dookoła. W naszym bliskim sąsiedztwie dojrzałem co najmniej pięć grup Metaxas-Sam-ja, rozstawionych szerokim łukiem wokół wału. Najwyraźniej obserwowaliśmy uważnie akurat ten punkt czasu, często wykonując krótkie skoki, by sprawdzić następstwo zdarzeń, rozmnażał nas zaś paradoks kumulacji.

- Dobra, ale mimo wszystko... - powiedziałem niepewnie ... trudno mi jakoś pojąć linearne następstwo zdarzeń.

- Pieprzyć linearne następstwo zdarzeń - warknął na mnie ten drugi Jud. - Może spojrzalbyś

tam, z łaski swojej. Zobacz, co dzieje się po drugiej stronie bramy!

Podążyłem wzrokiem za jego wyciągniętym palcem.

Zobaczyłem siwowłosą kobietę w prostej szacie. Rozpoznałem w niej nieco młodszą wersję damy do towarzystwa, która wraz z Pulcheria złożyła wizytę w sklepie z przyprawami i słodyczami; ach, jak pozornie dawno to było, pięć lat temu pod prąd, w 1105. Duenna stała oparta o miejski mur.

Śmiała się do siebie cicho, oczy miała zamknięte. Niedaleko niej dostrzegłem mniej więcej dwunastoletnią dziewczynkę, która mogła być wyłącznie młodszą wersją Pulcherii. Podobieństwo było wręcz uderzające. Wprawdzie ta młodsza Pulcheria wciąż była dzieckiem, a pod jej tuniką rysowały się zaledwie zawiązki piersi, ale widać w niej już było zapowiedź niezwyklej urody. Obok stał Conrad Sauerabend w stroju właściwym dla bizantyńskiej niższej klasy średniej.

Szeptał coś dziewczynce do ucha. Pokazywał jej jakieś dwudziestopierwszowieczne cudeńko, żyroskopowy wisiołek albo coś podobnego. Drugą rękę wsadził jej pod tunikę, macając najwyraźniej gdzieś na wysokości ud. Pulcheria zmarszczyła czołko, ale jak na razie nie podejmowała żadnej próby pozbycia się tkwiącej jej między nogami dłoni. Wydawała mi się nieco niepewna intencji mężczyzny, sprawiała także wrażenie zafascynowanej zabawką; no i może tak naprawdę wcale nie przeszkadzały jej przesuwające się po skórze palce.

- Facet mieszka w Konstantynopolu od niespełna roku - wyjaśnił nam Metaxas. - Często skacze do 2059, podrzucając tam dobrze sprzedający się towar. Codziennie przychodzi tu, pod mur, przyglądając się duennie i dziewczynce. Ta dziewczynka to Pulcheria Botanides, a tam, zaraz, jest pałac Botanidesów. Gość pojawił się jakieś pół godziny temu i dostrzegł, że panie są same. Dał duennie latacza; stara nadal jest na haju. Potem usiadł przy dziewczynce i zaczął ją czarować. Trzeba przyznać, że ma swoje sposoby na małe dziewczynki.

- To jego hobby - wtrąciłem.

- Lepiej ich obserwuj - poradził mi Metaxas.

Sauerabend i Pulcheria wstali. Ruszyli w stronę bramy w murze. Schroniliśmy się w cieniu - musieliśmy pozostać nie zauważeni. Większość naszych paradoksalnych duplikatów znikła, najwyraźniej skacząc na inne strategiczne pozycje, pozwalające obserwować przebieg zdarzeń. Widzieliśmy grubasa i śliczną dziewczynkę przechodzących przez bramę - na wieś, rozciągającą się tuż za murami.

Ruszyłem za nimi.

- Zaczekaj - powstrzymał mnie Sam. - Widzisz, kto tu idzie? To starszy brat Pulcherii, Andronik.

Zbliżał się do nas młody, najwyżej osiemnastoletni mężczyzna. Nagle zatrzymał się i z niedowierzaniem spojrzał na chichoczącą duennę. Widzieliśmy, jak podbiega, podrywając na równe nogi, zaczyna ją potrząsać. Nieprzytomna kobieta znów osunęła się na ziemię.

- Gdzie jest Pulcheria?! - wrzasnął na nią Andronik. - Gdzie moja siostra!

Duenna potrafiła jednak tylko chichotać.

Młody Botanides, zrozpaczony niemal do nieprzytomności, pobiegł pustą, smażącą się w upalnym słońcu ulicą, wykrzykując imię siostrzyczki. Nagle wybiegł przez bramę.

- Chodźmy za nim - zaproponował Metaxas.

Kiedy wyszliśmy za miasto, stwierdziłem, że wyprzedziło nas kilka innych grup nas samych.

Andronik Botanides biegł, oddalając się coraz bardziej. Usłyszałem dziewczęcy śmiech, wydobywający się - takie przynajmniej miałem wrażenie - z samego muru. Chłopak też go usłyszał.

W murze, na poziomie ziemi, była nisza niczym niezbyt głęboka jaskinia, szeroka na może pięć metrów. Andronik ruszył ku niej biegiem, my za nim. Biegliśmy w dużej grupie, składającej się wyłącznie z nas. Było nas może piętnastu, po pięć sztuk każdego. Brat Pulcherii pierwszy dopadł niszy. Usłyszeliśmy jego nieprzytomny ryk. W chwilę później i mnie udało się zajrzeć do środka.

Pulcheria, naga, z tuniką u kostek, stała w klasycznej wstydlivej pozie, jedną ręką zasłaniając

pączkujące piersi, drugą łono. Tuż obok niej Sauerabend, w rozchełstany ubraniu, z członkiem w ręce, szykował się do dzieła. Moim zdaniem właśnie ustawiał sobie dziewczynkę we właściwej pozycji, kiedy mu przerwano.

- Obrzydliwość! - krzyczał Andronik. - Nieludzka obrzydliwość! Uwiedzenie dziewiczej panienki! Tylko popatrzcie, co za potworność, co za obrzydliwa zbrodnia!

Jedną ręką złapał Sauerabenda, drugą siostrę i wyciągnął oboje na światło dzienne.

- Będziecie świadczyć! - krzyknął jeszcze. Usunęliśmy się z drogi, nim Sauerabend miał szansę nas rozpoznać, choć moim zdaniem był tak przerażony, że nie potrafiłby rozpoznać własnej matki. Nieszczęsna Pulcheria, próbująca ukryć wszystko naraz, zwinęła się w kulę u stóp brata, on jednak raz za razem podrywał ją na nogi, ukazywał jej nagość światu.

- Patrzcie na tę małą dziwkę! Patrzcie! Patrzcie!

Obserwował ich już spory tłumek, w tym miejscowi obywatele. My usunęliśmy się na bok. Ja miałem mdłości, omal nie zwymiotowałem. Ten ohydny zboczeniec napastujący dzieci, ten Humbert maklerów, obnażający swego czerwonego sztywnego małego przed mą Pulcheria, wciągający ją w tak straszny skandal...

Andronik tymczasem wyciągnął miecz, próbując zabić Sauerabenda, a może Pulcherię, a może oboje? Gapie przeszkodzili mu jednak, obalili na ziemię, rozbroili. Pulcheria, oszalała ze wstydu spowodowanego koniecznością ukazania swej nagości takiemu tłumowi, wyrwała komuś sztylet i sama próbowała się zabić, na szczęście powstrzymano ją na czas, w końcu jakiś starzec przykrył ją swym płaszczem. Zamieszanie przekroczyło wszelkie rozsądne granice.

- Nim się pojawiłeś, prześledziliśmy dalsze zdarzenia, a potem wróciliśmy, żeby na ciebie zaczekać - powiedział spokojnie Metaxas. - Było tak: rodzina zaręczyła dziewczynę z Leonem Dukasem, lecz Leon nie mógł jej oczywiście poślubić po tym, jak połowa Bizancjum widziała ją na golasa. Poza tym uznana została za nieczystą, choć w rzeczywistości Sauerabend nie miał czasu, by

uwiedzenie doprowadzić do końca. Plany małżeńskie unieważniono. Rodzina, obwiniająca Pulcherię za to, że pozwoliła Sauerabendowi się obnażyć, wydziedziczyła ją. A Sauerabendowi kazano wybierać: albo poślubi zhańbioną, albo zostanie ukarany zgodnie ze zwyczajem.

- To znaczy? - zainteresowałem się.

- Wykastrowany - wyjaśnił mi Metaxas. - W ten sposób niejaki Herakliusz Fotis zdobył żonę, zmieniając przy tym bieg historii co najmniej w stopniu pozbawiającym cię właściwych przodków.

Co zamierzamy teraz skorygować.

- Nie ja - wtrącił Jud B. - Więcej tego nie zniosę. Wracani do 1204. Muszę tam być o wpół do czwartej rano, zawiadomić tego tutaj, żeby pojawił się i obejrzał przedstawienie.

- Ale... - zaniepokoiłem się.

- Paradoksami zajmiemy się później - przerwał mi Sam. - Mamy ważniejsze rzeczy do zrobienia.

- Zwolnij mnie za piętnaście czwarta - rzekł jeszcze Jud B i skoczył.

Metaxas, Sam i ja ustawiliśmy nasze timery.

- No to pod prąd - powiedział Metaxas. - Pora skończyć z tą komedią.

60.

Z wielką precyzją i nie mniejszą ulgą skończyliśmy z tą komedią.

Zrobiliśmy to w następujący sposób:

Skoczyliśmy dokładnie do dwunastej w południe tego dnia 1100 roku. Zajęliśmy pozycję wzdłuż murów miejskich Konstantynopola. Czekaliśmy, starając się ignorować przeróżne grupki nas, wskakujących w nasz poziom czasowy i wyskakujących z naszego poziomu czasowego podczas wykonywania swych własnych misji rekonesansowych.

W naszym polu widzenia pojawiła się śliczna dziewczynka, spacerująca pod opieką duenny.

Serce zabolalo mnie z miłości do małej Pulcherii, poczułem także ból gdzie indziej - ból

spowodowany pożądaniem Pulcherii, którą dziewczynka ta miała się stać, Pulcherii, którą znałem.

Dziewczynka i pilnująca jej Duenna minęły nas, niczego nie podejrzewając:

Na horyzoncie objawił się naraz Conrad Sauerabend/Herakliusz Fotis. Orkiestra sfalszowała, dyrygent podkręcił węża, rozległy się posykiwania publiczności. Sauerabend przyglądał się dziewczynce. Poklepał się po brzuchu. Wyciągnął ostrego niewielkiego latacza, sprawdził jego końcówkę. Uśmiechnął się szeroko, przyspieszył kroku, miał zamiar przyłożyć latacza do ramienia duenny powodując, że przez godzinę kobieta ta będzie w stanie wyłącznie się śmiać, jemu zaś nikt nie przeszkodzi dopaść ofiary.

Metaxas skinął na Sama.

Sam skinął na mnie.

Przecieliśmy Sauerabendowi drogę, podchodząc do niego nieco z boku.

- Teraz! - krzyknął Metaxas.

Ruszyliśmy do akcji. Wielki czarny Sam skoczył i oplótł gardło Sauerabenda mocarnym ramieniem. Metaxas złapał go za lewy nadgarstek i wykręcił rękę do tyłu, jak najdalej od kontrolki timera, zdolnych umożliwić naszej ofierze natychmiastowe wypłatanie się z sytuacji. Ja poderwałem Sauerabendowi prawą rękę, zmuszając go do wypuszczenia latacza. Duenna wraz z Pulcheria przezornie zwiały co sił w nogach, nie chcąc mieć nic wspólnego z bandą bijących się mężczyzn.

Sam wsadził rękę pod ubranie Sauerabenda. Zdjął z niego przerobiony timer. Teraz już mogliśmy puścić faceta. Do tej pory był, jak mi się zdaje, pewien, że został napadnięty przez bandytów, lecz teraz wreszcie mnie rozpoznał i zdumiony coś bełkotał pod nosem.

- Myślałeś, że jesteś taki cwany, co? - spytałem.

Nic, tylko nadal bełkotał.

- Przełamałeś zabezpieczenia timera - mówiłem dalej - uciekłeś, rozwinąłeś przemytniczy biznes i myślałeś, że jesteś taki cwany, co? Myślałeś, że cię nie dorwiemy, co?

Nie miałem zamiaru informować go o tygodniach ciężkiej pracy, które wreszcie zaowocowały. Nie miałem zamiaru informować go o przestępstwach czasowych, które zmuszeni byliśmy popełnić.

Nie powiedziałem mu, że właśnie przenieśliśmy sześć lat jego życia w równoległy kieszonkowy wszechświat, z jego punktu widzenia w ogóle nie istniejący. Nie powiedziałem mu także, że ciąg wydarzeń, prowadzący do jego małżeństwa z Pulcheria Botanides - istniejącego już tylko w tym pobocznym wszechświecie - pozbawił mnie właściwych przodków. Wszystkie te zdarzenia zostały w tej chwili odzdarzone. Od tej chwili karczmarz Herakliusz Fotis, karmiący i pojący gości w swej gospodzie w latach 1100-1105, po prostu przestał istnieć.

Metaxas wyjął zapasowy, nie przerobiony timer. Specjalnie przygotował go na tę okazję.

- Załóż to! - rozkazałem Sauerabendowi.

Sauerabend założył timer. Nic nie mówił, twarz miał ponurą.

- Wracamy do 1204 roku - poinformowałem go. - Mniej więcej do tej chwili, w której mi uciekłeś. Skończymy wycieczkę i spokojnie wrócimy do 2059. Niech cię Bóg ma swojej opiece, jeśli sprawisz mi jeszcze jakieś kłopoty, Sauerabend. Nie doniosę o tym, co zrobiłeś, jestem bowiem człowiekiem miłosiernym, choć taki niedozwolony skok jak twój jest przestępstwem kryminalnym. Jeśli jednak w ciągu kilku najbliższych dni choćby raz popsujesz mi humor, upiekę cię na wolnym ogniu. Pojmujesz, co mówię?

Tępo skinął głową.

- Teraz to już wyłącznie moja sprawa - powiedziałem Samowi i Metaxasowi. - Nie potrafię wyrazić mej wdzięczności...

- Nawet nie próbuj - przerwał mi Metaxas, po czym obaj z Samem skoczyli z prądem.

Ustawiłem nowy timer Sauerabenda oraz mój.

- No to z prądem - powiedziałem, naciskając przycisk uruchamiający oba.

Skoczyliśmy do 1204 roku.

61.

Za piętnaście czwarta tej jakże mi znajomej nocy roku 1204 po raz kolejny wchodziłem na piętro gospody, wreszcie mając przy sobie Sauerabenda. Jud B niecierpliwie spacerował tuż przy drzwiach. Na widok mojego jeńca szeroko się uśmiechnął. Sauerabend za to zdumiał się wyraźnie na widok mnie dwóch, ale nie ośmielił się powiedzieć nic.

- Właż do środka - rozkazałem mu. - I nie waz się bawić timerem, bo gorzko pożałujesz.

Sauerabend posłusznie wlażł do środka.

- Koszmar się skończył - oznajmiłem Judowi B. - Złapaliśmy uciekiniera, zabraliśmy mu timer, założyliśmy inny, no i proszę, jaki się zrobił grzeczny. Korekcja zabrała nam dokładnie cztery godziny, prawda?

- Plus jeden Bóg wie ile tygodni ganiań z prądem i pod prąd.

- Teraz nie ma to już najmniejszego znaczenia. Facet jest nasz. Zaczynamy od początku.

- Tylko że pojawił się jeden dodatkowy my - zauważył Jud B. To jak, decydujemy się żyć w cyklach, tak?

- Oczywiście. Jeden z nas zostanie tu, z tymi cholernymi błaznami, zabierze ich do 1453, wypełni program i szybko wróci do XXI wieku. Drugi skacze wprost do Willi Metaxasa. To co, rzucamy monetą?

- Czemu nie? - Mój bliźniak wyjął z sakiewki bezana Aleksego I i wręczył mi go, bym sprawdził, czy nie jest sfalszowany. Nie był na awersie miał wizerunek cesarza przedstawionego w pozycji stojącej, na rewersie portret Chrystusa Króla na tronie. Ustaliliśmy, że Aleksy to orzeł, a Chrystus - reszka. Podrzuciłem monetę wysoko, złapałem zręcznym ruchem dłoni i położyłem na grzbiecie drugiej dłoni. Poczułem na skórze nacięcia na krawędzi bezana i bez odkrywania go wiedziałem, że wyszedł orzeł.

- Reszka - powiedział drugi Jud.

- Masz pecha, amigo! - Pokazałem mu monetę. Skrzywił się przeraźliwie i schował ją z powrotem do sakiewki.

- Trzy do czterech dni muszę spędzić z grupą - rzekł ponuro. - Mam rację? A potem dwa tygodnie przerwy, podczas której muszę trzymać się z dala od 1105 roku. Czyli możesz spodziewać się mnie za siedemnaście do osiemnastu dni, w czasie absolutnym.

- Mniej więcej - odparłem.

- Poszalejesz sobie z Pulcheria, co?

- Oczywiście.

- Dobra. Raz ma być ode mnie - powiedział mój bliźniak i wszedł do pokoju.

Ja zszedłem na dół. Ukryłem się za kolumną. Pół godziny spędziłem przypominając sobie, kiedy i jakich skoków dokonałem tej cholernej nocy; musiałem mieć pewność, że nie wyląduję w roku w punkcie nieciągłości. Jednego nie potrzebowałem z pewnością, a mianowicie znalezienia się w willi Metaxasa przed początkiem całej afery z Sauerabendem i spotkania z gospodarzem, dla którego afera ta jest jeszcze... no, czystą greką.

Dokonałem obliczeń.

Skoczyłem.

I znów znalazłem się w pięknej willi przyjaciela.

Wszystko udało się wspaniale. Metaxas z radości aż rzucił mi się w ramiona.

- Prąd czasu jest nienaruszony - powiedział. - Wróciłem z 1100 zaledwie kilka godzin temu, ale nawet te kilka godzin wystarczyły mi do sprawdzenia podstawowych faktów. Żona Leona Dukasa ma na imię Pulcheria. Karcznię, której właścicielem był Sauerabend, prowadzi jakiś Angelos. Nikt tu nie pamięta nic, dosłownie nic. Jesteś bezpieczny.

- Nie potrafię nawet wyrazić mej...

- Daj sobie z tym spokój, dobrze?

- No... dobrze. Gdzie Sam?

- Skoczył pod prąd. Musiał wracać do pracy. Ja, niestety, niedługo idę w jego ślady. Przerwa mi się skończyła. W połowie grudnia 2059 czeka, na mnie wycieczka. Nie będzie mnie jakieś dwa tygodnie. Wrócę... - przerwał na moment -... osiemnastego października 1105. Co z tobą?

- Ja zostaję tu aż do dwudziestego drugiego października. Mój bliźniak skończy wtedy przerwę, zmieni mnie, a ja skoczę pod prąd wziąć kolejną wycieczkę.

- To tak macie zamiar pracować? Cyklami?

- Nie wymyśliliśmy lepszego sposobu.

- Cóż, wygląda to nieźle - stwierdził Metaxas. Ale się mylił.

62.

Metaxas zajął się swoimi sprawami, a ja zająłem się kąpielą. Po kąpieli, odprężony po raz pierwszy od - jak mi się zdawało - co najmniej paru epok geologicznych, poświęciłem chwilę na planowanie najbliższych dni.

Najpierw się zdrzemnę, pomyślałem. Potem coś zjem. Potem pojadę do miasta na spotkanie z Pulcheria, która odzyskała wreszcie należne jej miejsce pani domu Dukasów, nieświadoma przedziwnej metamorfozy, jaką zgotował jej kapryśny los.

Będziemy się kochali, pomyślałem, potem wrócę do willi, rano znowu pojadę do miasta i...

Nagle i niespodziewanie moje marzenia prysły jak bańka mydlana, którą przekłuł pojawiający się niespodziewanie Sam.

Miał na sobie bizantyński płaszcz, ale musiał się spieszyć, ponieważ pod płaszczem dojrzałem zwykły i normalny strój naszej teraźniejszości. Sprawiał wrażenie niespokojnego, zdenerwowanego.

- Co ty tu robisz, do diabła? - zainteresowałem się.

- Robię ci przysługę.

- Tak?

- Przecież powiedziałem. Muszę się spieszyć, nie chcę, żeby Patrol zainteresował się i mną.

- To Patrol się mną zainteresował?

- I lada chwila złapie cię za ten biały tyłek! - Sam nie wytrzymał. - Zbieraj go w troki i wynoś się stąd pełnym gazem! - wrzasnął. - Musisz się ukryć, najlepiej jakieś trzy, cztery tysiące lat stąd.

No już, jazda!

Zaczął zbierać te niewiele mych osobistych rzeczy, które leżały porozrzucone w pokoju.

Złapałem go za rękę.

- Mógłbyś powiedzieć, o co chodzi? - poprosiłem. - Siadaj i przestań zachowywać się jak szalenię. Wpadasz jak jakaś zwariowana kometa...

- Dobrze już, dobrze - przerwał mi Sam. - W porządku, wyjaśnię ci wszystko przystępnie i pewnie mnie też aresztują. Niech będzie. Grzeszyłem, zasługuję na aresztowanie. I...

- Sam...

- Dobrze już, dobrze - powtórzył. Przymkną! oczy. - Moją teraźniejszością jest dwudziesty piąty grudnia. Wesołych Świąt! Parę dni temu - według mojego czasu - twoje drugie ja przyprowadziło wycieczkę wprost z Bizancjum. Sauerabenda i całą resztę. Wiesz, co się stało z tym twoim bliźniakiem, gdy tylko znalazł się w 2059?

- Aresztował go Patrol Czasowy.

- Gorzej.

- Gorzej już być nie może.

- On znikł, Jud. Stał się nieosobą. Przestał istnieć kiedykolwiek.

Po prostu musiałem się roześmiać.

- A to sukinsyn - powiedziałem, kiedy już mi przeszło. - Mówiłem mu, że to ja jestem

rzeczywisty, a on jest czymś w rodzaju ducha, ale nie chciał mnie słuchać. Cóż, nie będę udawał, że go żałuję, bo...

- Nie, Jud - przerwał mi Sam. Uspokoił się już i teraz, na odmiannę, sprawiał wrażenie smutnego. - On był w każdym calu tak rzeczywisty jak ty, tyle że pod prądem. A ty jesteś w każdym calu tak nierzeczywisty jak on teraz.

- Nie rozumiem.

- Jesteś nieosobą, Jud, dokładnie tak jak on. Retroaktywnie przestałeś istnieć. Przykro mi to mówić, ale w ogóle nigdy nie zaistniałeś. To nie tylko twój błąd, ale i nasz. Działaliśmy tak szybko, że naszej uwagi umknął jeden drobny szczegół.

Sam sprawiał wrażenie rzeczywiście zasmuconego. Zrozumiałe - jak inaczej może wyglądać człowiek przynoszący przyjacielowi informację, że on nie tylko nie żyje, ale w dodatku w ogóle się nie urodził?

- Co się stało, Sam? Jaki szczegół?

- No więc wygląda to tak, Jud. Odebraliśmy Sauerabendowi przerobiony timer i daliśmy mu inny. Metaxas trzyma u siebie kilka, sam je przemycił - ten chytry skubaniec jest przygotowany na każdą ewentualność.

- No i... ?

- Jego numer seryjny był oczywiście inny niż tego, z którym Sauerabend zaczął wycieczkę.

Normalnie nikt nie zwraca uwagi na takie drobiazgi, ale kiedy przyjmowano tę grupę, znalazł się jakiś służbista i zauważył różnicę. Natychmiast wezwał Patrol.

- O cholera! - jęknąłem.

- Przesłuchali Sauerabenda. Oczywiście nic nie chciał im powiedzieć, bardziej w trosce o swą skórę niż twoją. Patrolowcy nie dowiedzieli się od niego, skąd się wzięła ta różnica, więc dostali autoryzację na sprawdzenie całej wyprawy, od początku do końca.

- Oho!

- Sprawdzili ją bardzo dokładnie. Zobaczyli, jak opuszczasz grupę, jak Sauerabend

wykorzystuje ten moment na nieautoryzowany skok, jak wraz ze mną i Metaxasem łapiemy go i sprowadzamy do 1204.

- Przeze mnie jesteście w kłopotach, prawda?

Sam energicznie potrząsnął głową.

- Metaxas to chytry lis. Ja też nie jestem głupi. Wyplątaliśmy się z tego grając na uczuciach,

jak to próbowaliśmy tylko pomóc kumpłowi w kłopotach. Musisz wiedzieć, że obaj

wykorzystaliśmy chyba wszystkie nasze dojścia. Dla ciebie nic już nie mogliśmy zrobić, Jud. Patrol

poluje na twój głupi łeb. Obejrzelu sobie dokładnie, jak zdołałeś się zduplikować, i prawie

natychmiast zdali sobie sprawę, że jesteś winny nie tylko zaniedbania obowiązków, przez co turysta

wyrwał ci się na wolność, ale także wywołania paru bezprawnych paradoksów podczas nieudolnych

prób naprawienia sytuacji. Wniesione przeciw tobie oskarżenie było tak poważne, że nie zdołaliśmy

doprowadzić do umorzenia sprawy, a próbowaliśmy, chłopie, naprawdę próbowaliśmy. Patrol dostał

pozwolenie na podjęcie właściwych działań.

- Jakich mianowicie? - spytałem martwym głosem.

- Zostałeś odsunięty od prowadzenia grupy, którą prowadziłeś, na dwie godziny przed

skokiem w 1105, w ramiona Pulcherii. Twoje miejsce zajął inny kurier. Wyrwano cię z prądu czasu,

przetransportowano do terażniejszości i postawiono przed sądem jako podejrzanego o dokonanie

wielokrotnego przestępstwa czasowego.

- I dlatego...

- I dlatego nigdy nie skoczyłeś w 1105 rok, żeby spotkać się z Pulcheria. Cała ta miłosna

przygoda nigdy się nie zdarzyła i gdybyś teraz odwiedził dziewczynę, zorientowałbyś się, że

Pulcheria nie pamięta, by kiedykolwiek z tobą spała. Następnie: skoro nigdy nie byłeś w 1105 roku,

nie mogłeś oczywiście powrócić do roku 1204 i odkryć, że Sauerabend znikł; zresztą żaden Sauerabend nigdy przecież nie był członkiem twojej grupy. Nie musiałeś również skakać pod prąd pięćdziesiąt sześć sekund, więc nie doszło i do duplikacji. Ani ty, ani Jud B nigdy więc nie zaistnieliście, bo istnienie was obu datuje się od punktu w czasie późniejszego niż wizyta u Pulcherii, a ty nigdy nie złożyłeś jej wizyty, ponieważ zostałeś wyjęty z prądu czasu, nim miałaś szansę ją poznać. Ty i Jud B jesteście nieosobami. Zawsze nimi byliście. Ciebie broni akurat paradoks przemieszczenia - tak długo, jak długo pozostajesz pod prądem Jud B natomiast wyszedł spod parasola paradoksu w momencie powrotu do naszej terażniejszości i wskutek tego znikł, jakby go nigdy nie było, bo i nie było. Pojmujesz?

Pojąłem. Zacząłem się trząść.

- Sam, powiedz mi, proszę, co się stało z judem... z tym... tym prawdziwym Judem? Tym, którego wyjęli, którego od razu ściągnęli do 2059.

- Został aresztowany pod zarzutem dokonania przestępstwa czasowego i czeka teraz na proces.

- A co ze mną?

- Kiedy tylko znajdzie cię Patrol, zostaniesz sprowadzony do odpowiedniej terażniejszości i automatycznie przestaniesz istnieć. Ale Patrol nie wie, gdzie jesteś. Póki siedzisz gdzieś w Bizancjum, znajdą cię wcześniej czy później i na tym wszystko się skończy. Gdy tylko zorientowałem się w sytuacji, skoczyłem tu, żeby cię uprze dzić. Ukryj się w prehistorii. Uciekaj gdzieś przed powstanie greckiego Bizancjum - jakoś tak przed rok 700 przed naszą erą. Poradzisz sobie. Dostarczymy ci książek, narzędzi, dostaniesz, czego będziesz potrzebował. Spotkasz jakichś ludzi, pewnie nomadów; w każdym razie będziesz miał towarzystwo. Ogłoszą cię bogiem, Jud. Będą się do ciebie modlić. Co dzień dostaniesz nową kobietę. To twoja jedyna szansa, wiesz?

- Nie chcę być prehistorycznym bogiem! Chcę móc pokazać się w terażniejszości! Chcę

spotykać się z Pulcheria! I...

- Nie ma mowy - powiedział Sam; jego słowa spadły mi na kark jak ostrze gilotyny. -

Pamiętaj, ciebie nie ma. Powracając do terażniejszości, popełnisz samobójstwo. A jeśli zbliżysz się do Pulcherii, Patrol dostanie cię i wyśle do terażniejszości. Ukryj się lub umrzyj, Jud. Ukryj się lub umrzyj.

- Przecież ja jestem, Sam. Ja istnieję.

- Istnieje tylko ten Jud Elliott, który w tej chwili siedzi w więzieniu w 2059 roku. Ty jesteś czasowym wybrykiem natury, tworem paradoksu i niczym więcej. Mimo wszystko lubię cię, chłopie, i tylko dlatego ryzykuję swą czarną skórę, przynosząc ci to ostrzeżenie. Ciebie nie ma, bracie.

Uwierz mi. Musisz mi uwierzyć! Jesteś swoim własnym duchem. Pakuj się i wiej!

63.

Siedzę tu już trzy i pół miesiąca. Prowadzę kalendarz, z którego wynika, że mamy dziś piętnasty marca 3060 roku przed terażniejszością.

Nie jest to wcale złe życie. Ludzie tu uprawiają rolę, są, być może, spadkobiercami wielkiego cesarstwa Hetytów. Koloniści greccy trafią na ich ziemie dopiero za jakieś trzysta lat. Uczę się języka - to język indoeuropejski, więc nie mam z nim poważniejszych kłopotów. Zgodnie z przewidywaniami Sama zostałem bogiem. Kiedy przybyłem, chcieli mnie zabić, ale dzięki timerowi mogłem pokazać im parę sztuczek, skoczyłem tu i tam na ich oczach i teraz nie śmiać mnie nawet urazić. W tej chwili zajęty jestem sprowadzaniem wiosny. Poszedłem na brzeg czegoś, co pewnego dnia nazwane zostanie Bosforem, i wygłosiłem długą modlitwę, po angielsku prosząc bogów o dobrą pogodę. Tubylcom strasznie się to spodobało.

Kobiet mam ile dusza zapragnie. Pierwszej nocy przyprowadzili mi córkę wodza; od tej pory sprawdzam całą żeńską populację wioski - tę w wieku odpowiednim do małżeństwa. Mam wrażenie, że pewnego dnia mogą zechcieć mnie ożenić, więc postanowiłem rozejrzeć się w sytuacji.

Dziewczyny nie pachną za pięknie, ale niektóre mają wręcz imponujący temperament.

Jestem straszliwie samotny.

Sam odwiedził mnie trzykrotnie, Metaxas dwukrotnie. Innych gości nie miałem. Nikogo o nic nie obwiniam, zdaję sobie sprawę, o co idzie gra. Od prawdziwych przyjaciół poznanych w biedzie dostałem trochę latacza, książki, laser, wielkie pudło kostek muzycznych oraz mnóstwo drobiazgów, od których jakiś przyszedły archeolog pewnie dostanie zawału.

- Zabierz ze sobą Pulcherię - poprosił Sama. - Tylko z krótką wizytą.

- Nie mogę - odparł Sam.

Ma oczywiście rację. Musiałby ją przecież porwać, co mogłoby doprowadzić do klęski - ściągnąć mu na głowę Patrol, mnie zaś zagładę.

Bardzo brakuje mi Pulcherii. Wiecie, kochaliśmy się tylko tej jednej nocy, ale mam wrażenie, że znam ją tak, jakbyśmy kochali się wiele razy. Żałuję teraz, że nie skorzystałem z tej okazji w karczmie, kiedy była Pulcheria Fotis.

Moja ukochana Pulcheria! Moja sprytna praprapra... babcia! Nigdy cię już nie zobaczę, Pulcherio! Nigdy już nie dotknę twej gładkiej skóry, twej... nie, nie będę się torturował! Spróbuję o tobie zapomnieć.

Ha!

Gdy tylko nie zajmują mnie boskie obowiązki, pocieszam się dyktując pamiętnik. Nagrałem już wszystko - upamiętniłem każdy krok prowadzący do sytuacji, w której się teraz znajduję. Moja historia jest jednocześnie ostrzeżeniem - od obiecującego młodego człowieka do nieosoby w sześćdziesięciu dwóch krótkich rozdziałach. Od czasu do czasu mam jednak zamiar nadal pisać.

Opowiem, jak to jest być bogiem Hetytów. Zaraz, zaraz - jutro muszę odprawić rytuał wiosennej płodności; dziesięć najpiękniejszych dziewczic wioski odwiedzi boga, by...

Ach, Pulcherio!

Dlaczego muszę być tak daleko od ciebie, moja Pulcherio?

Za dużo mam wolnego czasu, wręcz nie potrafię obronić się przed myślami o tym niewesołym losie. Co mnie jeszcze czeka?

Wątpię, by Patrol Czasowy odkrył mą kryjówkę, ale przecież wcale nie musi!

Patrol wie, że kryję się gdzieś pod prądem, chroniony paradoksem przemieszczenia.

Patrol pragnie wykurzyć mnie z kryjówki i pozbyć się mej osoby. Jestem dla niego obrzydliwym tworem paradoksu.

I Patrol jest w stanie tego dokonać. Powiedzmy, że retroaktywnie wywałą Juda Elliotta ze Służby Czasowej. Jeśli Jud Elliott nigdy nie znajdzie się w Bizancjum, prawdopodobieństwo mojego istnienia spada do zera, wobec czego paradoks przemieszczenia przestaje mnie chronić. Zaczyna działać prawo mniejszego paradoksu. Znikam niczym dymek, puf! - był i nie ma.

Wiem, dlaczego jeszcze mi tego nie zrobili. Dzięki temu drugiemu Judowi, niech go Bóg błogosławi - temu żyjącemu z prądem, oskarżonemu o przestępstwa czasowe. Patrol nie może wyciągnąć go retroaktywnie, póki nie zapadnie wyrok. Kiedy sędziowie powiedzą "winny", zapewne coś się zdarzy. Proces toczy się jednak powoli. Jud będzie go dodatkowo opóźniał. Sam powiedział mi, że schroniłem się pod prądem, że musi mnie bronić. Pożyję jeszcze kilka miesięcy, może nawet kilka lat, kto wie? On ma swoją terażniejszość, ja mam swoją, wspólnie maszerujemy każdy ku swej przyszłości, maszerujemy ku niej dzień po dniu i na razie nadal tu jestem.

Samotny. Chory z miłości.

Śniący o utraconej na zawsze Pulcherii.

Być może, Patrol nie podejmie żadnej akcji...

Być może, Patrol skończy ze mną jutro...

Kto wie?

Są chwile, kiedy mnie w ogóle nie obchodzi, co się stanie. I jednym przynajmniej mogę się

pocieszać - będzie to najbardziej bezbolesna ze wszystkich możliwych śmierci. Nie poczuję nic, zupełnie nic. Po prostu odejdę gdzie odchodzi płomień zdmuchniętej świecy. Może to nastąpić w każdej chwili, na razie jednak żyję z godziny na godzinę, bawię się w boga, słucham Bacha, zażywam latacze, dyktuję pamiętniki i czekam na koniec. Koniec, który nastąpić może nawet w środku zdania, a ja ...

KONIEC